

LU
NA

KRYSTYNA
MIREK

ZIELONA GWIAZDKA

Kochasz święta? Pokochasz tę powieść!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LU
NA

KRYSTYNA
MIREK
ZIELONA GWIAZDKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Copyright © by Krystyna Mirek 2023

Copyright © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2023

Wydawca: NATALIA GOWIN

Redakcja: KATARZYNA WOJTAS

Korekta: JUSTYNA TECHMAŃSKA, KATARZYNA WOJTAS

Projekt okładki i stron tytułowych: MACIEJ SZYMANOWICZ

Zdjęcie na okładce © Jozef Polc/500Px Plus/Getty Images

Koordynatorka produkcji: PAULINA KUREK

Skład i łamanie: Marzena / Perpetuum

Warszawa 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67859-88-2

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwoluna.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Rozdział 1

Brakowało tylko śniegu. Zanosiło się na to, że Gwiazdka w tym roku będzie zielona. I wyjątkowo piękna.

Sonia Skalska właśnie zdała sobie sprawę, jaką jest szczęściarą. Ile osób może powiedzieć, że do pełnego szczęścia w życiu przydałoby im się tylko kilka centymetrów białego puchu? Bo poza tym wszystko, co ważne, już jest?

Sonia miała dom, o jakim zawsze marzyła, dobre, kochane dzieci, od lat tego samego męża. Szanowali się i lubili, wciąż buzowała w nich miłość. Sonia czuła się bezpieczna i kochana. Sądziła, że o swoich bliskich wie wszystko.

Boże Narodzenie to był jej ulubiony czas w roku. I nigdy się nie spodziewała, że to właśnie w Wigilię, przy pięknie zastawionym stole, siedząc wśród najbliższych, dozna takiego wstrząsu.

Kilka miesięcy wcześniej

Lidia Skalska obudziła się bezpieczna i szczęśliwa. Wśród dobrze znanych dźwięków i zapachów. Spała przy szeroko otwartym oknie, choć poranki stawały się coraz chłodniejsze. Uwielbiała jednak, kiedy delikatny wiatr ruszał firankami, a do środka wpadało orzeźwiające powietrze pełne zapachów z okolicznych łąk.

Gospodarstwo, na którym się wychowała, było ogromne, od najbliższych sąsiadów dzielił je spory kawałek. Czasem miała wrażenie, że tworzy ono odrębny świat. Powietrze przesycali zapachy ich własnych ziół, kwiatów, trawy, skoszonego siana. Pachniało inaczej o każdej porze roku. Lidia wiedziała, że kiedy tylko otworzy drzwi pokoju, z dołu poczuje kolejny wyjątkowy aromat, jakim witane jest już tak niewiele osób na świecie. Świeżo upieczonego domowego chleba.

Mama zajmowała się tym od lat, co przy rodzinie z trójką dzieci wcale nie jest łatwym zadaniem. Nie tylko piekła chleby i prowadziła dom, lecz także robiła to z prawdziwym zamiłowaniem. Każdy bochenek ozdabiała ostrym nożykiem w specjalne wzorki. Starła się bardzo, mimo iż wiedziała, że dzieła jej rąk są wyjątkowo nietrwałe. Młodszy bracia Lidii podrosli i dla nich jeden bochenek świeżego chleba na śniadanie to wcale nie było dużo. Tata z dziadkiem też nie narzekali na brak apetytu. Chleb znikał w mgnieniu oka. A jednak mama zawsze pilnowała, żeby był nie tylko smaczny, lecz także piękny.

Jak otaczające dom góry.

Lidia uwielbiała swoje życie i to miejsce. Nie chciała nigdy stąd wyjeżdżać, lecz zostać, gospodarować tutaj jak jej rodzice. Niczego więcej nie potrzebowała. Ale tata uparł się, żeby poszła na studia i miała wybór. Zobaczyła, jak wygląda duże miasto, inny świat.

Ona nie potrzebowała wyboru! Dawno już go dokonała. Zgodziła się jednak. Spędzone w Krakowie miesiące nie zmieniły jej decyzji. Pożytek ze studiów był tylko taki, że po kolejnych tygodniach nauki z jeszcze większą radością wracała do domu na wakacje czy weekendy. Czasem nawet na jeden wieczór, choć podróż trochę trwała. Ale ciągnęło ją tutaj jak do ukochanego mężczyzny. Jak do najważniejszego miejsca w życiu.

Nie lubiła, kiedy lato dobiegało końca, jak teraz. Celebrowała każdą chwilę wolności.

Właśnie miała zamiar powoli otworzyć oczy i cieszyć się, że wciąż tutaj jest, bo zostały jej jeszcze ostatnie dwa tygodnie do rozpoczęcia zajęć. Przeciągnęła się z przyjemnością w łóżku. I wtedy zadzwonił telefon.

Ada. Najbliższa przyjaciółka.

Zaletą mieszkania całe życie w jednym miejscu, w którym rodziny zajmują od pokoleń wciąż te same domy, są niezwykle trwałe relacje, kiedy człowiek zna nie tylko pojedynczą osobę, lecz także wszystkich jego krewnych do kilku pokoleń wstecz. Na żywo lub z opowieści.

A gdyby nie znał, to uczynny dziadek wszystko mu dokładnie wytłumaczy. Kim jest ta dziewczynka. Kim byli jej rodzice, dziadkowie, jakie opowieści są z nimi związane. Lidia lubiła tego słuchać. Żałowała tylko, że dziadek Ignacy częściej opowiada o innych niż o sobie, właściwie o jego bliskich wiedziała najmniej. Ale może dziadkowi jego własne spokojne życie nie wydawało się aż tak fascynujące? Urodził się tutaj, całe lata pracował na gospodarstwie, i tyle.

Lidia bardzo go kochała.

– Cześć! Wstawaj! – usłyszała głos przyjaciółki, który całkowicie wyrwał ją z tego błędnego zamyślenia. – Mam dla ciebie takiego newsa, że usiądziesz, jak tylko wstaniesz.

– To może już zostanę od razu w łóżku – roześmiała się Lidia.

– Wiesz, że Mister Max przyjeżdża do nas na ten cały koncert? – zapytała Ada.

– Tak, jasne – odpowiedziała Lidia. – Gdyby się uchwycił w okolicy ktoś, kto jeszcze jakimś cudem nie wie, to burmistrz z pewnością osobiście by go poinformował o swoim flagowym projekcie. Wykosztował się, to fakt, ale przed wyborami kiełbasa wyborcza musi być. Wiem też, że gość pochodzi z Niemiec, ale ja go nie znam.

– Ja też – potwierdziła Ada. – Ale moja mama szaleje. Mówi, że całowali się z ojcem pierwszy raz przy jego piosence...

– Moi rodzice też mają mnóstwo wspomnień. – Lidia się uśmiechnęła. – Wczoraj przy kolacji o tym opowiadali. Trzeba będzie wygooglować człowieka...

– A daj spokój! – przerwała jej gwałtownie Ada. – To jakiś dinozaur, cud, że w ogóle jeszcze śpiewa. Nawet twój dziadek ma w związku z nim wspo-

mnienia. Więc sama rozumiesz... Nie będziemy się staruszkami interesować... Jest lepszy news.

Lidia mimo woli się zaciekawiła. Sądziła, że o koncercie wie wszystko. W ich małej miejscowości rzadko zdarzały się takie duże imprezy. A cokolwiek Ada twierdziła o gwieździe wieczoru, Mister Max był to muzyk dość szeroko znany w wielu krajach. W latach dziewięćdziesiątych robił wielką karierę. Ludzie ciągle o tym mówili. Zaprzyjaźniony z rodziną Skalskich burmistrz nie uznawał ostatnio żadnych innych tematów.

– Słuchaj. – Ada podkreślała jej ciekawość, choć Lidia już i tak czekała w napięciu. – Razem z nim przyjeżdża młody boysband! – zawołała z zachwytem. – Trzech superprzystojnych chłopaków. Wszyscy śpiewają i tańczą. Mówię ci, czad!

– Cieszę się. – Lidia przyjęła to ze spokojem. – Dla młodszych osób też będzie jakaś atrakcja.

– Dla nas! – emocjonowała się Ada. – Dla nas! – powtórzyła takim tonem, jakby ci muzycy specjalnie w tym celu przyjeżdżali, by dwóm przyjaciółkom z końca świata zrobić przyjemność. – Chłopaki pewnie zaczynali w garażu i powoli przecierają się w świecie – opowiadała szybko. – Ale ja nie o tym. W hotelu będą potrzebowali dodatkowych kelnerek, zjedzie się dużo ludzi. I... – zrobiła efektowną pauzę – ...załatwiłam ci pracę!

– Ty to się wszędzie wkręcisz. – Lidia się roześmiała. – Jak to zrobiłaś? Przecież żadna z nas nie jest kelnerką!

– Może nie – przyznała przyjaciółka. – Za to jesteśmy mądre, ładne, inteligentne – wyliczała z entuzjazmem – więc sobie poradzimy! – zakończyła energicznie.

Lidia oczyma wyobraźni widziała, jak podskakuje jej ruda grzywka, a oczy błyszczą. Ada miała wiele marzeń i w każde angażowała się całą sobą.

– Niesamowita jesteś, że nas przyjęli – powiedziała.

– Znają mnie tutaj, wiedzą, że sobie poradzę. Ciebie też znają i wiedzą również, że i ty sobie poradzisz, więc mamy robotę.

Lidia w sumie się ucieszyła. Pieniądze były czymś, co w ich dużej rodzinie zawsze się okazywało potrzebne. Nie zamierzała zmarnować okazji, by sobie dorobić przed wyjazdem na kolejny, ostatni już rok studiów.

– No więc, planuję poznać tych chłopaków – opowiadała dalej Ada. – Może któryś będzie moją życiową szansą? – dodała rozmarzonym tonem. – Zobaczysz, kiedyś nie będę musiała wcale pracować, wyjadę gdzieś daleko.

– Mam nadzieję, że kiedyś po prostu naprawdę się zakochasz i będziesz szczęśliwa – powiedziała ze śmiechem Lidia. Bardzo lubiła swoją przyjaciółkę. Ada zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

– O nie! Nie wkręcaj mnie w te twoje ideały – zaprotestowała rudowłosa sąsiadka. – Twoja rodzina sprawia, że masz spaczony podejście do życia i świata. Takiej miłości, jak twojej mamy i taty, nie ma na świecie. Ja w każdym razie nie zamierzam jej szukać. To marzenie nie na nasze czasy.

Lidia znowu przymknęła oczy. Słyszała wielokrotnie, że jej rodzice są wyjątkowi, taka historia rzadko się zdarza, normalnie ludzie tak nie mają. Nigdy jednak nie straciła wiary, że jednak jest to coś, co – jeśli nawet nie jest powszechne – to przynajmniej powinno być. I spotkać każdego człowieka. Żyjąc z dwojgiem naprawdę kochających się ludzi pod jednym dachem, nie potrafiła uwierzyć, że w ogóle mogłoby być inaczej.

– O której mam się stawić? – zapytała konkretnie. Z Adą przegadały na temat uczuć już tyle godzin, że nie było sensu zaczynać od nowa.

– O dziesiątej masz być w hotelu – odparła przyjaciółka. – Goście już się zjeżdżają przed piknikiem. Przyjechała też ekipa rozkładająca sprzęt. W hotelu wszyscy mają bazę.

– Nic dziwnego. Mamy tylko jeden – uśmiechnęła się Lidia. – A takiej imprezy jeszcze u nas nie było.

– Masz rację – zgodziła się nieuważnie Ada. Wyraźnie była już myślami w innym miejscu. – Wygooglowałam tych chłopaków – powiedziała. – To dwa zespoły. W jednym jest duet trochę starszy. No to ich zostawmy w spokoju – zdecydowała pospiesznie. – Ale ten drugi zespół miodzio – rozplynęła się w szczerym zachwycie. – Jeden brunet, drugi blondyn, a trzeci wprawdzie łysy, ale i tak ciacho. Za dużo informacji o nich nie ma, więc

właściwie mogę ci pozwolić pierwszej wybrać. Jako mojej przyjaciółce. – Ada robiła przerwy, tylko żeby złapać oddech. W przeciwnym razie Lidia nie miałyby szansy odpowiedzieć.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – wskoczyła szybko w krótką pauzę. – Ale ja nie chciałabym poznać obcokrajowca, bo wiesz, że jedyne, czego chcę, to zostać tutaj.

– Och! – oburzyła się Ada. – Ty od razu tak na poważnie. A czy ja mówię, że masz wyjść za niego za mąż i urodzić mu szóstkę dzieci? Po prostu zobaczysz, co z tego wyjdzie – tłumaczyła. – Grunt to próbować. Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się nasza życiowa szansa. A teraz się zbieraj! Spotkamy się w hotelu, chociaż chętnie bym do ciebie przyjechała na śniadanko, bo takich dobrych nie dają nigdzie. Ale nie zrobiłam sobie wczoraj paznokci i muszę skończyć. Zobaczymy się na miejscu.

– Dobrze – zgodziła się Lidia i się rozłączyły.

Zobaczyła, że na Messengerze ma już kilka wiadomości od przyjaciółki. Były tam linki do mediów społecznościowych chłopaków, którzy mieli grać. Otworzyła. Zdjęcia jej się spodobały. Fajni, sympatycznie wyglądający młodzi muzycy.

Ada była nimi wyraźnie zafascynowana.

Lidia mniej. To nie było coś, co ją pociągało ani o czym marzyła. Już dawno temu postanowiła, że jeśli będzie chciała wejść w związek, to tylko z chłopakiem stąd. Takim, który w pełni zrozumie jej miłość do tego miejsca. Ale mimo że odziedziczyła po mamie urodę i cieszyła się całkiem niezłym powodzeniem, wciąż nie mogła nikogo takiego znaleźć. Większość chłopaków stąd marzyła o wyjeździe. Nie zamierzali przejmować gospodarstw po ojcach. Wszyscy co sensowniejsi, bardziej inteligentni studiowali albo wyjechali z innych powodów. A jeśli się kształcili, to nie w tym celu, żeby tu wrócić i zostać, tylko żeby zacząć od nowa gdzieś w większym mieście.

Ci zaś, co nie mieli żadnych planów i zanosilo się na to, że faktycznie zostaną w domu rodziców, nie podobali jej się. Byli bierni i pozbawieni ikry, a ich decyzja, żeby tutaj mieszkać, nie wynikała z miłości do ziemi ani pa-

sji, jaką na przykład miał jej tata, tylko z braku innej opcji, odwagi czy umiejętności, żeby sobie zbudować coś własnego. Tego Lidia nie chciała. Nie na tym przecież miało to polegać.

Miłości trzeba dać czas – mówiła mama, a Lidia wierzyła we wszystko, w każde słowo rodziców, chociaż była już dużą i samodzielną dziewczyną.

Przeciągnęła się w łóżku, ciesząc się na miłe chwile, które ją czekały. Fajnie będzie trochę popracować, poznać z bliska tych ludzi, muzyków, którzy przyjeżdżali do ich dalekiego, położonego wysoko w górach malutkiego miasteczka. Ostatnio działo się tutaj coraz więcej, ale w czasach dzieciństwa Lidii panował tu wszechogarniający spokój, który niektórzy nazywali nudą. Dziś rzutki burmistrz starał się nadążyć za standardami, a Lidia lubiła właściwie wszystko, co to miejsce miało do zaoferowania. Ciszę i rutynę, a także ciekawe wydarzenia i wprowadzane zmiany. Ale najbardziej ten dom wybudowany jeszcze przez rodziców dziadka, remontowany, pielęgnowany ze starannością, czułością, jakby był członkiem rodziny. Otoczony wielkimi łąkami, lasem, ogromną stodołą, budynkami gospodarczymi.

Ostatni rok – pomyślała. – A potem wrócę tu i zostanę na stałe! Żadnych więcej wyjazdów.

Nie wiedziała, dlaczego rodzice z takim dystansem podchodzą do jej decyzji, zamiast się cieszyć. Tym bardziej że dwóch jej młodszych braci wcale nie wykazywało takiej miłości do gospodarstwa, choć wychowali się tutaj jak ona i pracowali na równi. Lidia nie miała wątpliwości, że kochali rodziców i mieli bardzo szczęśliwe dzieciństwo, ale uczyli się dobrze, mieli swoje pasje komputerowe i być może inne plany na życie, niż hodować kury, siać zboże, a już na pewno nie robić domowe chleby.

Zbiegła na dół na śniadanie. Chyba tylko ona jedna miała w domu tę świadomość, jak bardzo są wyjątkowi, jak niezwykle przypadło im w udziale doświadczenie wychowywania się jakby na wyspie. W innej rzeczywistości, tak różnej od tego, czym żyła większość ludzi. Odliczała tygodnie do kolejnego powrotu, choć semestr jeszcze się nie zaczął.

Niedługo nadejdą święta – pomyślała. Najpiękniejszy czas w tym domu. Już na niego czekała.

Ale póki co trzeba było się zbierać do nowej niespodziewanej pracy. Tymczasem przed wyjściem czekało jeszcze na nią kilka obowiązków. W tym domu nigdy nie brakowało zajęć. Musiała się spieszyć.

Rozdział 2

Lidia wyszła.

Ignacy patrzył, jak wnuczka biegnie dróżką w dół przez łąkę, a potem wychodzi na asfaltową drogę, wyremontowaną niedawno z inicjatywy burmistrza. Zmierzała do miasteczka. Słyszał o jej nowej pracy. Oczywiście, jak wszystko, co zwariowane, na ostatnią chwilę i niezapowiedziane, to spontaniczne kelnerowanie załatwiła Ada. Czasem się na nią złościł, bywało, że próbował nie lubić, gdy ściągała na Lidie kłopoty. Ale nie umiał. Ada była fajna i miała w sobie tyle uroku.

Życzył jej dobrze. Niełatwo być dziewczyną. Choć urodził się mężczyzną i uchodził wśród bliskich za typowego seniora rodu, dobrze to rozumiał. Kiedyś przyszło mu mocno żyć problemami dorastającej nastolatki. Tak mocno, że nigdy nie udało się o tym zapomnieć.

Przysunął się bliżej okna. Chwilę później nie mógł już zobaczyć Lidii. Zasłoniły ją wysokie drzewa. Na moment jakby zamglił mu się wzrok i niespodziewanie zobaczył inną dziewczynę biegnącą tą samą trasą, lecz po zupełnie innej, kamienistej jeszcze drodze, w innym ubraniu i kompletnie odmiennym świecie, którego dziś niektórzy nie potrafiliby sobie nawet wyobrazić. Wtedy zima przyszła do nich z wielką zawieruchą, śniegami i mrozem. Nawet to czasem trudno opowiedzieć. Tak wiele się zmieniło.

On sam nigdy się nie spodziewał, że będzie miał tak długie życie i doświadczy takich przemian.

Świat, w którym Ignacy się urodził, i ten, w którym żył dzisiaj, różniły się bardzo. Czasem odnosił wrażenie, że nic ich nie łączy. Jakby ktoś wszystko odmienił. Miał kochającą rodzinę, która troszczyła się o niego, i to sprawiało, że czuł się w tych nowych realiach w miarę bezpiecznie.

Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak mogłoby to wyglądać, gdyby z tą nową technologią, która nawet tutaj w górach przenikała każdą sprawę, został pozostawiony sam sobie. Jakie by to musiało być trudne. Troszczono się o niego. Jednak teraz czuł ból. Dobrze znajomy. Towarzyszył mu wiele lat.

Bardzo tęsknił za tamtą dziewczyną. Przykro mu było, że zupełnie nie wie, co u niej słyhać. Nie miał wątpliwości, że sobie w życiu poradziła. To była jedna z tych osób, które sobie zawsze radzą. Tylko w jaki sposób? Czy też jest bezpieczna?

Tęsknił, choć pewnie ona by w to nie uwierzyła.

Nigdy o niej wiele nie opowiadał swojemu synowi ani tym bardziej wnukom. Adam wie, że istniała i tyle. Kto by dzisiaj zrozumiał problemy, z jakimi oni się wtedy mierzyli? Te decyzje? Tak, to chyba najgorsze. Kiedy tylko miał ochotę czasem otworzyć usta, bo czuł, że powinien swojej synowej Soni coś wyjaśnić, pojawiała się potężna blokada. Co ona by na to powiedziała? Jak by go oceniła?

Milczenie stało się jego twierdzą.

Ignacy miał mocne przekonanie, że wszyscy mogliby źle zinterpretować to, co wtedy postanowił. A za nic nie chciał stracić swojej rodziny. Zawsze słyszał, że jest wyjątkowa. Głównie za sprawą synowej, która przybyła do domu zamieszkałego przez dwóch samotnych mężczyzn, a potem uczyniła w nim prawdziwe czary, odmieniła ich los.

Sonia była niezwykła, ciągle to słyszał i w pełni się z tym zgadzał. Bardzo wrażliwa, ciepła. Kochali ją całą męską gromadą: on, jego syn i dwóch wnuków. Podobnie jak Lidia. Jeśli ceną za tę niezwykłą miłość była tajemnica, którą on zabierze do grobu, to właściwie komu to szkodziło? Nie ukrywał się przed światem, ciągle mieszkał w tym samym miejscu, doskonale tamtej kobiecie znanym.

Gdyby więc chciała tutaj wrócić, dawno mogłaby to zrobić.

Tak uspokajał swoje sumienie przez lata. Potem, kiedy wnuki były małe, trochę o tych starych sprawach zapomniiał. Angażował się w pomoc w wychowaniu dzieci, pracę w gospodarstwie i były momenty, kiedy z trudem ła-

pał zakręt, a wieczorami kładł się spać tak zmęczony, że nie miał siły myśleć. Cieszył się tym, że terażniejszość jest dobra i tyle.

Ostatnio jednak dziwnie to wszystko wracało. Nie wiedział, czy to oznaka starości, czy też być może faktu, że zbliża się kres jego życia. Liczył już prawie osiemdziesiąt lat. Czuł się całkiem nieźle. Miał sprawny umysł i choć ciało coraz słabsze, to jednak wciąż mógł chodzić, krzątać się po gospodarstwie. Jasna sprawa, że bez porównania do tego, co potrafił zrobić kiedyś, ale nadal czuł się potrzebny. Wiedział, że jego dni wypełnione są sensownymi zajęciami. To mu dawało satysfakcję i takie pragnienie, żeby jeszcze choć jeden dzień przeżyć, a potem kolejny. Zobaczyć, jak chłopcy idą do szkoły, zdają maturę, na jakie pójdą studia.

Czy się zakochają? Czy znajdą szczęście? Czy jego śliczna jasnowłosa Lidia też kogoś pozna, czy wyjedzie w świat? A może spełni się jej marzenie i naprawdę tu zostanie?

Strach ścisnął mu serce. Najlepiej wiedział, że to może się okazać trudne. A może nie? Spojrzał za okno.

Znowu wróciło wspomnienie tamtej odchodzącej dziewczyny. Miała na sobie kwiecistą sukienkę, jedyną ładną, jaką posiadała, ciepłe buty, wielki kozuch, czapkę i jedną małą torbę.

Ignacy odwrócił wzrok. Nie chciał tego pamiętać, bardzo pragnął zapomnieć, ale im mocniej się starał, tym częściej wracało.

– Jest bezpieczna – powtarzał sobie. – Ma mieszkanie, dobrą pracę i rodzinę. Jest bezpieczna.

Odwrócił się od okna, bo nagle zakręciło mu się w głowie.

– Uspokój się – postanowił. – Wracaj do terażniejszości. Nie można żyć jednocześnie w dwóch miejscach, być w dwóch światach, to szkodzi na serce.

Odsunął się od okna, potem bardzo powoli ubrał. Każdego dnia zajmowało mu to coraz więcej czasu. Kiedyś wskakiwał w spodnie, wkładał prędko skarpetki i koszulę, po czym szedł na śniadanie.

Teraz samo uporanie się ze skarpetami zajęło mu dziesięć minut. I te okropne guziki w koszuli. W ciepłe dni rezygnował z niej, ale jesień sprawiała, że ciepły flanelowy materiał okazywał się niezbędny. Oczywiście mógł poprosić, żeby mu ktoś zapiął. Nie brakowało chętnych. Starał się jednak być samodzielny. Najbardziej jak tylko mógł.

Wymozolił się więc jeszcze z tymi guzikami, potem z paskiem do spodni, wreszcie poszedł do łazienki. Ogolił się i uczesał. Z lustra patrzył na niego naprawdę stary człowiek. Siwy, pomarszczony, ze zmienionymi przez czas rysami twarzy. Tylko w oczach był jeszcze młody duch, silny, spragniony życia, wciąż mało syty górskim powietrzem, kolejnymi porami roku, zasiewami, zbiorami, rodzącymi się zwierzętami, rosnącymi dziećmi. Wciąż było mu mało.

– Nic się nie stanie – powiedział, patrząc sobie w oczy. – Wszystko zostanie tak, jak jest. Jak było przez dziesięciolecia.

Spojrzał jeszcze raz przez okno. Zobaczył łąkę. Dziewczyny sprzed wielu lat już nie widział.

Rozdział 3

Ależ jestem podekscytowana! – Ada fruwała po sali i nie było w tej przerośni zbyt wiele przesady. Drobna rudowłosa dziewczyna z kręconymi włosami i pięknym uśmiechem poruszała się z gracją, obsługując klientów.

Lidia podchodziła do obowiązków z większym spokojem, ale obie czuły, że to będzie świetny weekend, napiwki bowiem płynęły ze wszystkich stron. Sprzyjała pogoda. Świeciło piękne jesienne słońce. Dookoła jedyne w tej miejscowości hotelu rosły stare duże buki, o tej porze wybarwione w przepięknych czerwono-złoty kolorach. Przez wielkie okna widać było park, niegdyś należący do dworu, który się tutaj mieścił. Serwowano tu całkiem smaczne jedzenie, a przyszło sporo osób, licząc na to, że Mister Max zejdzie na posiłek.

– Rozczarują się – powiedziała jak zawsze świetnie poinformowana Ada.

– Zamówił jedzenie do pokoju – dodała, okręcając sobie lok na palcu.

– Nawet mu się nie dziwię – odparła Lidia. – Chce pewnie przełknąć kilka kęsów w spokoju, zanim dopadną go fani. Zwłaszcza ci, którzy nie mówią ani po angielsku, ani po niemiecku, a pewnie zaraz by go wciągnęli w pogawędkę.

– O, tak. – Ada kiwnęła głową. – Jak moi rodzice na przykład. Ojciec w życiu nie jadł śniadania poza domem, zwłaszcza w restauracji, a teraz tu czatuje. Mówił, że tańczyli z matką na dyskotekach do jego piosenek na swoich pierwszych randkach. Nie cierpię tych opowieści.

Lidia tylko się uśmiechnęła. Ona lubiła, kiedy rodzice wspominali o tych czasach, gdy się poznali. To zresztą była niesamowita historia, dobrze znana wszystkim. Mama właśnie wygrała konkurs piękności, półfinał.

Miała przystąpić do ostatniego etapu. Już wtedy ponoć zaczęła dostawać propozycje udziału w reklamach, jakiejś pracy, ale też prywatnych spotkań od różnych wpływowych mężczyzn. Wydawało się, że świat się przed nią otwiera.

I wtedy poznała tatę. Był kelnerem, jak Lidia dzisiaj. Dorabiał w Krakowie do utrzymania słabo prosperującego gospodarstwa. Podawał drinki na jednym ze spotkań dla uczestników konkursu. Umówili się na kawę, poznali lepiej. A potem mama podjęła niezrozumiałą dla wielu decyzję, że nie pójdzie dalej. Zrezygnuje nie tylko z konkursu, lecz także z innych ofert. Wyjedzie z miłością swojego życia do niewielkiej wioski w górach, by zamieszkać w ogromnym gospodarstwie z dwoma samotnymi mężczyznami, ojcem i synem. I że stworzą tam rodzinę.

„Dziękuję ci, że pozwalasz mi tu być i tworzyć z tobą piękne życie” – taka tabliczka wisiała w kuchni nad ich stołem.

Lidia wychowywała się na tych właśnie słowach. Uwielbiała każdą opowieść o związku rodziców. Jak mama tam przyjechała do taty pierwszy raz i wprowadziła zupełnie nowe porządki. Jak dziadek nawet nie wycierał butów, wchodząc do domu, a potem musiał się wszystkiego nauczyć. Jak stary był to dom i wszystko trzeba było tam wyremontować. W jakim stanie znajdowało się gospodarstwo, jak niewiele trzymali zwierząt. Niczego nie sprzedawali, bo niewiele mieli, było im ciężko. Wszystko potem szybko się zmieniło. Sonia miała zmysł biznesowy. Wszędzie widziała okazję, by coś wytworzyć, wyhodować, zareklamować, sprzedać. A potem pojawiły się dzieci i dom zaczął tętnić życiem.

Dziś zatrudniali nawet pracowników do sezonu zbiorów i wszystko świetnie funkcjonowało. Internet mocno pomagał.

– Dwa razy rosół i pizza margherita! – Lidia szybko wróciła do rzeczywistości.

To mieszane polsko-włoskie danie świetnie pokazywało, jak przenikają się tutaj stare polskie tradycje z nowościami, jakie przynosił dostęp do internetu oraz wyjeżdżające z domu dzieci. W tej wiosce, w której niegdyś drogą chodziły stada owiec, teraz można było kupić sushi, zamówić kuriera

do domu i mieć mnóstwo programów telewizyjnych. Ale wiele rzeczy pozostawało takie jak dawniej.

– Są! – zawołała Ada, ściskając przyjaciółkę mocno za rękę.

Lidka z ciekawością spojrzała w kierunku jednego ze stolików. Siedziało tam pięciu chłopaków, trzech trochę starszych i dwóch młodych, w których rozpoznała członków zespołu. Czytali kartę dań i zastanawiali się nad nią.

– No, moja droga. – Lidka puściła przyjaciółce oko. – To mój rewir, więc idę pierwsza.

Droczyła się z nią, bo wcale nie było jej tak spieszo do obsługiwania zagranicznych turystów. Nie czuła się całkiem pewnie w swojej nowej roli.

– Pięciu i tak nie weźmiesz. – Ada wzruszyła ramionami i rozśmiała się wesoło, a chłopcy od razu spojrzeli w jej stronę. – Znam cię. Ledwo jednego dźwigniesz. O ile w ogóle.

– No tak. Punkt dla ciebie – odpowiedziała Lidia, po czym zakończyła szybko rozmowę. Zobaczyła szefa, patrzącego na nią z naganą. Dwie kelnerki gadają jak najęte, a goście czekają. To się nie mogło spodobać. Ruszyła bez zastanowienia, obsługa tego stolika należała do niej.

Sądziła, że goście będą potrzebowali pomocy w wyborze posiłku, bo chociaż karta dań została przetłumaczona na język angielski, to i tak nie wszystko musiało być dla nich jasne.

– Dzień dobry – przywitała się, a potem powtórzyła to na wszelki wypadek jeszcze po angielsku, ale ku jej zaskoczeniu jeden z chłopaków podniósł głowę i odpowiedział dość ładną polszczyzną.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się. Najpierw sądziła, że umie tylko te dwa słowa. Może jeszcze „dziękuję” jak to się turystom zdarza. Ale on zaczął składać zamówienie. Mówił płynnie i z bardzo dobrym akcentem.

Lidia była tak zaskoczona, że ledwo nadązała notować.

– Świetnie pan zna nasz język – powiedziała, kiedy skończył. Zdążyła mu się przyjrzeć. Miał błyszczące ciemne włosy, niebieskie oczy i bliznę na dłoni, jak po mocnym przecięciu. Sprawiał dobre wrażenie. Zaciekawiał ją.

– Tak, znam – przyznał. – Moja babcia pochodzi z Polski. Zresztą też z gór. Nawet jakoś z tych okolic, ale dokładnie nie wiem.

Była zaskoczona, ale nie dała po sobie poznać. Starła się zachowywać jak profesjonalna kelnerka. Zależało jej, by muzycy wynieśli stąd dobre wspomnienia. Lubiła swoją miejscowość i była z niej dumna.

– To świetnie się składa – powiedziała. – Może polecę panu w takim razie nasze regionalne potrawy. Mamy tu wyśmienite pierogi, doskonały barszcz z uszkami i jeden z najlepszych serników, jaki kiedykolwiek jadłam. A wiem, co mówię, bo moja mama jest mistrzynią tego ciasta.

Chłopak szybko przetłumaczył jej słowa swoim towarzyszom. Nastąpiła krótka narada.

– To bierzemy wszystko! – zawołał. – I jeszcze do tej pizzy, którą zamówiłem, hamburgery i frytki. Dla bezpieczeństwa, żeby nikt dzisiaj nie poszedł spać głodny. Nie wiem, czy moi przyjaciele lubią pierogi. – Spojrzał w ich stronę. – Będzie pani na wieczornym koncercie? – zapytał zaraz potem.

– Tak, oczywiście – odparła Lidia.

– To fajnie – powiedział takim tonem, jakby naprawdę się cieszył, a przecież była tylko jedną z wielu osób, które staną pod sceną. Pomyślała, że umie czarować. To pewnie w jego zawodzie przydatne.

– Wszyscy będziemy – dodała. – To tutaj spora atrakcja.

– W takim razie do zobaczenia – odpowiedział, a ona skinęła głową i odeszła.

To było miłe doświadczenie. Ten muzyk, którym tak mocno ekscytowała się Ada wyglądał jak zupełnie zwyczajny chłopak. Miał niebieski podkoszulek i jeansy, gęste włosy typowo ostrzyżone i uczesane. Na zdjęciach na swoich stronach internetowych pojawiał się zawsze w czarnym podkoszulku, jakiejś opasce na głowie i z gitarą, ale widocznie prywatnie prezentował się nieco inaczej.

– No i jak? I jak? – Ada zaryzykowała kolejnymi napiwkami, bo nie podchodziła do innych stolików, ciekawa, jakie wieści przyniesie Lidia.

– Fajnie – odparła. – Ten ciemnowłosy może być rzeczywiście mój. – Uśmiechnęła się. – Jeśli chodzi o resztę, wybieraj. Ci starsi też są fajni i wcale nie tacy starzy, więc naprawdę jest w czym, ale pamiętaj – dodała ciszej – że życzę ci miłości. Nie tylko przygody.

Ada wzruszyła ramionami, po czym obie ruszyły do kuchni. Podobało im się, że zamówienie jest duże, ponieważ dawało możliwość, że zostanie przyniesione przez dwie kelnerki, żeby wszyscy dostali swoje porcje jednocześnie.

Ale zanim dania zostały przygotowane, co trzeba przyznać, kuchnia zrobiła w rekordowym tempie, ciemnowłosy chłopak zniknął. Został tylko blondyn i reszta członków zespołu. Nie skomentowali braku towarzysza, a dziewczyny nie śmiały o niego zapytać. Lidia położyła talerze i odeszła, Ada wdała się w pogawędkę.

– Macie jeszcze dzisiaj jedną próbę, prawda? – zapytała po angielsku.

– Nie. – Jasnowłosy chłopak pokręcił głową. – W parku sprawdzimy tylko sprzęt i punktualnie o dwudziestej zaczynamy. To właściwie już niedługo – zreflektował się i zaczęli szybciej jeść. – Mam nadzieję, że zobaczymy cię ze sceny – dodał i uśmiechnął się do niej.

Czarować potrafili wszyscy, cały zespół.

– Oczywiście, wyjdę razem z wami – obiecała spontanicznie Ada, choć jeszcze nie miała pomysłu, w jaki sposób mogłaby dotrzymać słowa. Musiałaby się urwać z pracy. Ale bardzo chciała im towarzyszyć od samego początku, zanim do parku zleci się całe miasteczko.

– Lidka, błagam cię, zostaniesz za mnie trochę dłużej? Muszę lecieć. Oni już wychodzą. Ten blondyn powiedział, że weźmie mnie ze sobą, proszę... – Ada przestępowała z nogi na nogę ogromnie zniecierpliwiona i choć teoretycznie czekała na odpowiedź przyjaciółki, to zdjęła już fartuszek i rozwiązała kucyk. Długie rude włosy opadły jej na plecy. Zrobiła krok w stronę wyjścia.

– Idź. – Lidia się uśmiechnęła. – Mnie się tak nie spieszy.

– Dziękuję ci! – Przyjaciółka ucałowała ją serdecznie w oba policzki. – Jesteś najlepsza na świecie, najpiękniejsza, najwspanialsza... – Ostatnie słowo już zniknęło za zmykającą pośpiesznie Adą.

– Czemu się zgodziłaś? – Szef wyszedł z sąsiedniej sali. – Ja nie mam nic przeciwko, wszystko mi jedno, kto odwali całą robotę, ale zostało całkiem sporo do zrobienia.

Rozejrzał się po sali. Niektórzy goście jeszcze jedli, pojawiały się wciąż nowe zamówienia, ale już w zdecydowanie mniejszych ilościach. Niedługo miał się zacząć koncert. Wtedy sala opustoszeje na dobre. Ale to nie oznaczało odpoczynku dla personelu.

– Nie szkodzi – powiedziała Lidka. – Ja się nie spieszę. Ogarnę salę, wszystko poskładam i przygotuję na jutro.

– Mamy wielu ludzi na śniadaniu – ostrzegł ją szef. – Trzeba nakryć każdy stolik. Bardzo starannie – dodał.

– Dobrze, zrobię to. – Uśmiechnęła się do niego.

Wzruszył tylko ramionami, ale zostawił ją. Jak wszyscy tutaj znał Lidie od dziecka i wiedział, że jeśli się do czegoś zobowiąże, słowa dotrzyma. Czasem nie rozumiał tej miłej, cichej dziewczyny. Mogła korzystać z życia o wiele bardziej, a jednak tego nie robiła. Odziedziczyła urodę po matce. Ponoć wygrała ona kiedyś jakiś konkurs piękności. Właściciel hotelu niespecjalnie w to wierzył. Kto by zostawił takie perspektywy dla domu w górach, hodowania kur i pieczenia chleba?

Lidia mogła uniknąć jej losu. Wyjechać do dużego miasta i mieć inne życie. Jednak na razie się na to nie zanosilo.

Rozdział 4

Sonia Skalska siedziała z mężem na tarasie. Zbudowali go na starym garażu kilka lat temu. Było to jedno z ich spełnionych marzeń. Znajdował się wysoko i dzięki temu rozciągał się z niego wspaniały widok na góry. Sonia uwielbiała siadać tutaj o każdej porze dnia, pić kawę lub herbatę, otulać się kocem, a najlepiej się czuła, kiedy mogli to robić razem z Adamem.

Kiedy własnymi rękami tworzyli to miejsce, zbijali deski, malowali je i szlifowali, planowali, że będą tu spędzać mnóstwo czasu. Jednak troje dzieci i praca na gospodarstwie wypełniały ich dni w całości. Ledwo zaczął się ranek, już przychodził wieczór. Tym bardziej cenili chwile takie jak teraz.

Wszyscy poszli na koncert. Chłopcy mieli swoje plany w związku z tym wieczorem, a Lidia pracowała. Sonia i Adam też wybrali się do parku, nawet dziadek pojechał z nimi, ale stanie przez długi czas w dość dużym tłumie, na dodatek przy dźwiękach bardzo głośno ustawionej muzyki, okazało się dla niego wyczerpujące. Dlatego przywieźli seniora rodu do domu, zaprowadzili do jego pokoju, a potem weszli tutaj, bo okazało się, że nagle mają coś tak bardzo cennego jak wolny wieczór.

Sonia przykryła się kocem, ale zamiast na góry pomalowane ciepłymi kolorami przez zachodzące słońce, spojrzała na swoje dłonie.

– Marszczą się – powiedziała do męża. – Wszystko się zmienia. Mam tylko czterdzieści parę lat, a już czuję, że całe moje ciało wchodzi w inną fazę. Co będzie dalej?

– Jesteś piękna – szepnął Adam. – Najpiękniejsza.

– Słucham tego od tyłu już lat – odparła Sonia – i wciąż mi się nie nudzi – dodała. – Czuję się, jakbym codziennie wygrywała konkurs piękności. Wszystko jest tak jak wtedy. Wychodzisz, ktoś na ciebie patrzy, jakieś jury, a potem wydaje werdykt. Ty jesteś moim najwspanialszym jury. Zawsze mnie stawiasz na pierwszym miejscu.

Adam ją pocałował.

– Nie jestem do końca przekonany, czy skład tej komisji jest całkowicie obiektywny – dodał po chwili, uśmiechając się do niej – ale nie zamierzam się z niej zwalniać.

Przytulali się przez chwilę.

– Nie żałujesz tego, co zrobiłaś kiedyś? – zapytał nagle Adam. – Mogłabyś dzisiaj mieć świat u stóp. Pewnie byś wtedy wygrała tę ogólnopolską edycję.

– Może – powiedziała Sonia. Była zamyślona. – Ale popatrz. Ja i tak mam świat u stóp. Z naszego tarasu na wszystko patrzymy z góry. Czuję się tu bardzo szczęśliwa.

Wtuliła się w niego znowu. Wszyscy im to powtarzali. Oni sami też mieli świadomość, że przydarzyło im się coś niezwykłego.

– Nie ma się co dziwić – odezwał się Adam – że Lidia chce tutaj zostać. Patrzy na ciebie.

Sonia westchnęła.

– Nie jest dobrze – powiedziała. – Wysłaliśmy ją na studia, poszła. Posłuchała grzecznie, obroniła licencjat. Namówiliśmy ją na magisterkę, zgodziła się, choć doprawdy nie wiem, na co mogłoby jej się to przydać. Ale to już koniec. Ostatni rok. Nie ma szans, żeby się przekonała do zrobienia doktoratu. Zacznie coś podejrzewać.

– Wiem. – Adam też westchnął. – Te studia nic nam nie pomogły. Minęły cztery lata, przyszedł piąty i ona tak samo jak po maturze chce tu wrócić i zostać. Może trzeba jej wreszcie powiedzieć prawdę?

– Pewnie tak. – Sonia posmutniała. – Tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić. Rodzina jest wszystkim, co mamy. To zachwieje zaufaniem, jakim da-

rzę nas dzieci. Zwlekaliśmy zbyt długo, licząc na to, że to się samo rozwiąże. Twój tata ma osiemdziesiąt lat. Co będzie, jeśli odejdzie i zabierze ze sobą wszystkie informacje? Czy nasze dzieci też tak będą żyć w zawieszeniu jak my?

– W naszym przypadku całkiem nieźle się to sprawdziło, może nie jest takie złe... – Adam ciągle próbował uciekać przed tym tematem. Czuł się winny, że nie załatwił sprawy dawno temu. Ale Soni tak bardzo spodobał się ten dom, a on za nic nie chciał jej stracić.

– Z Lidką to nie przejdzie – powiedziała jego żona, a on natychmiast poczuł dobrze znany skurcz w żołądku. – Jest młoda, konkretna i czasy też nastąpiły inne. Widzisz, ile mamy kłopotów przy każdej najdrobniejszej sprawie? Kanalizacja, gaz, cokolwiek. To i tak cud, że dzieci jeszcze się nie dowiedziały, że ludzie nie gadają.

– Starzy pomarli – odparł Adam. – Nasz ojciec jest długowieczny. A młodzi interesują się tym, co teraz, nie jakimiś dawnymi tajemnicami.

– Jest wrzesień – powiedziała Sonia. – Jeszcze wszędzie pięknie. Żółte liście na drzewach, ale ja to bardzo dobrze znam. Zobacysz, minie tydzień, dwa i wszystko zacznie spadać na ziemię. Pojawią się gołe gałęzie, potem zawieje wiatr i przyjdzie zimno. Ani się nie obejrzymy, jak nadejdą święta i osiemdziesiąte urodziny twojego taty. Lidia zacznie zadawać pytania. Przecież po tych świętach niewiele jej zostanie. Styczeń, luty, ostatnia sesja, a potem już tylko pisanie pracy magisterskiej. Już nie będzie musiała tak często wyjeżdżać do Krakowa. Tyle mamy czasu, co do świąt. Musisz przycisnąć swojego ojca!

– Nie spodziewałem się po tobie takich słów. – Adam objął ją mocniej. – Tata uważa, że jesteś najłagodniejszą istotą pod słońcem, cudem.

– Może bym i chętnie była, ale urodziły nam się dzieci – westchnęła Sonia. – A to czasem wymaga podejmowania trudnych decyzji. Może też nie będzie tak źle? – próbowała trochę zaczarować rzeczywistość i uspokoić samą siebie. – Po prostu z nim pogadasz i tyle.

Adam przez chwilę milczał. Szukał odpowiednich słów.

– Wiesz, kochana, ile razy próbowałem – powiedział po dłuższej chwili.
– Nigdy się nie udało. A tata jest coraz starszy. Boję się, że coś mu się stanie. Tego bym sobie nie wybaczył.

– Ja to rozumiem – odparła szybko i z większym niż wcześniej naciskiem. – A przynajmniej starałam się rozumieć przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Na początku to nie wydawało się dużym problemem, ale z czasem zaczęło. Dłużej tak się nie da! Proszę cię więc po raz pierwszy z całą stanowczością. Porozmawiaj ze swoim ojcem. Zrób coś!

Adam nie odpowiedział. Wciąż się przytulali, czuła więc, jak jego ciało całe się spięło.

Wiedziała, że dotrzyma słowa, choć dużo go to będzie kosztowało. Nie prosiła go jednak dla kaprysu, lecz po długim namyśle, kiedy miała już całkowitą pewność, że naprawdę nie ma innego wyjścia.

Rozdział 5

Nie byłaś na koncercie.

Lidia drgnęła. Wydawało się jej, że jest w pustej sali sama. Uśmiechnęła się.

– W pewnym sensie byłam. – Odwróciła się w stronę ciemnowłosego chłopaka, który cicho wszedł do środka. – Wszystko słyhać przez okno.

– Ale to nie to samo! – oburzył się. – Miałem wrażenie, że przybyło całe miasto.

– I słusznie. Jesteście tutaj dużą atrakcją.

– Ciebie nie widziałem. – Podszedł do niej bliżej. Spięła się. Nie była przyzwyczajona do takiej gry. Mężczyzn trzymała na dystans. Miała swoje plany i żaden z nich jej nie pasował do życiowych celów. To jednak sprawiło, że żartobliwe podejście do tematu było jej całkiem obce.

– Masz mnóstwo fanek – odparła, starając się zachować spokojny ton. Ten chłopak był miły. – Pewnie jesteś przyzwyczajony – dodała. – Nie ma opcji, że robi ci różnicę brak jednej.

– Nie do końca – odpowiedział i zrobił kolejny krok w jej stronę. – To nasz pierwszy większy występ, choć oczywiście dla Mister Maxa chałtura poniżej jego kompetencji. Grać w takiej dziurze. Kiedyś na taką propozycję nawet by nie spojrział.

– To czemu teraz to robi? – zapytała. Zrobiło jej się przykro. Jakby odebrała cios w dobre imię miasta, w którym mieszkała. Było może małe, ale co z tego. – Ma za sobą tyle lat kariery, mógłby odpoczywać – powiedziała.

– Dla pieniędzy – odparł chłopak i znów przysunął się krok bliżej. – Zarabiał miliony, ale nic nie zaoszczędził – dodał. – I teraz jeździ po wiejskich

festynach, świętach miasta i innych takich. Wciąż żyje pokolenie, dla którego jest sławny, więc trochę się kąpie w tej popularności ze starych czasów. Ale stawki coraz niższe, a miasteczka mniejsze.

– Jak można wydać tyle kasy? – zdumiała się Lidia. Rodzice nauczyli ją oszczędności i szacunku dla pieniędzy, które w jej domu pochodziły z ciężkiej pracy. – Mama mówiła, że on był na światowych listach przebojów.

– Owszem, ale wszystko przepuścił – odparł chłopak i podsunął Lidii krzesło. – Usiądź – powiedział ciepło. – Jesteś zmęczona, a sala wygląda pięknie.

Lidia rozejrzała się wokół. Rzeczywiście. Sporo zrobiła w trakcie trwania koncertu, a obowiązków, zgodnie z ostrzeżeniem szefa, było więcej, niż się spodziewała. Bolały ją nogi. Usiadła z ulgą. Nikt tu już nie przyjdzie. Goście hotelowi mogli teraz zamawiać posiłki w barze lub bezpośrednio do pokoi, a miejscowi bawili się w parku. Poszedł tam nawet szef. Odechnęła.

– Mister Max miał wszystko. – Chłopak kontynuował swoją opowieść. – Piękne domy, luksusowe życie, a przede wszystkim kobiety. Po każdym koncercie inna, a każda miała swoje wymagania. Z czasem rosły, bo Max nie zauważył, że czas płynie, przestał być megaprzystojnym młodym człowiekiem i laski potrzebowały coraz więcej finansowego dopingu, żeby piszczeć na jego widok. Teraz ma sporo długów, pije...

– Smutne... – powiedziała Lidka. – Moi rodzice mówią o nim w samych superlatywach. Ludzie mu zazdroszczą, idą na koncert nie tylko po to, żeby posłuchać muzyki, lecz także, by zobaczyć go chociaż z daleka. Tymczasem on prowadzi takie słabe życie.

– Nie wszyscy by się z tobą zgodzili, że laska po każdym koncercie to słabe życie – roześmiał się chłopak. – To wciąż mu działa.

– Pewnie tak – przyznała. – Zapewne i ty korzystasz z takich przywilejów? – zapytała, zanim zdążyła pomyśleć. Zaczerwieniła się i spieszyła tym faktem. Czuła się dorosła, kończyła studia, podjęła ważne decyzje, a reagowała jak nieopierzona nastolatka. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. Umiała trzymać facetów na dystans.

– Jeśli się trafi ktoś interesujący, to owszem – odpowiedział szczerze. – Pewnie cię rozczarowałem? – Spojrzał na nią. – Wyglądasz mi na idealistkę.

– Nie miałam wobec ciebie żadnych oczekiwań – zmieszała się – więc tak się nie stało – dodała ze spokojem. – Każdy ma swój sposób na życie.

– Jestem strasznie głodny – zmienił nagle temat. – Nie zdążyłem zjeść tego obiadu, bo musiałem coś jeszcze sprawdzić przed koncertem, a potem nie było już czasu. Mogłabyś mi coś załatwić?

– Możesz sobie zamówić room serwis. Specjalnie zatrudnili barmana na całą noc. Są tam jakieś przekąski. Może nic specjalnie wykwintnego, ale hamburger z frytkami się znajdzie. Albo sprawdzić, co mają w barze. Ja nie korzystałam, ale ludzie mówią, że pizza jest świetna.

– To bardzo dobre jedzenie. Dasz się zaprosić na kawę albo drinka? – Znów na nią spojrzął. – Nie lubię jeść sam.

Lidia się uśmiechnęła.

– To zależy – odpowiedziała powoli. – Jeśli potrzebujesz towarzysza do posiłku, to chętnie. Czekam na przyjaciółkę, a to może jeszcze chwilę potrwać. Ale jeśli jest to część twojego planu: po każdym koncercie laska, to ja nie bardzo.

Też umiała być szczerą. Nie wiedziała, jak on zareaguje.

– Zgoda – powiedział szybko.

Potraktował jej słowa, jakby były czymś zupełnie naturalnym. Układ, który zaakceptował. Widać w jego świecie każdy miał prawo być sobą.

– Jesteś pewnie stąd? – zapytał, kiedy wyszli z jadalni i przemierzali hotelowy hall, kierując się w stronę baru.

– Tak i bardzo kocham to miejsce – odpowiedziała. Dobrze się czuła w jego towarzystwie. Początkowe spięcie minęło.

– Zazdroszczę. – Uśmiechnął się. – Musi być fajnie tak być do czegoś przywiązany.

– Ty nie jesteś? – zapytała. – Mieszkasz podobno w Monachium. To piękne miasto.

– Przywykłem do niego. – Wzruszył ramionami. – Ma sporo zalet. Jest duże i daje wiele możliwości. Nic poza tym. Mógłbym się wyprowadzić w każdej chwili. Zacząć gdzie indziej.

– Ja nie. – Lidia wypowiedziała te słowa z mocą, jak coś dla niej najważniejszego. – Chcę tutaj zostać na zawsze. Mieszkać w moim rodzinnym domu, niczego nie zmieniać.

– Co to za dom? – zapytał. Nie miał żadnych oporów w poruszaniu osobistych tematów. – Jakaś willa z basenem?

– Nie – zaprotestowała szybko. – Jest bardzo stary. Ma swoją historię, mnie się podoba. Rodzice o niego dbają, ale nie mieści się w żaden sposób w nowoczesnych kategoriach willi.

– Dlaczego?

– Nie ma tam luksusów, za to otacza go ogromne gospodarstwo, a także nieurodzajna ziemia, na której moi przodkowie ciężko pracowali, żeby żywić rodzinę.

– I coś takiego ci się marzy? – Spojrzał na nią zaskoczony. – Ciężka praca?

– Może nie do końca... – przyznała szczerze. – Ale mądra tak. Robienie czegoś pożytecznego, pieczenie chleba, uprawianie roślin, dbanie o zwierzęta, sadzenie nowych drzew w lesie. Zwykle dobre życie.

– Coś nieprawdopodobnego! – zawołał, wchodząc do hotelowego baru. – Moi rówieśnicy mają kompletnie inne priorytety. Ja zresztą też.

Lidia nic nie odpowiedziała. Znała to doskonale. Niezbyt często opowiadała nieznanym ludziom o swoich planach. Zwykle bowiem nie rozumieli. Próbowali ją przekonywać, namawiać do zmiany zdania. Wcale tego nie potrzebowała. Lubiła swoje życie.

Podeszli do baru. Zamówili hamburgera z frytkami, duże kolorowe soki i usiedli przy stoliku. Czekali.

– Mam na imię Markus – przedstawił się chłopak. – Właściwie od tego powinienem był zacząć. – Uśmiechnął się znowu.

– Lidia. – Podała mu rękę.

– Ładnie – odparł. Patrzył jej w oczy. Był bardzo bezpośredni. Ale czuła się w jego towarzystwie swobodnie. – Jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie bym z tobą jutro obejrzał okolicę – zaproponował i to ją jednak nieco zaskoczyło. – Chciałbym też zobaczyć twój dom.

Kiwnęła głową, zanim zdążyła się zastanowić. W sumie nic takiego się nie stało. Rodzina była przyzwyczajona do gości. Żyli tu trochę według starych zasad. Sąsiedzi wpadali do siebie bez zapowiedzi, po prostu, żeby pogadać. Do Skalskich lubili najbardziej, bo dziadek był gawędziarzem i z każdym łąpał kontakt, a Sonia zawsze coś postawiła na stole. Drożdżówkę, chleb z domowym dżemem czy choćby owoce. Nikogo nie zaskoczy kolega Lidii. A jednak miała wrażenie, jakby podjęła jakąś ważną decyzję i nie przemyślała wszystkich możliwych konsekwencji.

Nad czym tu jednak dywagować? To była prosta propozycja chłopaka z daleka, który chciał zobaczyć nowe dla niego miejsce.

– Jak to się stało, że tak dobrze mówisz po polsku? – zapytała, żeby zakończyć te rozmyślenia.

– To moja babcia – odparł. – Czasem myślę, że jest wspaniała, a czasem, że okropna.

Lidia się roześmiała.

– Potrafi kilkukrotnie zmienić zdanie w ciągu jednego dnia – opowiadał dalej Markus. – Z jednej strony zawsze mnie wspiera, dostaję od niej najlepsze kieszonkowe i zawsze ma czekoladki w szafie. Ale z drugiej strony okropnie się do wszystkiego wtrąca i przez całe dzieciństwo mnie terroryzowała tym językiem polskim. Wyobraź sobie, że chodziłem do polskiej szkoły przy konsulacie.

– Naprawdę?! – Zaczynała rozumieć, skąd się wzięło jego bogate słownictwo i swoboda wypowiedzi.

– Tak. – Kiwnął głową. – Kiedy wszystkie dzieciaki miały wolne weekendy, ja zasuwałem i od rana do południa robiłem drugi materiał, niezależny od mojej szkoły. W języku, który był dla mnie obcy. Bo chociaż babcia i mama mówiły w domu po polsku, to i tak ten zasób słów nie wystarczał. Nie masz pojęcia, jak ja się tam męczyłem. Jak ja tego nie znosiłem.

Ale babcia zmusiła mnie i skończyłem podstawówkę. Potem już nie byli w stanie mnie żadną miarą skłonić do kontynuacji. Mówili ciągle: „To ci się kiedyś przyda”. Do czego Europejczykowi może przydać się język polski?!

Lidia opuściła głowę.

– Przepraszam cię, nie chciałem być niemiły – zreflektował się szybko Markus. – Mam po prostu na myśli to, że przecież ja tu nie wrócę, a język polski nie jest często używany w świecie. Może tylko tyle z tego pożytku, że mogę z tobą dzisiaj pogadać. A to fajne.

Nie wiedziała, czy próbuje być miły, czy faktycznie mówi szczerze, ale chyba nie udawał. Sprawiał wrażenie kogoś, kto jest zawsze szczerzy.

– Twoja babcia musiała tęsknić za krajem, skoro tak kultywowała ojczy-
ste tradycje. – Spojrzała na niego.

– Z jednej strony tak – przyznał – ale z drugiej nigdy nie przyjechała tu-
taj nawet w odwiedziny i nas też nie zabrała w swoje rodzinne strony.
W sumie mało wiem o całej tej historii. Tyle że urodziła się gdzieś w gó-
rach w miejscowości takiej jak ta, niewielkiej. Chyba tam była w tle jakaś
nieszczęśliwa miłość, bo związane są z tym strasznie mocne emocje. Kiedy
tylko próbujemy o coś pytać, zawsze jest awantura. Aż tak nie byłem cie-
kawym.

– A mama ci nie opowiedziała? – zapytała Lidia.

– Nie, bo ona wychowała się w Monachium. Babcia wyszła za męża za
Polaka, więc to był również język, którym posługiwali się w domu. Potem
dziadek zmarł, a rodzice się rozwiedli. I w ten sposób od dziecka byłem je-
dynym chłopakiem w domu. Być może jestem z tego powodu nieco roz-
puszczony. – Mrugnął do niej okiem.

Barman przyniósł im posiłek. Zamilkli, bo chłopak bardzo uważnie im
się przyglądał i wyraźnie był zainteresowany każdym słowem, jakie wypo-
wiadali.

– Cześć, Filip – przywitała się z nim Lidia, a on oficjalnie skinął głową.
Jakby już nie była koleżanką ze szkoły, lecz gościem. – Zamówiłeś po-

dwójną porcję? – zdziwiła się, patrząc na sporą ilość jedzenia. Nie pamiętała, by wybierali aż tyle. Jakoś to Markus jednak załatwił.

– Tak – przyznał. – Przecież ty też potrzebujesz czegoś dobrego.

– Dawno nie próbowałam takich dziwnych bułek. – Lidia przyjrzała się nieufnie pieczywu, w które wpakowano hamburgera. – Wiesz, moja mama piecze chleby.

– Ale jak to? – zdziwił się. – Tak każdego dnia?

– Owszem. Jest nas troje rodzeństwa. Rodzice i dziadek.

– I dla wszystkich starczy?

Kiwnęła głową.

– Niewiarygodne – powiedział Markus. – Podziwiam, ale nie chciałbym naśladować. Dla mnie to taka bezsensowna strata czasu. Możesz coś kupić w sklepie, a męczysz się, żeby samemu to wyprodukować.

– Muszę ci jednak pokazać nasz dom. – Lidia się uśmiechnęła. – Zobaczysz, jaka to magia. To nie ma znaczenia, czy mnie zrozumiesz, czy nie, ale z pewnością doświadczysz czegoś, czego jeszcze nigdy nie widziałeś.

– A to lubię. – Markus spojrział na nią z uznaniem. – Dużo podróżuję. A kiedy stanę się zawodowym muzykiem, co już się zbliża, będę jeździł jeszcze więcej. Uwielbiam poznawać nowe miejsca, odkrywać coś. Czuję wtedy, że żyję.

– A widzisz, mnie z kolei niczego więcej nie potrzeba. Ja czuję, że żyję w tym jednym miejscu. To wystarcza. Tu ciągle dzieje się coś nowego. Coś rośnie, kwitnie, zmienia się, a jednocześnie masz na wyciągnięcie ręki wszystko, co kochasz. Zawsze w tym samym miejscu.

– Jesteś niezwykła – powiedział, a potem pochylił się w jej stronę.

– Przyjmuję to za komplement z ust człowieka o sporym doświadczeniu, który ma porównanie – wypowiedziała te słowa żartem.

– Tak jest – przyznał otwarcie Markus.

I wtedy zrobiło jej się przykro. Nie miała prawa. Był przypadkowo spotkanym człowiekiem. Już na wstępie opowiedział jej, kim jest i jakie ma ży-

ciowe zasady. A jednak te wypowiedziane wprost słowa sprawiły, że ścisnęło jej się serce. Poczowała, że jest bardzo zmęczona.

– Chyba nie będę czekać już na Adę – powiedziała, przecierając oczy. – Pójdę do domu. Miała mnie podwieźć swoim samochodem, ale szybciej jednak będzie piechotą. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest i kiedy wróci.

– To daleko? – zapytał Markus.

– Kawalek.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

– Nie możesz – odparła. – W ciemności sam nie wrócisz, nie znajdziesz drogi. Nawigacja nie zawsze u nas łapie zasięg.

– To cię odwiozę. Macie tu pewnie jakiegoś Ubera albo taksówki.

Lidia się roześmiała.

– Uber działa bardzo rzadko – wyjaśniła – i tylko z jednego punktu w miasteczku, głównie w weekendy albo jakieś święta, kiedy spodziewają się większej liczby zamówień. Taksówkarzy jest trzech i zapewne wszyscy już śpią. Rozwozili ludzi po koncercie. Dziękuję ci, ale dam sobie radę, jestem przyzwyczajona.

– No czekaj – zaprotestował. – Przecież tak cię nie puszczę. Mamy jeszcze naszego busa. Skoczę tylko po kluczyki. Zaczekaj na mnie pięć minut. I zjedz coś – dodał. Złapał do ręki swojego hamburgera.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pobiegł w stronę schodów i słyszała, jak przeskakuje po kilka stopni. Potem zapadła cisza. Barman patrzył na nią.

– Hej, Lidka! – zawołał. Kiedy zostali sami przestała być gościem hotelowym i znów stała się koleżanką. – Nie pójdziesz chyba za obcego? – roześmiał się.

– Nie opowiadaj bzdur, Filip! – zdenerwowała się. – To tylko rozmowa, nic więcej.

– A ja tak na niego patrzę od samego początku – powiedział chłopak powoli. – I powiem ci, mam wrażenie, jakbym go znał.

– Ma polskie korzenie, więc to możliwe – odpowiedziała, uspokajając się. Te emocje jej nie służyły, zwykle nad sobą lepiej panowała, nie chciała

też tworzyć żadnych plotek. – Jego babcia pochodzi z gór – wyjaśniła. – Może my tu wszyscy jesteśmy tacy sami albo do siebie bardzo podobni? – Uśmiechnęła się.

– Swój chłopak. – Filip kiwnął głową. – I widzisz, tamci piją w pokoju, imprezują, już czwarty raz im drinki donoszę, a ten trzeźwy.

– No to ja nie wiem, czy swój chłopak – powiedziała Lidia z powątpiewaniem. – I czy górale by go tak sklasyfikowali.

– Jest inny niż oni, ale też zdecydowanie inny niż my. A jednak mam wrażenie, jakbym go znał.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Markus właśnie wrócił. Zabrzęczał kluczykami i spojrzał na nią.

– Nic nie zjadłaś – zauważył z niezadowoleniem. – To są naprawdę dobre hamburgery. Bo frytki to już całkiem zimne.

– Wezmę – odparła szybko. Nie lubiła, kiedy jedzenie się marnowało.

Poprosiła barmana, żeby jej spakował, a potem poszli na parking. Stał tam ogromny bus, do którego załadowano już sprzęt ściągnięty ze sceny.

– Możesz tym jechać? – zapytała.

– Tak – odpowiedział. – Jestem liderem tej grupy i często też kierowcą. Z chłopakami różnie bywa. Lubią imprezować.

– Nie boisz się, że będzie z wami tak samo? – zapytała, kiedy wsiedli do auta. – Że kiedy zyskacie więcej popularności, twoi koledzy też będą coraz więcej pić, przepuszczać pieniądze na panienki jak Mister Max i potem staniecie się sławni, ale nieszczęśliwi?

Spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem, a potem zapalił silnik i ruszył. Nie odpowiedział.

Nie wiedziała, czy sam wielokrotnie się nad tym zastanawiał i ma już jakąś odpowiedź albo remedium na podobne kłopoty, czy też wcale jeszcze o tym nie myślał. Może był szczęśliwy, że ktoś wreszcie zauważył jego zespół i po długim czasie grania w garażu dostali prawdziwą szansę. Nie naciskała. Nie chciał odpowiadać, to było jego prawo.

Milczeli. Silnik szumiał. Nawigacja o dziwo działała. Może niemieckie są lepsze? Jak proszek do prania albo odplamiacz, który kiedyś przywiozła im ciocia?

Otaczała ich ciemność. Im dalej od hotelu, tym gęstsza. Z rzadka przetykana światłami mijanych domów.

Lidia patrzyła na profil Markusa, jego dłonie położone na kierownicy. Dobrze się czuła w towarzystwie tego nieznanego człowieka. Nie zależało jej wcale, aby ją rozumiał ani podziwiał jej poglądy. Po prostu było to spotkanie zupełnie różnych osób, które okazały się nawzajem ciekawe swojego świata.

– Jeśli chcesz zobaczyć mój dom, to przyjdź do nas jutro na śniadanie – tym razem zaprosiła go świadomie. – Przedpołudniową zmianę w hotelu ma ktoś inny, więc tam się nie spotkamy. A nasze śniadania są słynne na całą okolicę.

Nie miała poczucia, że dzieje się właśnie coś ważnego. A jednak po plecach przebiegł jej dreszcz. Czekwała na odpowiedź w napięciu. Zdążyli dojechać na miejsce, a on wciąż milczał.

– O której godzinie? – zapytał Markus.

– Domownicy wstają bardzo wcześnie, ale ja będę czekać. Przybądź po prostu, jak zgłodniejesz. Trafisz?

Dom był oświetlony, ale droga pełna zakrętów.

– Przypnę sobie pinezkę – odparł, zaznaczając coś w telefonie.

– To w takim razie do zobaczenia jutro. – Uśmiechnęła się, wysiadła, po czym ruszyła w stronę bramki.

Szkoda, że nie mieszkasz tutaj na stałe – pomyślała. – Fajnie się rozmawiało.

W normalnej sytuacji byłoby to całkiem miłe rozpoczęcie dłuższej znajomości. Gdyby był stąd, chętnie spotkałaby się z nim znowu. Rzadko doświadczała tego uczucia. Poznawała chłopaków, ale na jednej kawie, rozmowie czy wspólnym wyjściu się kończyło. Lidia pomyślała, idąc logiką Ady szukającej czegoś dobrego w każdym wydarzeniu, że skoro spotkała

Markusa, to znaczy, że tacy mężczyźni jednak chodzą po świecie i jest dla niej szansa, że pojawi się inny o podobnym usposobieniu, ale mieszkający bliżej.

Kiedy wchodziła do ciemnego domu, uświadomiła sobie, że jej logika ma poważne luki. Szansa na spotkanie nieznanego mężczyzny stąd jest właściwie zerowa, bo Lidia znała wszystkich. Ale z drugiej strony zawsze ktoś się może przeprowadzić!

Z tą konkluzją weszła do swojego pokoju i zaczęła się przygotowywać do snu. Czuła się zmęczona, ale podekscytowana. Jakby jutro miało przynieść coś nie tylko dobrego, lecz także wyjątkowego.

Ciekawe, jak poszło Adzie? – zastanawiała się. – Nie pisze, więc chyba jest bardzo zajęta.

Wysłała jej wiadomość, że dotarła już do domu, ale przyjaciółka nic nie odpisała.

Rozdział 6

Następnego dnia Lidia wstała bardzo wcześnie. Liczyła się z tym, że nie będzie mogła zedrzeć się z łóżka, bo całe popołudnie spędzone w hotelu, a także późniejsze sprzątanie i przygotowywanie sali, dały jej się jednak we znaki. Nastawiła sobie nawet budzik, bo nie chciała, żeby gość zastał rodzinę nieprzygotowaną.

Ale te wszystkie ostrożności okazały się niepotrzebne, bo już o piątej rano coś kazało jej natychmiast wstać, biec do kuchni i rozpocząć przygotowania. Jakby jej dom miał przejść ważny egzamin i wszystko to, co do tej pory opowiadali o nim ludzie, właśnie zostało poddawane weryfikacji.

Dziwne to było uczucie, zupełnie dotąd jej nieznanne. Często zapraszano tutaj gości. Właściwie każdy przyjaciel Lidki i jej rodzeństwa lubił tu bywać. Nieraz po szkole przychodzili całymi gromadami. Wpadali sąsiedzi, bywali wszyscy znaczący w okolicy ludzie: dyrektor szkoły, nauczyciele zaprzyjaźnieni z rodzicami, ksiądz, lekarz, urzędnicy, pani z poczty. A także burmistrz.

Czuli się tu dobrze. Nieraz przy tym wielkim stole decydowały się ważne sprawy i odbywały różne konsultacje, które w innych warunkach nie miałyby szans, bo na przykład dyrektor szkoły nie znosił proboszcza, dyrektorka biblioteki wiecznie walczyła z burmistrzem, a on w sumie z każdym.

No, chyba że zbliżały się wybory. Wtedy robił się łagodny i każdemu coś obiecywał. Zasadniczo jednak przy pysznym jedzeniu, w dobrej atmosferze miejscowi na chwilę zapominali o swoich animozjach.

Dziadek mówił, że to zasługa niezwykłych mediacyjnych talentów jego synowej, ale Lidka uważała, że po prostu strach przed tym, że jak będą się kłócić, to nie dostaną więcej tego przepysznego jedzenia.

W tym pragmatycznym spojrzeniu mogło być sporo prawdy.

Przychodzą na wyzerkę – mawiała Ada. Ona też uwielbiała to robić i nigdy nie kryła się ze swoją miłością do domowego chleba Soni i różnych innych przysmaków.

Lidia zbiegła na dół, po czym weszła do kuchni i zajrzała do lodówki. Były tam dwa koszyczki wyrośniętego już, przygotowanego wcześniej ciasta, tak zwanego nocnego chleba. W szafce w spiżarni czekał inny, który rósł w temperaturze pokojowej, również całą noc. Oprócz tego na półce stały słoiki z naturalnymi żytnimi zakwasami, gotowymi, by je połączyć i zacząć domową magię. Mama знаła mnóstwo przepisów na chleby: wolne i szybkie, skomplikowane i proste, żytnie, pszenne, owsiane, z ziarnami i bez, słodkie, z kawałkami salami, z cebulką, z czarnuszką – jakie tylko chcieć. Każdy charakteryzował się chrupiącą skórką i wspaniałym aromatem.

Lidka zajrzała do chlebaka. Oczywiście tylko okruszki. Wiadomo, bracia wrócili późno, wszystko pożarli. Musiała się spieszyć. Włączyła piekarnik, wyciągnęła garnek i doskonale znanymi ruchami, które tysiące razy widziała u swojej mamy, przełożyła ciasto do formy. Najpierw jedno, potem drugie.

Wstawiła do pieca. Potem zaczęła przygotowywać cytrynową tartę i małe naleśniki. Wyciągnęła z lodówki piękne duże jajka od ich własnych kur, cebulkę, podsmażyła kiełbasę, zrobiła sos z jogurtu i konfitury borówkowej, wyciągnęła domowe masło, biały ser i kilka rodzajów robionego przez mamę dżemu.

Pracowała szybko. Nie wiedziała, co Markus lubi, chciała być dobrze przygotowana. Włączyła jeszcze ekspres do kawy, bo w czasie tych wszystkich prac okropnie jej się ziewało. Przygotowanie kremu do tarty chwilę jej zajęło, cytrynowy to był jej ulubiony.

Dlaczego ja się tak staram? – zastanawiała się, kiedy paczka cukru wyleciała jej z rąk. – Czy z tego powodu, że on przyjechał z zagranicy? Co to ma do rzeczy? Jest muzykiem? Jakie to ma znaczenie? Czy mi się spodobał? To przecież bez sensu! Sam powiedział, że spotyka się z wieloma

dziewczynami. Niebawem wyjeżdża i nie reprezentuje niczego, co bym ceniła w potencjalnym partnerze. Po prostu jest miły i tyle. Po prostu się staram i tyle – wyjaśniła sobie, podsumowując zawile rozmyślenia.

Może miała to w genach? Mama też zawsze z wielką starannością podchodziła do przyjmowania gości. Chciała, by ludzie czuli się w ich domu dobrze i bez dwóch zdań osiągała ten cel.

Lidka kilkakrotnie spróbowała kremu, aż wreszcie poczuła się usatysfakcjonowana. Był pyszny.

Sonia spała.

Czuła się nieswojo. Była już na granicy snu i jawy, powoli się przebudzając. Nie mogła się odnaleźć. Z jednej strony miała pełną świadomość, że leży w łóżku. Nie dało się tego pomylić z niczym innym, bo mąż obok chrapał tak głośno, że to było aż dziwne, że szyby nie drżą. Kiedyś miała z tym ogromny problem, ciągle ją to chrapanie wybudzało, ale z czasem się przyzwyczaiła. Przytuliła się do Adama i poczuła ciepło dobrze znajomego ciała. Wciąż bardzo się kochali i upływ czasu niczego tutaj nie zmieniał.

Była więc z całą pewnością w swoim łóżku, a jednocześnie miała wrażenie, jakby już wstała, zdążyła upiec chleby, bo ten charakterystyczny doskonale znany jej zapach docierał do niej wszystkimi zmysłami. Słyszała, jak stuka garnkami, jak pika jej piekarnik, leje się woda, brzęczy ekspres do kawy, coś się smaży. Aromat chleba, kawy i kiełbasek mieszał się ze smażoną cebulką. Wszystkim tym, co kojarzy się z pysznym porannym posiłkiem. Aż jej zaburczało w brzuchu.

Ludzie mówili, że jest mistrzynią gotowania. No, ale przecież nie miała aż takich mocy, żeby bez ruszania się z pościeli przygotować posiłek.

Podniosła powieki. Przestraszyła się, że jest już bardzo późno i chłopcy sami szykują się do szkoły. Zerwała się. Nie, była dopiero siódma. Poza tym dziś niedziela. Żadna ludzka siła nie zedrze ich przed dziewiątą z łóżek. Wrócili wczoraj późno.

Kiedy jednak usiadła i otworzyła oczy, dotarło do niej, że ktoś jednak w kuchni działa.

Lidia – pomyślała.

Dotąd dziewczyna raczej się spełniała w gospodarstwie. Uwielbiała pracę w ogrodzie, w warzywniku i ponad wszystko kochała zwierzęta. Kiedy tylko poszła karmić kury, kaczki albo owce, potrafiła nie wrócić przez dwie, trzy godziny. Głaskała króliki po głowie i nadawała kurom imiona.

Sonia pocałowała męża w ramię, a potem wstała. Adam nawet nie drgnął. Spał mocno. Zeszła po cichu na dół i zobaczyła swoją najstarszą córkę w ferworze działań. Piekły się chleby, a na swoją kolej czekała cytrynowa tarta wykonana według starego rodzinnego, dość skomplikowanego przepisu. Kawa była gotowa, kiełbaski i inne smakołyki również.

– Co to za święto? – zapytała, a Lidia drgnęła. – Chciałaś nam zrobić niespodziankę? Czy ktoś ma dzisiaj urodziny i jest jakaś rocznica ślubu?

Wystraszyła się, że może o czymś ważnym zapomniała.

– Zaprosiłam gościa na śniadanie – odparła Lidia. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Naprawdę? – ucieszyła się Sonia.

Wreszcie! Nie była staroświecka, wcale nie uważała, że dwudziestotrzyletnia dziewczyna koniecznie musi mieć już chłopaka, ale jednak podobnie jak większość znajomych i rodziny dziwiła się, że córka, choć tak atrakcyjna, miła i bez wątpienia wartościowa jako osoba, nigdy jeszcze nie miała okazji, by umawiać się na prawdziwe randki, niechętnie nawiązywała znajomości i zawsze mówiła: nie. Ciągłe coś jej się nie podobało. Pewnie poznała kogoś na koncercie. Sonia była gotowa w tym momencie nawet poczuć wdzięczność wobec burmistrza, za którym zasadniczo nie przepadała, jeśli taki miał być skutek jego działań.

– Czy to ktoś miły? – zapytała.

– O tak, bardzo – odparła Lidia, tonem, który ucieszył jej mamę. – Widziałas go. To chłopak z tego zespołu, który grał przed Mister Maxem.

– Ach! – rozczarowała się natychmiast Sonia. – Ten Niemiec?

– Tak. Powiedziałaś to tak, jakby się odezwały w tobie wszystkie narodowe uprzedzenia.

– Nie, nie, ależ skąd – zaczęła się tłumaczyć Sonia. – Ja po prostu... – Nie skończyła nawet tego zdania. Co miała powiedzieć? Że liczyła na inną znajomość, bliższą, perspektywiczną, taką, dla której opłacałoby się właśnie wyciągnąć z piekarnika chleb. Omal się nie spalił. – Ostatni moment – powiedziała, kładąc piękny bochenek z przyrumienioną brązową skórką.

– Chciał poznać okolicę – powiedziała Lidia. – I zobaczyć nasz dom.

– W jakim języku my będziemy z nim rozmawiać? – zaniepokoiła się. – Wiesz, że ja po angielsku słabo, a po niemiecku to już w ogóle wcale. Tata też nie bardzo i dziadek. Tylko wy, młodzi. Może sobie poradzicie sami.

– On mówi po polsku – wyjaśniła Lidia, ścierając starannie wielki kuchenny stół. – Jego babcia urodziła się gdzieś w górach, ale on dokładnie nie kojarzy nazwy miejscowości. Rodzice też są polskojęzyczni.

– A to ciekawe. – Sonia opanowała już swoje rozczarowanie. Może chłopak nie był perspektywiczny, jeśli chodzi o relację z jej córką, ale zawsze to gość. – Powiem dziadkowi, ubiorę się i trochę ci pomogę – zdecydowała.

Pół godziny później stół był już pięknie nakryty. Stał na nim bukiet z jarzębiny, jabłka z sadu, a dziadek i rodzice powoli popijali kawę, przegryzając ją ciepłym jeszcze chlebem, tak jak wszyscy lubili.

– Ja tam się cieszę, że Lidka kogoś zaprosiła – powiedział Ignacy.

Łyknął kawy ze swojego ulubionego pomarańczowego kubka, który pamiętał jeszcze czasy, gdy Sonia po raz pierwszy przekroczyła progi tego domu. Dostał go od niej w prezencie. Hołubił niczym skarb i w domu jednym z większych stresów była obawa, że kiedyś ten wyjątkowy kubek się stłucze. Ale na razie trzymał się świetnie, dokładnie tak jak dziadek.

– To tylko znajomy – odezwała się szybko Lidka. – Proszę was, nie róbcie tematu.

Ciągle się krzątała, coś poprawiając i przenosząc.

– Normalnie bym powiedział, że na śniadania byle kogo się nie zaprasza – odezwał się Ignacy. – Ale tak, ja wiem, przez ten dom przewijają się

tłumy głodomorów i to trochę moja wina. Należało zaprotestować od początku, a nie cieszyć się, że znów mamy gości. Ani się nie obejrzałem, jak zalała nas prawdziwa fala.

– Nie narzekaj. – Adam pogłaskał tatę po plecach. – Uwielbiasz towarzystwo. A my też mamy wsparcie. Każdy coś przyniesie, pomoże, załatwi.

– O tak! – przyznał Ignacy z uśmiechem. – I właśnie tak sobie kombinuję, że ten miły chłopiec pewnie ma jakichś kolegów, a oni swoich kolegów i tak ziarno do ziarnka... Kto wie, co z tego wyniknie.

Sonia tylko się uśmiechnęła. Złapała się na tym, że gdzieś w głębi serca sama tak myśli. Kimkolwiek był ten nieznajomy, jako pierwszy sprawił, że ich córka otworzyła się na tyle, by nawiązać z nim relacje. Zaprosić do domu. To dobry znak. Za chwilę będzie mogła zrobić to po raz kolejny. Może z kimś innym, bardziej odpowiednim. Grunt, że się przełamała.

Spojrzała na nią z czułością. Taka ładna dziewczyna, taka niezwykła. Zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

Wtedy zadźwięczał dzwonek do drzwi. Lidia spojrzała na zegarek. Była ósma.

Dość wcześnie – pomyślała, a potem pobiegła, by otworzyć. Szybciej, niż miała zamiar.

– Cześć. – Po drugiej stronie stał zgodnie z jej spodziewaniem Markus. – Widzę, że cię nie obudziłem. A szczerze powiedziawszy, miałem zamiar zrobić ci niespodziankę.

– To nie u nas. Zwykle budzimy się wcześniej, żeby zdążyć z różnymi pracami, latem przed upałem, a jesienią przed nawałem roboty. Raczej nie masz szans.

– Czuję się sprowokowany – powiedział Markus. – Szkoda, że nie zostaję dłużej, bo może bym dzięki tobie zobaczył kiedyś jakiś wschód słońca. Nigdy tego nie doświadczyłem, a słyszałem, że podobno ładne. Ale na TikToku też można obejrzeć – dodał.

Uśmiechnął się i wszedł do środka.

Lidia ruszyła za nim. Uważała, że film to zupełnie coś innego niż prawdziwe przeżycie, ale co tam. Ona też oglądała różne rzeczy, na przykład właśnie koncerty. Wcale jej to nie skłaniało do tego, żeby spakować plecak i ruszyć w podróż po Europie, by w każdym takim wydarzeniu uczestniczyć osobiście.

– Dzień dobry – przywitał się Markus, wchodząc do kuchni. A ona stała za nim spokojna, pewna swojej rodziny, którą przecież tak doskonale znała.

Jednak wydarzyło się coś niespodziewanego. Przede wszystkim dziwnie zachował się dziadek. Patrzył w tego chłopca dość intensywnie i chyba widok mu się nie spodobał. To było dość niespotykane.

Lidia znała dziadka jako uprzejmego starszego mężczyznę, który z każdym potrafił znaleźć wspólny język, nawet z przeciwnikami politycznymi, a bywało, że z ludźmi po prostu głupimi, którzy wygłaszali nieznośnym sprzeciwu tonem bezsensowne opinie. Dawał radę. A teraz jakby się w sobie zaciął. Po krótkiej prezentacji nie zaczął jak zwykle dyskusji. Uwielbiał swoją rolę seniora rodu i zwykle niełatwo oddawał pałeczkę, a tym razem milczał. Mieszał intensywnie w swoim kubku z kawą, choć Lidia wiedziała, że już dawno temu cukier mu się rozpuścił.

Markus nie zdążył jeszcze nic wiele powiedzieć, więc dziadek nie mógł się do niego zrazić na podstawie zachowania czy jakichś nieopatrnie wypowiedzianych słów. A nawet gdyby tak się stało, dziadek przecież umiał zachować spokój. Okazać choćby chłodną uprzejmość.

Teraz był wyraźnie zły.

Ignacy poczuł, że ma osiemdziesiąt lat. A to bardzo dużo. Urodziny miały być świętowane z wielką pompą w Wigilię, kiedy to wieczorną porą przyszedł na świat. Jeszcze jakiś czas temu wydawało mu się, że jest w niezłej formie. Pesel to tylko cyfry. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Zaprzeczał upływowi czasu, świetnie się trzymał i dopisywało mu zdrowie. Nawet jeśli ubywało sił, to i tak jak na osiemdziesięciolatka cieszył się dobrym zdrowiem i sporym zapasem życiowej energii.

Ale w momencie gdy ten obcy chłopak przekroczył próg ich domu, nagle poczuł na plecach każdy rok, a szczególnie ten jeden, jedyny w życiu, kiedy popełnił błąd. Raz tylko, ale za to ogromny. I choć ten nieznajomy chłopak siedział za stołem dopiero od kilku chwil, Ignacy czuł, że przybył tutaj, aby sprowadzić na ich rodzinę kłopoty, jakich nigdy jeszcze nie mieli.

Zaciskał dłonie pod stołem i próbował szybko coś wymyślić. Niezręczne milczenie, które wynikało z faktu, iż się nie odzywał, szybko jednak przerozdziło się w pogawędkę. Rodzina zaczęła sobie radzić bez niego.

– To wspaniałe, że przyjechałeś odwiedzić kraj, z którego pochodzi twoja rodzina – zaczęła Sonia.

Adam od razu wsparł żonę. Też lubił, kiedy goście czuli się u nich dobrze. Zaczął wypytywać Markusa o muzykę i chłopak szybko się rozgadał.

Lidia postawiła przed nim kubek z kawą i talerz, nakłaniając go, by się częstował. Podszedł do tego z równym entuzjazmem. Jadł, chwalił i uśmiechał się.

Ignacy patrzył na to z niezadowoleniem.

Wszyscy sobie radzili, a on nie miał pojęcia, co robić. Najlepiej by było wziąć chłopaka za fraki i po prostu wyrzucić z domu. Kiedyś tak już zrobił. Zadziałało skutecznie. Głupi facet nigdy więcej się nie pojawił, ale konsekwencje okazały się bardzo złe. Nie mógł więc drugi raz sobie na to pozwolić. Nie wspominając już o tym, że siły nie te, a ten młodzieniaszek wyglądał całkiem krzepko. Pewnie ćwiczy na tych nowoczesnych siłowniach. Kiedyś ludzie dorabiali się formy podczas sianokosów. Dziś biegają jak chomiki na specjalnych taśmach.

Normalnie nie miał nic do tego, ale zły humor nie pozwalał mu na spokojną ocenę sytuacji.

Wszystko mu się nie podobało: ciemne włosy Markusa, jego niebieskie oczy, śmiałe spojrzenie, to, że rozmawiał ze wszystkimi, jakby znali się od lat. Fakt, w jaki sposób spoglądał na Lidie... To chyba najbardziej. No właśnie! A także to, że ona przy nim wydawała się przejęta.

Błagam, tylko nie to! – pomyślał. – Jakże okrutna byłaby to zemsta. Najgorsza z możliwych. Minęło tyle lat. Błędy przeszłości też powinny się przedawniać, jak w kodeksie karnym. Czy życie tego nie rozumie?

Dawno już przestał się bać. W przekonaniu, że świat zapomniał o tym, co się wydarzyło wiele lat temu, uda mu się nie zapłacić za swój czyn.

Jednak teraz kiedy zobaczył, jak Lidia spogląda na chłopaka ukradkiem, bardzo pożałował, że nie odpokutował swojego błędu, kiedy był na to czas. Nawet teraz gotów był natychmiast przyjąć wszelkie konsekwencje. Byle tylko nie to, tylko nie to!

Miał ochotę krzyknąć, uderzyć pięścią w stół, ale nic nie mógł zrobić. Rodzina by przecież tego nie zrozumiała. Przeżyliby szok.

Może nie warto się tak denerwować? – próbował się uspokoić. – Nic się nie wydarzy?

Gdyby był głupi, byłoby mu łatwiej. Nie musiałby tak szybko kojarzyć faktów, a te zdawały się mówić jasno, że jego wnuczka po raz pierwszy polubiła jakiegoś chłopca. Na tyle, by upiec dla niego chleb, śmiać się wesoło w jego towarzystwie, a nawet kręcić włosy na palcu jak Ada. Szlag by to trafił! Robiła to bezwiednie, a jednak ten stary odruch pańienek, którym zależało, by się komuś spodobać, był także w niej gdzieś głęboko zakorzeniony.

Nigdy dotąd nie dostrzegł u niej takich zachowań. Przez całe liceum, studia rodzina czekała, wypatrywała, czy Lidia będzie się z kimś spotykać, czy kogoś przyprowadzi. Nic. Teraz nagle się to stało. Jednak w sposób kompletnie niezgodny z zamówieniem.

– To jest pan muzykiem? – odblokował się wreszcie Ignacy.

– Tak – odpowiedział chłopak, spoglądając na niego ze zdziwieniem, bo od dziesięciu minut opowiadał o swojej pracy.

– To niełatwy zawód – dodał Ignacy nerwowo. – Człowiek się wiecznie pląta po świecie, nigdzie nie ma domu, a popularność to czasem ciężkie brzemię.

– Ja nie narzekam – odparł Markus. – Lubię podróżować, zawsze o tym marzyłem. Cieszę się, kiedy wszystko się zmienia: krajobrazy, otoczenie, ludzie. Ciągle kogoś nowego poznaję, czegoś interesującego się dowiaduję. To jest świetne. Już jako dziecko lubiłem wyjeżdżać, a zanim wybrałem zawód, zwiedziłem spory kawałek świata razem z ojcem.

– On też jest muzykiem? – zapytał Ignacy takim tonem, jakby uzupełniał mu kartotekę policyjną. A wybrany przez Markusa zawód znajdował się na liście wyjątkowo nieprzyjemnych wykroczeń.

– Nie – odparł chłopak spokojnie. – Inżynierem, ale pracuje przy projektach w różnych częściach świata.

– Mama też z nim jeździ? – dopytywał się dziadek dość oschłym tonem.

Lidia wyraźnie zaczynała się denerwować. To przesłuchanie nie było przyjemne, a pytania zbyt osobiste. Patrzyła na Markusa, starając się dostrzec, czy jest mu przykro. Jak na razie wykazywał się o wiele większą klasą niż Ignacy.

– Nie – znów odparł spokojnie, patrząc na dziadka. – Rodzice są po rozwodzie. Rozstali się, kiedy miałem dwa lata.

Lidia spojrzała na niego z wyraźnym współczuciem, a Ignacy miał ochotę ugryźć się w język. Po co się dopytywał o takie szczegóły? Wzruszające opowieści budują więź. Wiedział o tym. Lidia już patrzyła na Markusa, jakby mu chciała pomóc. Jeszcze jej będzie go żal i wzbudzi w niej większą sympatię. Porzucone dziecko. To każdego łapie za serce. A przecież ten chłopak był kimś zupełnie innym. Zwyczajny włóczyki bez dachu nad głową i jakiegokolwiek stabilizacji! I taki się akurat musiał spodobać Lidii!

– Popularność dzisiaj też nie jest czymś rzadkim – mówił dalej do niego Markus. – Jest mnóstwo znanych ludzi, a także sposoby, by dobrze tym zarządzać. Nie boję się. Cieszę się, że mogę przeżyć taką przygodę.

Sprawił wrażenie bardzo pewnego siebie. Wypowiadał swoje osądy mocnym tonem i widać było, że są one przemyślane.

Biedna Lidia – pomyślał Ignacy. – W co ty się, dziecko, pakujesz?

Jedyna nadzieja, że ten dureń wyjeżdża jutro, a to za mało czasu, żeby się zakochać. Zwłaszcza jak na potrzeby jego zrównoważonej i statecznej wnuczki.

– Piękny ten chleb – powiedział Markus, spoglądając na Lidię i jej mamę. – To naprawdę coś niezwykłego. – Oglądał wzorki na skórce i gładził je palcem.

Ignacy miał ochotę pacnąć go w łapę. Jak śmie? To było ich. Sonia przyniosła ten zwyczaj w te strony, wcześniej był nieznany. Jego matka i babka też piekły chleby, ale po prostu wyrabiały ciasto, czasem nacinały bochenek na krzyż albo z boku, żeby nie popękał. Nikt jednak nie rysował gałązek ani nie układał z ziaren maku środka kwiatu, a płatków nie malował żółtkiem. Teraz wiele kobiet w okolicy podobno też to robi. Może kiedyś to nawet stanie się miejscową tradycją? Ale temu chłopakowi nic do tego!

– Na dodatek to smakuje przepysznie – dodał Markus, przegryzając piętękę, którą miał już na talerzu. Pojadł sera, pochwalił, widać było, że wszystko bardzo mu smakuje i się podoba.

Jak na wycieczce krajoznawczej – pomyślał ze złością Ignacy. – Przybył do nas niczym do jakiegoś muzeum, ogląda sobie inne obyczaje, a nie zapłacił nawet za bilet. Potem pojedzie, a kto wie, czy moja wnuczka doceni wtedy zwykłego chłopaka stąd, jak się jej, a także dziadkowi od lat marzyło.

– Gdzie dokładnie mieszkasz? – zapytał jeszcze Ignacy.

– W Monachium.

– Dużo tam spędzasz czasu? Pewnie większość jesteś w podróży.

– Jeszcze nie, choć zwiedziłem już kawałek świata – odparł Markus. – Dopiero zaczynamy dostawać pierwsze zaproszenia na prawdziwe koncerty, tak że jeszcze sporo czasu spędzam z babcią.

– Babcia mieszka z wami? – dopytywał się intensywnie Ignacy. Lidia miała ochotę kopnąć go pod stołem.

– Nie, dwa osiedla dalej, ale często u nas bywa.

– Mówiłeś, że urodziła się w Polsce.

– Tak – przyznał Markus, cierpliwie odpowiadając na wszystkie pytania.
– Nawet gdzieś w górach. Nie pamiętam, czy wspominała, jak się dokładnie nazywała ta miejscowość. To i tak zresztą nic by mi nie powiedziało, ale teraz zapytam po powrocie, czy kojarzy wasze Słominki. Pięknie tu u was.

– Zabrać cię w góry? Pokazać okolicę? – zapytała Lidia. Koniecznie chciała zmienić temat i zakończyć to przesłuchanie.

– O, nie! – zawołał odruchowo Ignacy, a wszyscy spojrzeli na niego.

– Dlaczego? – zdziwiła się Sonia. – To przecież dobry pomysł.

– Koło Monachium pełno gór – odparł Ignacy. – Alpy. Co tam nasze małe szczyty? Nie zrobią na nim żadnego wrażenia. Pewnie chodzi ciągle i nie takie widuje.

Sonia nie poznawała teścia. Był znanym lokalnym patriotą, który wszystkim zachwalał okolicę. A teraz nie dość, że protestował, to jeszcze robił to nieprzyjemnym tonem.

– Nie jest tak – odezwał się łagodnie chłopak. Markusa chyba nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. – Gór za dużo nie znam. U nas w domu nie było takiego zwyczaju. Raczej jeździliśmy na wakacje nad morze, do ciepłych krajów z ojcem, w różne egzotyczne miejsca, ale na wędrówki nikt mnie nie zabierał. Chętnie spróbuję. Byłem może raz czy dwa razy z wycieczką szkolną, ale to pewnie nie to samo.

Spojrzał na Lidię tak, że w Ignacym aż się zagotowało.

Co ty robisz, głupi człowieku?! – pomyślał ze złością. – Ona nie jest eksponatem w muzeum regionalnym, tylko żywym człowiekiem!

Wierzył mocno w odporność psychiczną swojej wnuczki, w jej rozsądek i opanowanie, ale wyprawa w góry to był zdecydowanie zły pomysł. Zielono, romantycznie, pięknie, teraz jesienią szczególnie. Jeszcze wszystkie liście nie zdążyły pospadać z drzew, o co Ignacy miał w tej chwili do nich osobistą pretensję, i na dodatek świeciło słońce, a przecież mogłoby padać. Co temu deszczowi zależy? Jemu wszystko jedno, a dla Ignacego byłaby to ogromna różnica i wsparcie. Wtedy by nigdzie nie poszli. Może spędziliby

ten czas w domu, a on nie zostawiłby ich samych nawet na moment. Oj, to była niegłupia myśl.

– Słuchajcie – powiedział i tym razem jego ton zabrzmiał nawet dość życzliwie. – Może zanim wyjdziecie, ja pokażę Markusowi nasze gospodarstwo?

Pomyślał, że to zajmie sporo czasu. Było o czym opowiadać: las, łąki, pola uprawne, warzywniak, kurnik, owce, które hodowali, stodoła, gołębie, dwa koty, trzy psy. Stwierdził, że do odjazdu akurat starczy tematu. W żadne góry nie poleżą. Będzie opowiadał tak długo, aż zajdzie słońce.

Lidia spojrzała za okno, sprawdzając pogodę.

– To świetny pomysł, dziadku – powiedziała. – Ale myślę, że zrobimy na odwrót. Najpierw wybierzemy się na wycieczkę, korzystając ze słońca, a po południu obejrzymy sobie twoje włości. Jeżeli będzie padało, to znajdziemy jakąś alternatywę, a teraz to pogoda aż zaprasza, żeby iść.

Markus bardzo szybko dojadł następną pajdę chleba, którą prawie wepchał sobie w usta, dopił kawę i serdecznie podziękował.

– A zapomniałbym – powiedział, wychodząc do przedpokoju. Na szafce miał położoną papierową torbę. – Przyniosłem podarunki. Niemiecką czekoladę. Babcia mówiła, że podobno w Polsce ludzie ją lubią, to przywiozłem dużo. – Wyciągnął cały stos milki i jeszcze jakichś innych smakołyków.

Ignacy pomyślał, że to głupi i nietaktowny pomysł. Pewnie ten młokos myśli, że u nas czegoś brakuje. Tymczasem pełno tego w Lidlu i w Biedronce. Zgrzytnął zębami, ale uprzejmość nie pozwoliła mu odezwać się głośniej. Miał ochotę powiedzieć, że w ramach rewanżu kupi mu plombę, bo słyszał, że Niemcy lubią polskich dentystów, ale zamiast tego uśmiechnął się tylko złośliwie.

– Babcia często przyjeżdża do Polski? – zapytał.

– Nie, nigdy właściwie nie była. My też nie. Nie opowiada o swojej rodzinie.

– To dziwne! – zawołał zapalczywie Ignacy, ale potem zaraz zamilkł pod spojrzeniem swojej wnuczki, które było dość niecodzienne. Zawsze dostrzegał w nim tylko miłość i akceptację, teraz jakby wyrzut. No tak, może on sam też wiele nie opowiadał o swoich najbliższych. Ale on miał powód!

Patrzył, jak Lidia biegnie do swojego pokoju, żeby się przebrać. Przeskakuje po dwa stopnie. Spieszyło jej się. Markus gawędził z jego synem o Bawarii, tamtejszych górach, poruszając się po temacie swobodnie, choć jeszcze chwilę temu zapewniał, że pieszce wędrowni to nie jest jego doświadczenie.

Na pewno jest jakimś cholernym kłamcą! – pomyślał Ignacy. – Co robić?

Pod pretekstem pomocy w kuchni poszedł do Soni, dopadł ją przy zlewie. Pochylił się i wyszeptał jej prawie do ucha:

– Proszę cię, nie pozwól jej iść. Zrób coś.

– Spokojnie tato, to duża dziewczyna – odparła synowa. – Nie możesz jej tak kontrolować. Przecież wyjeżdża do Krakowa i daje sobie sama radę. Potrafi podejmować dobre decyzje.

– To nie to samo – zachnął się Ignacy. – Tak źle jeszcze nigdy nie było.

– Tato. – Uśmiechnęła się. – To tylko znajomy. Ciekawy, bo artysta, ale przecież ona nie wiąże z nim żadnych poważnych planów. Ma swoje. Wiesz, jaka jest uparta pod tym względem. Z żadnym muzykiem w świat nie pojedzie.

– Soniu, błagam cię. – Ignacy nie ustępował. – Wiesz, że nieczęsto o coś proszę, ale teraz jestem przekonany, że źle się dzieje. Mam dziwne przeczucia. – Widział, że synowa już otwiera usta, żeby go uspokoić. Musiał więc wyjaśnić trochę więcej. – Proszę cię, kochana, zrozum. Ja miałem kiedyś siostrę i ona była strasznie do niego podobna, też z taką pewnością wygłaszała poglądy, choć była bardzo młoda. No i ta upartość. Nikt nie mógł znaleźć ratunku. Wyniknęło z tego dużo cierpienia dla naszej rodziny. On mi ją w pewien sposób przypomina. Nie z wyglądu, ale ma coś takiego w oczach, taką bezczelność... i upór... A poza tym muzycy to nic dobrego. Ja to wiem...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo do kuchni wbiegła Lidka. Miała już przygotowany plecak. Wrzuciła do niego dwie butelki wody i kilka drożdżówek z jabłkami. Ignacy poczuł, że zaciska zęby. To były jego ulubione bułki i wcale nie chciał, żeby ten cudzoziemiec poznał ich boski smak, zachwycił się i może przyjechał kiedyś po więcej. Po raz pierwszy pożałował, że ten dom jest taki wyjątkowy. Karmi tu tak smacznie, wszystkich goszczą. Może czasem trzeba postępować inaczej i szczelnie zamykać drzwi? Zwłaszcza przed obcymi.

– Pa, dziadku! – Cmoknięcie w policzek wyrwało go z tych ponurych myśli.

– Do widzenia – grzecznie powiedział Markus.

– A żeby cię! – wymruczał pod nosem Ignacy.

– Tatus, co z tobą? – Sonia odwróciła się jego stroną.

– Nic, dziecko. Po prostu zależy nam obojemu na Lidii. Zależy nam bardzo.

Nie mógł jej już nic więcej powiedzieć. Bał się, że jeśli zacznie wyjaśniać, już się nie zatrzyma, a wciąż nie wiedział, w jaki sposób mógłby to wszystko, co się wydarzyło, wyjaśnić. Jak się usprawiedliwić? Był przecież dobrym człowiekiem i za takiego uznawała go rodzina. Ludzie tak łatwo oceniają. Czy są w stanie zrozumieć, że ktoś może mieć dobre intencje, ale popełnić ogromny błąd?

Stał i patrzył za nimi, jak szli. Najpierw przez podwórko, a potem piękną łąkę, która kończyła się tuż pod samym lasem. Tam zaczynał się wąwóz i prowadząca w górę ścieżka. Po bokach, na dużych polanach pod starymi dębami rosły najlepsze borowiki, a wcześniej jeżyny i poziomki.

Co za cholernie przyjazna okolica! – pomyślał. – Można ją pokochać bardzo szybko. Na szczęście jeżyny dawno już przestały owocować. Poziomek też nie było za wiele. Czy znajdą jakieś grzyby, trudno było ocenić.

Tak czy inaczej, to wszystko bardzo mu się nie podobało.

Rozdział 7

To był wyjątkowo piękny dzień. Idealny taką wyprawę. A Lidia była dumna z tych gór porośniętych czerwono-żółtymi drzewami, jakby osobiście je stworzyła.

Pokazywała wszystko Markusowi, poddając jego ocenie, i czuła, że dopiero teraz, kiedy wszystko pochwalił, to rzeczywiście takim się stało. Jakby dostało pieczętkę uznania. Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest i czemu przywiązuje do zdania tego chłopaka tak dużą wagę. Wydawało jej się, że to z tego powodu, że on tak dużo w życiu swoim widział, bywał w różnych miejscach. Skoro więc mu się podobało, to znaczy, że naprawdę było niezwykle.

– No pięknie, przyznaję – usłyszała, kiedy dotarli na większe wzniesienie.

Była tam polana. Na środku rósł ogromny buk. Miał na pewno więcej niż sto lat. Lidia bardzo go lubiła. Często tu przychodziła, poniżej bowiem, na samym końcu polany, rosło mnóstwo malin. Zbierała je, a kiedy się zmęczyła, siadała pod drzewem, opierała się o jego pień i myślała. Marzyła, snuła plany. To było jej miejsce. Ogromnie ją ciekawiło, czy spodoba się także Markusowi, czy w ogóle odróżni je od reszty piękna, które zewsząd ich otaczało: gór, mnóstwa innych drzew, kolejnych polan, które jeszcze będą mijać, zanim wrócą do domu.

Mocno świeciło słońce, wręcz przypiekało. Ostatnie akcenty jesieni w tym roku okazały się wyjątkowo atrakcyjne. Przystanęli na chwilę niedaleko drzewa. Markus patrzył na góry. Nie wiedziała, o czym myśli, ale wyraźnie gdzieś odpłynął.

Zawiał mocny wiatr i z drzewa poleciały liście, które nagle obsypały ich oboje, jakby spadł złoty deszcz, podświetlany promieniami słońca. Żółte liście spadały na nich, wirowały w powietrzu. To było coś niesamowitego. Wiatr delikatnie muskał ich skórę, policzki, i otulał oboje. Lidia czuła się jak w środku czegoś magicznego.

Markus spojrzał w jej stronę.

– Naprawdę chcesz tu zostać na zawsze? – zapytał rzeczowo, jakby wcale nie dostrzegał tego, co się działo.

Zdumiała się tymi słowami.

– Jest ładnie – mówił dalej. – To prawda. Ale żebyście chcieli przeżyć życie w jednym miejscu, kiedy świat jest tak niesamowicie obfity, piękny i różnorodny?! To straszne. Jesteś zbyt mądra, zbyt ładna, wrażliwa i sensowna, żeby tak zmarnować sobie życie.

Nie takich słów spodziewała się w tej niezwykłej scenerii, ale odpowiedziała szczerze. Miała to przemyślane.

– Słyszałeś kiedyś, że świat jest holograficzny? – zapytała. I tym razem to ona go zaskoczyła. – To znaczy – wyjaśniła – że w każdej najmniejszej cząstce zapisana jest całość. Możesz tak samo cieszyć się jednym drzewem, jak całym lasem. To jest ta sama radość. Ja nie mówię, że nigdzie nie pojedę, niczego nie zobaczę, to nie tak. Ale nie potrzebuję wszystkiego, żeby być szczęśliwa. Chcę po prostu zostać tutaj.

– Jesteś trochę jak to drzewo – odparł. – Mocno zapuściłaś korzenie.

Wiatr dmuchnął raz jeszcze, jakby dawał mu szansę i Markus z niej skorzystał. Odwrócił się w stronę Lidii, wziął śmiało jej twarz w swojej dłoni. Zaczepnęła powietrza. Wiedziała, do czego on zmierza. Nastąpił moment, kiedy mogła zareagować, zaprotestować. Miała szansę. Nie mogła powiedzieć, że rzeczy dzieją się za szybko albo że Markus ją do czegośkolwiek zmusił. To by nie było uczciwe.

Nic jednak nie zrobiła, po prostu patrzyła mu w oczy jak zahipnotyzowana, a potem on ją pocałował. Najpierw delikatnie, po chwili bardziej na-

miętnie. Było to pierwsze takie doświadczenie w jej życiu i przeżyła je bardzo głęboko.

Markus odsunął ją na długość ramion.

– Tylko się nie przejmuj – powiedział, kiedy ona cała drżała. – Lubię się całować, warto to robić, jest bardzo przyjemne – dodał, po czym wziął ją za rękę i poszli dalej. Przez deszcz spadających liści wyszli znów na ścieżkę.

Lidia nie mogła dojść do siebie, uspokoić się po tym wszystkim, poukładać sobie myśli. Były one nieprawdopodobnie sprzeczne.

Ten pocałunek był piękny i nawet jeśli miał się odbyć z człowiekiem, którego na pewno nie pokocha, to i tak doświadczyła czegoś niezwykłego. To miejsce, otoczenie i on. Nie da się ukryć, że była tym chłopakiem mocno zafascynowana. O ile nawet nie zafascynowana.

On jednak w całości był już skoncentrowany na czym innym. Tamto drzewo zostało za nim, pocałunek też i całą sobą zakotwiczony był już w teraźniejszości. Wiedziała, że zapomni o niej, gdy tylko stąd wyjedzie.

– Gdzie masz następny koncert? – zapytała. Starła się, by nie domyślić się, jak bardzo jest przejęta. Nie chciała wyjść na osobę z prowincji, która niczego w życiu nie doświadczyła.

– Bułgaria – odparł. – Mister Max ma najwięcej miłośników w krajach dawnej komuny. Był tam nieprawdopodobnie popularny, kiedy miał tyle lat co ja. A my jesteśmy pod niego podczepieni. Jest w planach na wiosnę Francja i Norwegia, ale nie ma co marzyć, że zabierze nas do Stanów, Wielkiej Brytanii, Australii na jakieś wielkie sceny – opowiadał, maszerując ścieżką. Stawiał duże kroki. – Tam czas biegnie szybciej – dodał – i ludzie mają już innych idoli. Natomiast do Polski jeszcze wrócimy, bo ta tygodniowa trasa, którą właśnie kończymy, to był spory sukces. Nie spodziewałem się, że u was można zrobić tyle kasy i że płacicie w euro.

– A co myślałeś? – obraziła się – że to dziki kraj?!

– Trochę – przyznał jak zawsze szczerze. – Babcia mi opowiadała, że u niej w domu zupy gotowało się na ogniu, który palił się w piecu. Trzeba było rąbać drzewo i nosić wodę ze studni.

– I co, nie ogarniasz, że czasy się zmieniły? – oburzyła się. Jak można było być tak naiwnym?

– Nie, no jasne, wiem – zareagował szybko. – W Bawarii jeszcze trzy pokolenia wstecz też paliło się w piecu. Po prostu nie spodziewałem się, że jest tutaj tak fajnie. – Zmiękczył ją trochę. – A wiesz, że znam wszystkie wasze ludowe pieśni? – pochwalił się.

– Naprawdę?

– Tak.

Staął na ścieżce na tle ściany lasu. Słońce oświetlało jego włosy. Podniósł jedną rękę do góry drugą, położył na sercu, a potem zaśpiewał pięknie:

– „Czerwone korale, czerwone niczym wino”. – I zatańczył coś à la taniec ludowy góralski pomieszany z grekiem zorba, hołubcami i kto wie czym jeszcze. Tak jak sobie zapewne wyobrażał, że to wygląda.

– To nie jest do końca ludowa piosenka. – Lidia się roześmiała. – Choć z pewnością ma takie korzenie. Gdzie ty się tego nauczyłeś?

– Moja babcia jest dziwną kobietą – odpowiedział. – Nigdy do Polski nie chciała przyjechać, chociaż jej proponowaliśmy taką wycieczkę całkiem często. Mama miała pomysł, że zrobi jej prezent na święta czy urodziny i wykupi jakiś fajny wyjazd. Ale tak się oburzyła, jakbyśmy ją czymś mocno urazili. A z drugiej strony ciągle ogląda polskie filmy, czyta książki. Kiedy byłem dzieckiem, tańczyła w zespole ludowym i wlokła mnie na wszystkie próby. Coś niewiarygodnego. Czekał, umiem chyba jeszcze krakowiaka – powiedział, po czym położył rękę na biodrze i zaczął śmiesznie podskakiwać.

Lidia dostała ataku śmiechu. Nie mogła się opanować, aż jej łzy popłynęły z oczu.

– To chyba nie tak szło! – zawołała.

– No to może mnie nauczysz? – zapytał. Podszedł do niej, szybko ją objął w pasie i zaczął wywijać jakąś polkę galopkę dwa na dwa.

To w sumie jest dość międzynarodowy układ, więc szło mu całkiem nieźle. Chwilę potem padli oboje zdyszani na trawę.

– Muszę popracować nad formą – powiedział. – To dla artysty kluczowa sprawa.

Leżeli. Było bardzo ciepło, brzęczały pszczoły i śpiewały ptaki, z pobliskich drzew padały na ziemię liście.

– To, co najbardziej pamiętam z tych waszych obyczajów, to Boże Narodzenie – odezwał się Markus. – Świętowaliśmy je zawsze bardzo długo, bo babcia należała do różnych stowarzyszeń, parafii, klubów. No i oczywiście tego zespołu folklorystycznego. I wszędzie oni w grudniu organizowali wigilię, a babcia mnie na nią zabierała. Objadłem się tych wszystkich barszczów z uszkami, nasłuchałem kolęd. Nawet fajnie było. Trochę żałuję, że przestałem to robić. Nie wiem właściwie dlaczego. Kiedy skończyłem jedenaście lat, zaprotestowałem i nie dałem się już więcej tam zaciągnąć, a potem babcia wycofała się z niektórych organizacji i jakoś tak sprawa umarła.

– A wy w domu nie świętujecie? – zapytała Lidia.

– Słabo – odparł. – Mama nie przepada za tradycjami. Ojciec zawsze gdzieś jest wtedy daleko, czasem mnie zaprasza. To fajne wyprawy, no, ale tam się nie świętuje w ten sposób. Dostają jakiś prezent, wieszamy światełka, na oknach są dekoracje, pierniki. Czuje się, że to inne dni, ale nie tak jak tutaj.

– To przyjeźdź do nas na Gwiazdkę – powiedziała spontanicznie Lidia. – Pokażę ci święta, jakie ci się wtedy podobały. Celebrowane na maksa. U nas w rodzinie to najważniejsze dni w roku, a tym razem będzie wyjątkowo, bo dziadek kończy osiemdziesiąt lat.

– Niezły wiek – przyznał Markus. – Świetnie się trzyma.

Lidia leżała na ziemi, przyciskając mocno głowę do trawy. Patrzyła na chmury i czekała w napięciu na jego odpowiedź. Nie spodziewała się po sobie, że tak jej będzie zależało, tymczasem on jakby nie usłyszał jej propozycji. Skomentował tylko wiek dziadka, a zaproszenia wcale.

– Chyba wszyscy seniorzy stąd są tacy sami. Moja babcia też jest taka zasadnicza jak twój dziadek – mówił dalej – i sztywna.

– No co ty? – oburzyła się Lidia. – Dziadek taki nie jest. Zupełnie. Miał dzisiaj jakiś zły dzień. To jak? – nie wytrzymała. – Przyjedziesz do nas na święta?

Obrócił się błyskawicznie w jej stronę, aż się wystraszyła. Podparł się na łokciu, po czym spojrzał na nią.

– A chciałybyś?

No tak, w tych sprawach był mocny. Zajmował się flirtowaniem we wszystkich językach i kulturach. Umiał to robić. Patrzył tak intensywnie, uśmiechał się, był tak ładnie zbudowany, wesoły, bezpośredni. Wszystko to działało jak mieszanka mocnego alkoholu, cukru i soku, która zwała z nóg, zanim się zorientujesz, że w ogóle coś wypieś.

Lidia postanowiła być twarda i nie dać mu tej satysfakcji. Milczała, bo nie chciała kłamać. Bała się też, że on się zorientuje, jak bardzo jej zależy. A to by nikomu nie wyszło na dobre. Za słaba była w gierkach, żeby wygrać z takim mistrzem. Przymknęła oczy.

Trudno. Niech się dzieje, co chce – pomyślała, a potem znowu poczuła jego pocałunki na ustach. Tym razem bardzo delikatne.

– Działasz na mnie jak adrenalina na koncercie, choć jesteś najspokojniejszą osobą, jaką udało mi się poznać – powiedział, po czym podniósł się i usiadł. – Co z ciebie za niezwykła dziewczyna?

Nie odpowiedziała. I wcale jej się nie spodobał komplement. Nie zawierał odpowiedzi na jej pytanie. Markus chyba się domyślił.

– W święta mamy koncerty – powiedział, patrząc jej w oczy. – Każdego dnia oprócz Wigilii, rzecz jasna. Nawet nie pamiętam, gdzie my wtedy jesteśmy. Chyba znowu na Węgrzech. Nie zdążę do ciebie dojechać.

To jednak było rozczarowanie. Lidia powoli wstała, a potem się uśmiechnęła, żeby nie dać mu odczuć, iż sprawił jej przykrość. Miał przecież prawo. Co to za głupota spodziewać się, że człowiek, którego ledwo co po-

znała, zupełnie obcy, mający swoje plany i marzenia, a także skryzalizowaną wizję przyszłości, przyjedzie do obcych ludzi na święta?

– Chodźmy dalej – powiedziała. – Mam ci jeszcze sporo do pokazania.

Ruszył za nią. Tym razem ona szła pierwsza, opalona, gibka, smukła. W krótkich dzinsowych spodenkach i bluzie, po plecach wiły jej się jasne włosy, była piękna.

– Poczekaj! – Podbiegł do niej. – Pokażę ci kawałek mojego życia.

Wyciągnął z kieszeni telefon i otworzył galerię zdjęć. Przysunął się bliżej i zaczął przewijać. Miał to nieźle poukładane chronologicznie od najmłodszych lat, czego od razu mu pozazdrościła, bo ona sama od dawna przymierała się do zrobienia porządku w fotografiach, ale nigdy nie starczało na to czasu.

Przystanąła.

– Usiądźmy – zaproponowała. Chciała to wszystko dokładnie zobaczyć na spokojnie.

Uroczy bobas przyciągnął jej wzrok. Pierwsze zdjęcie było jeszcze z dwojgiem rodziców, potem już pojawiali się pojedynczo mama albo tata. Jeszcze później głównie tata w najprzeróżniejszych miejscach. Niektóre rozpoznawała: Dubaj, Paryż, Włochy, o innych Markus jej opowiadał. Zaczęło jej się kręcić w głowie od nadmiaru informacji, nazw miejscowości, stolic, rzek, hoteli. Nawet sobie nie potrafiła wyobrazić, jak może wyglądać takie życie.

– Słuchaj. – Odwrócił się w jej stronę. – A może zrobimy inaczej? To ty przyjedziesz do mnie – zaproponował. – Ten koncert w Budapeszcie to ma być wielkie wydarzenie z mnóstwem imprez towarzyszących, ze świetnymi ludźmi. Międzynarodowe środowisko. Wpadnij, wkręcę cię do hotelu, będziesz mi towarzyszyć, przeżyjesz przygodę. – W jego ustach to ostatnie słowo brzmiało jak najważniejszy atut. Coś, chyba dla niego najistotniejsze. Przygoda.

– W święta? – zdumiała się Lidia. – Mój dziadek ma urodziny – dodała, jakby ta oczywista rzecz kończyła wszelką dyskusję.

Ale dla Markusa najwyraźniej tak nie było.

– No i co? – zapytał. – Miał ich w życiu wiele i będzie miał jeszcze kolejne. Wygląda na bardzo żywotnego człowieka, a mnie wyraźnie nie lubi, więc pewnie nie byłoby mu miło widzieć mnie na swojej imprezie. A ja za to się bardzo ucieszę z twojego towarzystwa. Zobacysz, będzie świetnie. – Objął ją i przytulił na moment. – No, nie zastanawiaj się tak strasznie nad tym. Przecież nie proponuję ci związku ani wspólnego życia. Wrzucić na luz.

Wstała.

– Chodź, zejdziemy na skróty do domu i dziadek pokaże ci gospodarstwo. – Jej głos był spokojny, ale w środku wrzało. Już nie chciała z nim spacerować.

– Naprawdę o tym nie marzę – roześmiał się Markus. Nie dostrzegając jej napięcia. – Wróć raczej skrótem do hotelu. Może się spakuję, bo rano wyjeżdżamy wcześniej, a jeszcze trzeba przygotować sprzęt do drogi. Nie tylko nasz, ale też ten Mister Maxa. Pił wczoraj z całą ekipą, pewnie dzisiaj odsypiają. Ciągłe to robi, a potem narzeka na personel, że niczego nie mogą dopilnować. Wiecznie są nietrzeźwi, nic dziwnego, że niektóre sprawy im umykają.

Tak jak wcześniej nie udzielił jej odpowiedzi, tak teraz chyba też nie czekał na to, co ona zdecyduje. Dla Lidii to było trudne, ale nie chciała pozostawiać spraw w zawieszeniu.

– Ja nie przyjadę do ciebie w święta – powiedziała. – To w ogóle nie wchodzi w grę.

– Szkoda. – Wzruszył ramionami, a potem poszli dalej.

Rozmowa już im się nie kleiła.

Rozdział 8

Sonia usiadła na tarasie, mimo iż niedawno dopiero minęło południe, skończyli obiad i czekało na nią jeszcze mnóstwo pracy. Czuła się jednak zmęczona. Ostatnio coraz częściej dopadało ją to uczucie.

– Hej! – Adam wyszedł z pokoju, usiadł obok niej. – Co się dzieje? – zapytał. – Smucisz się?

– Nie – odparła. – Tracę siły. Czas dopada każdego.

Przytulił ją tylko. Nic nie mówił. Może to lepiej? Upływ czasu czuli oboje.

– Jest dobrze – odezwał się wreszcie Adam. – Zbudowaliśmy fajne życie, mamy oszczędności, piękną rodzinę, dom, bezpieczeństwo. A jak będzie bardzo źle, to sprzedamy kawałek działki. Grunty teraz bardzo urosły w cenie.

– Jak sprzedamy? – zapytała.

Westchnął tylko. Zaskoczyła go. Chciał ją pocieszyć i powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy. Źle trafił. Nie mogli sprzedać działek, bo do nich nie należały.

– Dobrze. Porozmawiam z ojcem – obiecał. – Proszę, nie martw się tym już. To nie może być takie skomplikowane, będzie tylko wymagało trochę czasu. Trzeba to wreszcie uporządkować. Masz rację.

Po raz pierwszy poczuła, że rzeczywiście mąż podjął decyzję i mimo iż wcześniej też wspominał, że podejmie działania, to teraz wiedziała, że będzie to robił nie tylko dla niej, lecz także dlatego, że taką podjął decyzję. Też miał dość.

– Udało nam się coś niezwykle rzadkiego. Jesteśmy szczęśliwi, więc i ten problem rozwiążemy. – Przytulił ją mocniej. – Nie z takimi rzeczami dawaliśmy radę. Pamiętaj, jak dzieci były małe, jak było ciężko?

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – Ale nie żałuję żadnej z tych chwil. Patrz. – Podniosła się. Od strony lasu środkiem łąki sąsiada ku domowi zmierzała Lidia. Z Markusem.

Sonia i Adam mieli w głowie pełno różnych myśli. Krążyły one pomiędzy skrajnościami, że wizyta Markusa nie ma żadnego znaczenia, to tylko jedna z wielu, jakie odbyły się w tym domu, lub że może wnieść w ich życie poważną zmianę, której by nie chcieli. Wprowadzi zamęt w ustabilizowaną, spokojną egzystencję ich ukochanej córki.

Ale żadne się nie odezwało. Patrzyli w milczeniu, jak Lidia i jej towarzysz podchodzą pod bramę, a potem on pośpiesznie się żegna, machając jej, po czym rusza w kierunku swojego samochodu zaparkowanego tuż przy drodze. I to by właściwie było na tyle. Widać Markus nie był zainteresowany oglądaniem gospodarstwa, bo nawet nie wszedł, by pożegnać się z dziadkiem.

Lidia zaś po jego wizycie poszła do swojego pokoju i nie wychodziła z niego aż do kolacji.

Kiedy zeszła wieczorem do jadalni, mieli gości. Zadowolony burmistrz siedział rozparty na krześle i przechwalał się, że koncert to ogromny sukces.

– Mówię wam, nikt jeszcze w naszym miasteczku nie miał takiego dobrego pomysłu.

Chłopcy słuchali go nieuważnie, dziadek, wymawiając się złym samopoczuciem, zabrał sobie kanapki i kakao do swojego pokoju, a Sonia krzątała się w kuchni.

Lidia też nie włączyła się w rozmowę o politycznych sukcesach burmistrza. Zrobiła sobie tylko herbatę i wróciła do siebie.

Następnego dnia wcześniej rano zgodnie z planem Markus wraz z resztą muzyków wyjechali. Wszyscy odetchnęli z ulgą, jakby to oznaczało powrót

do normalności. Na dodatek zaczął padać deszcz i po wczorajszej złotej jesieni nie pozostał nawet ślad. Dziś liście leciały z drzew mokre, lepkie, nieprzyjemne. Błękitne wczoraj niebo zaciągnęły ciężkie chmury i już o czternastej zrobiło się ciemno.

Po obiedzie Lidia stała przy oknie, piła herbatę i patrzyła na polewany deszczem świat. Nie zauważyła, kiedy podszedł do niej dziadek. Drgnęła.

– Proszę cię, nie myśl o nim – powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu. – To człowiek niewart twojej uwagi. Pędziwiatr, obieżyświat, przez takich tylko się cierpi.

– Skąd wiesz, że o nim myślę? – zapytała. – Może się zastanawiam nad rozkładem zajęć na studiach. Jeszcze nie przysłali, a chciałabym wiedzieć, jak to będzie wyglądało.

– Jakoś ta zaduma mi nie pasuje do takiego prozaicznego tematu – westchnął dziadek. – Markus to ciekawy człowiek – dodał.

Spojrzała na niego.

– Ja wiem – skrzywił się Ignacy. – To się może podobać. Ale uwierz mi, przez takich tylko się cierpi. – Zawiesił głos. Zerknął na wnuczkę, ale nie wyglądała na specjalnie przekonaną.

Cóż! – pomyślał. – Nigdy kogoś takiego nie spotkała, nie miała okazji się przekonać, to i nic dziwnego, że jest nieufna. Może myśli, że dziadek żałuje jej przygody.

Tak nie było i czuł, że powinien jej to wyjaśnić.

– Mało o tym opowiadał – odezwał się – ale ja znam dobrze taką sytuację. Wiesz, miałem kiedyś młodszą siostrę.

Lidia drgnęła. Nie słyszała wcześniej tej historii i nieraz się zastanawiała, dlaczego dziadek tak mało opowiada o swojej rodzinie.

– Była bardzo podobna z charakteru do tego człowieka – mówił dalej Ignacy. – Niepokorna, uparta, ciągle gdzieś ją ciągnęło, nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Dom był dla niej za ciasny, gospodarstwo za małe, a uczciwy sensowny chłopak, który bardzo ją kochał, bez wartości. Złamała serce rodzicom, a ja całym latami patrzyłem, jak cierpią.

– To musiało być przykre. – Lidia położyła mu rękę na ramieniu. Rozumiała jego odczucia. Też się martwiła o braci. Kiedy młodszy Bartek miał kłopoty w szkole, razem z mamą i tatą bardzo przejmowała się tą sytuacją. Wspólnie szukali rozwiązań.

– I co się stało z twoją siostrą? Dlaczego jej nie znamy? – zapytała.

Dziadek nie od razu odpowiedział.

– Wyjechała i straciłem z nią kontakt – odezwał się po chwili. – Myślę, że sobie poradziła, bo takie osoby zwykle spadają na cztery łapy. Ponoć wyemigrowała do Stanów i mieszka gdzieś w Kalifornii. Takie mam ostatnie wieści od jej byłej przyjaciółki.

– Współczuję...

– To była zawsze trudna relacja. Nie życzę nikomu tej huśtawki uczuć, kiedy ktoś obieca coś, a potem łamie dane słowo. Nie docenia troski.

– To na pewno trudne – odezwała się Lidia.

– Dla mnie to stara sprawa. Opowiadam o tym ze względu na ciebie. Proszę, uważaj na siebie. Przeżyłem to, wiem, jak boli, i ostatnia rzecz, jaką chciałbym zobaczyć na stare lata, to powtórka tej samej historii. Proszę cię, nie. My już za miłość do artystycznej duszy zapłaciliśmy swoją cenę. Ty nie musisz.

Lidia nic nie powiedziała. Nawet nie tłumaczyła, że o żadnej miłości nie może tutaj być mowy. Trochę zaskoczyły ją te zwierzenia. Nieraz się dziwiła, że dziadek nic nie opowiada o swojej przeszłości. Jakby cała jego historia rozpoczęła się w dniu, gdy jej mama, a jego synowa, przekroczyła progi tego domu. Od tego punktu słyszała mnóstwo opowieści, powtarzanych czasem kilkakrotnie i ze szczegółami, nawet jeśli słuchacze dobrze je już znali. Jakby dziadkowi nigdy nie było dość. Ale co wydarzyło się wcześniej? Zmarła jego żona i został sam z synem, na tym koniec. Kim byli jego rodzice, rodzeństwo? Lidia nie wiedziała.

– Może powinnaś poszerzyć teren poszukiwań? – powiedział jeszcze dziadek. Lidia nie zrozumiała. Czy chciał teraz szukać swojej zaginionej siostry? – Marzył ci się chłopak stąd – wyjaśnił, zaskakując ją. – Ale tu

chyba dla ciebie odpowiedniego nie ma. Natomiast w Krakowie prędej, to wielkie miasto, piękne, pełne młodych ludzi, na pewno ktoś się znajdzie. Nie trać nadziei.

– Nie przejmuj się, dziadku – odparła szybko. – To nie będzie taka historia. Markus wyjechał, a ja też wybieram się wcześniej do Krakowa. Moja koleżanka z mieszkania już jest. W weekend organizują jakieś spotkanie. Pojadę, posiedzę tam trochę, spotkam się z przyjaciółmi.

– Dobrze. Oczywiście – ucieszył cię dziadek. – Jedź, kochana.

Ignacy poszedł do siebie, a Lidia stała nadal. Nie było nic dziwnego w tym, że pytał ją o osobiste sprawy, bo od dzieciństwa żyli ze sobą bardzo blisko. Zawsze mu się zwierzała i nigdy jej nie zawiódł. Znał wszystkie jej marzenia.

Ale dziś po raz pierwszy nie powiedziała mu całej prawdy. Nie usłyszał, że ona w strugach deszczu widzi twarz Markusa, że całą noc śnił jej się w kółko tamten pocałunek, do którego chłopak nakazał jej nie przywiązywać wagi. Starła się ze wszystkich sił, ale kompletnie nie miała pojęcia, w jaki sposób coś takiego się robi. Że nad ranem przeglądała internet, poszukując jego zdjęć. Kilkakrotnie zastanawiała się, czy do niego napisać. Powstrzymała się z trudem. Sama czuła, że ta historia powinna zakończyć się w tym miejscu.

To zauroczenie nie miało sensu.

Podobnie jak propozycja, by przyjechać do Markusa na święta. Nie była tylko oburzona z tego powodu. Było jej też dziwnie wstyd. Po raz pierwszy poczuła się jak prowincjonalna gęś, która świata nie widzi poza swoim domem i małą miejscowością.

Czy naprawdę chciała tutaj zostać, czy było to tylko spowodowane faktem, że nigdy niczego więcej w swoim życiu nie widziała, nie doświadczyła? Cała jej codzienność ograniczała się do rodziny i tego jednego jedyne miejsca. A może to pułapka? Może zanim człowiek się na coś zdecyduje, powinien sprawdzić inne opcje, spotykać się z różnymi ludźmi, całować się nawet z nieznajomymi, jak reklamował Markus, bo to przyjemne? Tak po prostu bez przywiązywania się do osoby?

Kompletnie to jej nie pasowało, nie zgadzało się ze wszystkim, w co do tej pory wierzyła. A jednak nie mogła zapomnieć o Markusie. Wyjazd do Krakowa to był pretekst, żeby trochę ochłoniąć, pozbierać myśli i nie czuć się ciągle pod ostrzałem czujnych spojrzeń rodziny, która się martwiła, czy z wczorajszej wizyty coś przypadkiem aby nie wyniknie.

Sama się dostatecznie mocno tym niepokoiła. Nie potrzebowała obciążać także ich. I w ten sposób po raz pierwszy w swoim życiu zmuszona była uciekać z domu. Do tej pory zawsze patrzyła w jego kierunku, myślała o powrocie, odliczała dni i cieszyła się, kiedy mogła znów tam być. Teraz pakowała pospiesznie torbę, niewiele widząc, co do niej wrzuca. Byleby tylko wyjechać, przez chwilę nie widzieć tych gór i nie zastanawiać się, co jest prawdą, a co pułapką.

Rozdział 9

Markus wrócił do Monachium zmęczony. Długa droga z rozgadany mi i nie do końca trzeźwymi muzykami go wykończyła. Przez całą trasę był kierowcą, bo nikt nie mógł go zmienić. Wykluczała to ilość promili we krwi.

Cieszył się jednak, bo na konto bardzo szybko wpłynęło honorarium. Całkiem niezłe. Gdyby takie dostawał chociaż trzy razy w miesiącu, toby mu wystarczyło, żeby wyprowadzić się od mamy i zacząć samodzielne życie.

Współpraca z Mister Maxem układała się na razie dobrze. Obiecał, że będzie ich zabierał w najbliższym czasie na kolejne koncerty. Ale Markus wiedział, że stary artysta jest bardzo niestabilnym człowiekiem. Współpracowali ze sobą dopiero od kilku tygodni, a już parę razy widział, jak Max łamie dane komuś słowo, nie dotrzymuje terminów, wycofuje się z obietnic. Bezradny wobec swojego nałogu, kłopotów zdrowotnych, które go nękały, i różnych innych zmartwień. Nie był więc opcją, na której można było budować nadzieję na stabilną przyszłość, a tej Markus bardzo potrzebował.

Ojciec założył nową rodzinę i choć ciągle byli w bliskim kontakcie, to już nie tak chętnie jak kiedyś robił przelewy bez okazji i ratował swojego syna z każdego kryzysu. Mówił: „Zobacz, ile masz lat, jesteś dorosły”.

Ale Markus wcale taki się nie czuł. W ogóle nie miał w planach takiego punktu jak dojrzałość czy dorosłość. Źle mu się to kojarzyło z jego własnymi, nieodpowiedzialnymi rodzicami, ze zbyt zasadniczą czasami babcią, ze światem nudy, stabilizacji i obowiązków. Chciał żyć pełnią. Do tego jednak niestety trzeba pieniędzy, a ich zdobycie bez konieczności wiązania się

okowami, których nie znosił, typu stała praca, etat, wykształcenie i tym podobne nudy, okazało się nie takie łatwe.

Póki co wtaszczył pękata torbę z praniem do swojego pokoju, przesunął ją nogą pod ścianę z planem, że zajmie się tym później. Położył się spać. Jeździli busem w dalekie trasy, bo przewóz ciężkiego sprzętu samolotem sporo kosztował, a Mister Max nabywał teraz kompletnie nową dla niego umiejętność oszczędzania. Radził sobie z tym średnio, żałował wydatków na ważne kwestie, a potem pod wpływem impulsu wydawał duże kwoty na głupoty. Trudno było stwierdzić, czy jeszcze kiedykolwiek to się zmieni.

Efekt był taki, że znów jechali całą noc i właśnie Markus czuł to całym sobą. Zmęczenie drogą, koncertami, nieprzespanymi nocami.

Wyciągnął się z ulgą na swoim łóżku. Mieszkanie było puste, mama gdzieś poszła, babcia siedziała u siebie. Przyjął te fakty z zadowoleniem. Potrzebował odpoczynku. Przymknął powieki i uśmiechnął się. Przypomniała mu się Lidia. Ciekawa dziewczyna. Szkoda, że nie chciała przyjechać do niego na święta. Dobrze się czuł w jej towarzystwie.

Jeszcze cię odwiedzę – pomyślał, a potem zasnął.

Obudziły go głośne stukoty, szum pralki i energiczne krzątanie się po domu. Podniósł tylko jedną powiekę, bo i tak doskonale wiedział, co zobaczy. Oczywiście pod ścianą nie było już jego torby. Ktoś czymś szurał, stukał. I choć z kuchni dolatywały dość przyjemne wonie, a on był głodny, to jednak okropnie się zdenerwował.

Znowu to samo! To się po prostu nigdy nie skończy! Trzeba się wyprowadzić i to natychmiast.

Wiedział, że to nie mama. Ona nie miała takich ambicji opiekuńczych, nawet kiedy był mały. Raczej wolała, żeby zajął się sam sobą. To babcia, wychowana w dawnej patriarchalnej Polsce, w kulcie kobiety pracującej, opiekującej się rodziną, non stop przekraczała z tego powodu granice i nie przyjmowała do wiadomości, że jej wnuk jest już dorosły i może miałby

prawo do prywatności. Jakąż jednak można mieć prywatność, gdy ktoś ci wyciąga brudne majtki z torby, a następnie pierze i starannie rozwiesza, oglądając je przy tym na wszystkie możliwe strony?!

– *Omi!* – zawołał w geście protestu.

– No witaj, skarbie. Obudziłeś się? To dobrze. Mamy nie ma. Od rana czekam na ciebie. Wrzucimy sobie jakieś kielbaski na patelnię i zjemy razem śniadanie. Ostatnio ciągle spędzam czas w towarzystwie ludzi siedemdziesiąt plus i trochę mniej to męczy. Ja też, jak wiesz, czuję się młoda.

Markus pomyślał właśnie, że wiele łączy jego babcię i dziadka Lidii. Cyfry nie mają w ich przypadku aż takiego znaczenia. Babcia była mocno po siedemdziesiątce. Nikt jednak na pierwszy rzut oka tyle by jej nie dał. Żywotna i witalna, od dziesięcioleci ćwiczyła jogę. I choć lubiła chrupać z nim kielbaski, to jednak na co dzień dość zdrowo się odżywiała. Biegała do różnych trenerów, zwłaszcza tych świetnie zbudowanych i przystojnych, co sprawiało jej mnóstwo radości. A przy okazji też wpływało na formę. Dbała o wygląd i zdrowie, wiedział o tym. Ale po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy ona też ma coś takiego jak Ignacy, co ją tu w tym życiu bardzo mocno trzyma. Nigdy wcześniej nie głowił się nad takimi tematami. Jedno krótkie spotkanie z Lidią sprawiło, że zaczął się inaczej przyglądać światu, czego nie zdołały dokonać liczne podróże, egzotyka, odmienne kultury. Zawsze traktował je jak ciekawostkę, a rozmowa z Lidią była prawdziwym przeżyciem. Czymś, co go dotknęło.

Wyprostował się energicznie, gwałtownie zrywając z łóżka, jakby to mogło pomóc mu się oderwać od myśli, na które nie miał ochoty.

– Dobrze. – Wzruszył ramionami. – Zróbmy razem to śniadanie. Opowiem ci, jak było.

Szkoda tracić czasu na reformowanie babci, która – wiedział to, tę kwestię już dawno wytłumaczył mu tata – nigdy się nie zmieni. W tym akurat punkcie ojciec miał rację. Markus teraz trochę lepiej ją rozumiał. Zobaczył, że takich twardych ludzi gór jest więcej. Mają swoje niewzruszone zasady i jakieś magiczne moce, skoro potrafią je przekazać młodemu pokoleniu, wzrastającemu przecież w kompletnie odmiennych warunkach.

Lidia chciała żyć takim samym życiem jak jej dziadek i nawet jeśli w dzieciństwie czy we wczesnej młodości miała sprany przez rodziców mózg, to przecież cztery lata studiów w relatywnie dużym mieście, jakim był Kraków, powinny ją były z tego wyleczyć. A ona traktowała studia jak czas, który trzeba przeczekać i tyle.

Znowu o niej myślę – zdenerwował się.

Poszedł szybko pod prysznic. Ciągłe był zmęczony po drodze, ale też ogromnie głodny. To dodało mu motywacji, żeby szybko się umyć i wejść do kuchni. Kiełbaski już się smażyły, chleb stał na stole – gotowe kromki wyciągnięte z woreczka – parzyła się herbata, babcia wyciągała keczup z lodówki.

Markus wziął do ręki kromkę i zaczął ją skubać.

– Wiesz – powiedział. – Jadłem w tej Polsce niesamowity chleb.

Babcia od razu przysiadła, zapominając o smażących się kiełbaskach, co zdarzyło jej się po raz pierwszy. Markus szybko wstał, ściągnął je z patelni i nałożył na talerz. Był przywiązany do myśli, że jednak zaraz je zje.

– O – powiedziała. – Zazdroszczę. Pamiętam ten wyjątkowy smak ze swojego dzieciństwa. Ale gdzie ty go dostałeś? Pewnie teraz nikt już nie piecze chleba.

– No właśnie pojechaliśmy do takiej dziury w górach. Bo wiesz, że Mister Max to już jest o krok od tego, żeby grać na wiejskich weselach.

Kiwnęła głową. Dużo wiedziała o tym artyście. Markus wciąż o nim opowiadał.

– I wiesz – dodał zniecka – poznałem dziewczynę.

Babcia się zainteresowała. Znała doskonale jego poglądy na związki, niczego przed nią nie ukrywał. A jednak wiedział, że ciągle mu kibicuje w tym swoim starym zaściankowym wyobrażeniu, że on kiedyś pozna kogoś, zakocha się i założy tradycyjną rodzinę. Nadawał się do tego mniej niż ktokolwiek. Wychowali go rodzice, którzy rozwalili swoją rodzinę, zanim na dobre zdążyła się skonstruować. Nie miał zamiaru popełniać ich błędów. Ale uśmiechał się zawsze, kiedy widział u babci ten błysk w oku.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział. – To była tylko krótka przygoda. A ja nigdy więcej tam nie wrócę.

– No to powiedz chociaż o tym chlebie – rozczarowała się babcia. Temat był jej wyraźnie bliski.

– No widzisz, ta dziewczyna, Lidia, zaprosiła mnie do swojego domu. Najpierw chwilę rozmawialiśmy i zafascynował mnie sposób, w jaki patrzy na świat i życie. Okazała się wyjątkowa, nigdy wcześniej takiej nie spotkałem. Chce zupełnie innych rzeczy niż większość jej rówieśników. Uwielbia swoją wioskę, mówiąc dokładnie, jej dziurę zabitą dechami, i dom, owszem, ładny, taki stary z klimatem. Wielkie gospodarstwo tam mają. Własny las, zwierzęta. Ona chce tam zostać i przy tym wszystkim pracować. Nawet nie ogarniam mózgiem, ile to jest roboty.

– No tak... – odezwała się babcia powoli. – Ale cały czas opowiadasz mi o dziewczynie, a miałeś o chlebie. To podobno tylko przygoda.

Patrzyła na niego uważnie, bo mówił z dużym przejęciem, jakby opowiadał o sprawach dla siebie ważnych.

– Nie no, spokojnie. – Machnął widelcem, na który nabity był spory kawałek kiełbaski. – No więc ten chleb piecze jej mama. Według dawnych przepisów, choć nie jest znowu taka stara. Ale być może to ja mam skrzywione spojrzenie, bo ty jesteś wiecznie młoda i wydaje mi się, że starość to jest wtedy, jak ktoś ma koło stu pięćdziesięciu lat.

– Ja nawet tyłu nie planuję – roześmiała się babcia. – Ale mów dalej, to ciekawe.

– No więc jest ta mama, tak? – zaczął znowu Markus. – I ona piecze chleby. W sensie takim, że każdego dnia. W ogóle nie kupują, rozumiesz, tylko ona je jakoś tam mimochodem produkuje, mimo tej ogromnej ilości obowiązków, którą ma. Nie tylko je piecze, ale potem jeszcze każdy bochenek ozdabia. Ma taki mały nożyk i wycina z niego listki, gałązki albo robi takie coś, że kółeczko, w środku mak i dookoła płatki posmarowane jajkiem. I wychodzi ci kwiatek. No kurczę, czad!

Babcia milczała. Chyba próbowała sobie to wszystko wyobrazić.

– I oni to wszystko sobie jedzą – mówił dalej Markus, zagryzając kielbaskę sklepowym tostem, który wcale mu nie smakował. Wspomnienie było zbyt świeże. – Mają jeszcze swój ser i jajka – dodał. – Ogromny taras z widokiem na góry, piękny. I oczywiście aż trzy psy – dodał z żalem. – W ogóle ładnie tam bardzo.

Babcia wciąż niczego nie komentowała, co nie było do niej podobne. Markus spojrzał na nią uważnie. Może jej się coś kojarzyło? Nawet nie wiedział, jakie ma wspomnienia z miejsc, gdzie się wychowała. Ciągłe o tym opowiadała, ale w sumie rzadko coś osobistego.

– Pewnie to nic dziwnego, że jak ktoś się wychował w takim miejscu, to je kocha – powiedział powoli. – Wiesz, ta Lidia, ona nigdy nie wyjeżdżała na dłużej. Niewiarygodne w dzisiejszych czasach. Była tylko na studiach czy na jakichś szkolnych wycieczkach. A z rodzicami wakacje ciągle spędzają w domu, bo wtedy mają sezon. Na święta nie jeżdżą na narty, tylko celebryją Boże Narodzenie. Podobno coś niesamowitego, nie wiem, nie umiem sobie tego wyobrazić. Lepiej niż w twoich kółkach parafialnych.

– Gdzie ty dokładnie byłeś? – zapytała babcia.

– Miasteczko nazywa się Słominki. A ta wioska, to kurczę, już nawet nie pamiętam. Znasz?

Znała. Widać to było po jej twarzy, która nagle bardzo się zmieniła. Babcia złapała się kubka z herbatą, jakby potrzebowała pilnie czegoś się przytrzymać. I chociaż wciąż był gorący, ona jakby tego nie czuła. Obejmowała go mocno dłońmi.

– Hej! Jak się czujesz? – zapytał Markus. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała szybko. – Stare dzieje. Rzeczywiście znam to miejsce i jest wyjątkowo piękne, choć masz w pełni rację: dziura. Za moich czasów też była to okropna dziura i nikt by wtedy nawet nie pomyślał, że jakiś słynny muzyk mógłby tam przyjechać na koncert.

– Teraz też nie wszyscy pomyśleli. – Markus się uśmiechnął. – Duża to była dla mieszkańców sensacja.

– Ten dom? – zapytała. – Był wysoko w górach?

– Tak – przyznał. – Prawie na samym końcu. Jak wychodziliśmy z furtki, to prosto w ścieżkę do lasu.

– Furtki, powiadasz? A rosły tam przy tej furtce trzy duże lipy? Wiem, głupie pytania, ale jestem ciekawa.

– Rosły – powiedział.

– I kto jeszcze był w tej rodzinie? Lidia? Jej rodzice? I...

– Ona ma dwóch młodszych braci. Taka duża rodzina.

– W tamtych stronach dawniej byłaby uznana za małą – odparła babcia. – Siedmioro, ośmioro dzieci to była norma. Wtedy to my byliśmy nietypową rodziną. Dwa plus dwa. Gadali u nas w okolicy, że Pan Bóg mojej matce nie błogosławi. Okrutne słowa, ale wtedy uznawane za normalne i słuszne.

– Stare przesady – powiedział Markus. Ale uścisnął jej dłoń. Czuł mocno jakieś cierpienie sprzed wielu lat. – No więc, jest ona i dwóch jej braci, całym fajnych chłopaków, ojciec, mama i dziadek. Dziadek mnie nie polubił.

– Jak to? – zdziwiła się. Bardzo kochała swojego wnuka i uważała, że jest wspaniałym chłopcem, inteligentnym, wrażliwym, utalentowanym, a do tego przystojnym. Markus łatwo nawiązywał kontakty, potrafił się dobrze bawić i ludzie za nimi przepadali, nie tylko dziewczyny. Miał kolegów w swoim wieku, ale lubiły go też jej przyjaciółki z jogi, z siłowni, nawet trenerzy, którzy zasadniczo za babcią nie przepadali, za to z wnukiem chętnie zamieniali kilka słów, kiedy czasem po nią przyjeżdżał. – Jak to cię nie polubił? – zdenerwowała się. – Co za głupek! Podał jakiś powód?

– Właściwie to nie, wiesz, jak to czasem jest. Taka czysta niechęć od pierwszego wejrzenia, jak to się mówi. – Uśmiechnął się. Nie miał z tym problemu. – Ledwo wszedłem – zaczął opowiadać – dziadek Lidii od razu zrobił dziwną minę, a potem cały czas czułem niechęć z jego strony. Wiesz, że to się wie.

Babcia go przytuliła. Zdziwił się. Była najbliższą osobą, ale nie okazwali sobie takich czułości. Nawet kiedy był mały. Ale teraz wyraźnie się przejęła, może trochę wzruszyła. Nie znał jej od tej strony.

– Nie przejmuj się – powiedział. – To przecież wcale nie ma żadnego znaczenia. Każdy ma prawo do swoich uczuć i osądów, a ten człowiek jest przecież całkiem obcy. Nigdy więcej. Chociaż – dodał z uśmiechem. – Wyobraź sobie, że dostałem zaproszenie na Boże Narodzenie do nich. I na osiemdziesiąte urodziny seniora roku rodu, które mają zamiar świętować z wielką pompą.

Babcia zrobiła się bardzo blada.

– Hej! – zawołał. – A tobie co się stało? Ty też możesz pochwalić się pięknym wiekiem. Jesteś zazdrosna? – Sam się zdziwił. Babcia zachowywała się dzisiaj inaczej niż zwykle.

– Spokojnie – odparła. – Nic mi nie jest – dodała, po czym wstała. Opanowała się, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. – Co by tu nie mówić o mojej wiecznej młodości, wiek ma swoje prawa – powiedziała.

Otrzeпаła sukienkę i naląa sobie kawę, potem otworzyła szafkę, w której mama trzymała alkohole. Uzupełniła ciemny płyn solidną porcją brandy.

– Chyba mi ciśnienie spadło. – dodała. Wypiła to wszystko duszkiem. – Jedz kielbasę – zwróciła się do Markusa, tonem takim samym jak zawsze.

Zdziwił się, że nie zadaje więcej pytań. Miał jeszcze tak dużo do opowiedzenia. Ta historia buzowała w nim i domagała się wydostania na zewnątrz. Potrzebował do tego wdzięcznego słuchacza, a kimś takim babcia była dla niego od czasów dzieciństwa. Zawsze. Ale ponieważ wiedział, że temat seniora rodu Skalskich wzbudza w niej z jakiegoś powodu spore emocje, uznał, że może zacząć od innej strony.

– I wiesz... – dodał, przełykając wielką porcję kielbasy. – Ona mówiła, że kiedyś to gospodarstwo to była straszna bieda.

Babcia mimowolnie pokiwała głową, jakby doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Kamieniste pole z trudem rodzące plony – opowiadał Markus. – I choć obszar ogromny, to jednak żeby wyżywić rodzinę, trzeba było naprawdę ciężko pracować. Nawet trawa słabo rosła, ziemia niskiej kategorii i jedyne, co tam się dobrze hodowało, to owce. Ale ich wartość wtedy nie była duża.

Teraz jednak wiele się zmieniło. – Babcia podniosła głowę i znowu spojrzała na niego uważnie. – Ziemia nabrała dużej wartości materialnej – powiedział. – Ludzie tam się budują, przekształcają tereny rolne na budowlane i nagle się okazało, że Skalscy siedzą na majątku – powiedział, kończąc kielbasę obficie podlaną keczupem.

Może i ta Lidia nie jest taka głupia, jak sądził, może ma rację? – pomyślał nagle. – Przejmie gospodarstwo. Sprzeda wszystko i zacznie zupełnie inne życie. Wyjedzie. To by nawet miało sens.

Jadł, pił, przegryzał chlebem, wspominając smak tamtego, pieczonego przez Sonię. Nie zwrócił uwagi na to, że babcia teraz pobladła jeszcze mocniej. Wyprostowała się, dłonie położyła na ramionach, niezdolna nawet do tego, żeby zrobić sobie kolejną porcję kawy z brandy.

– Chciałbyś się wyprowadzić z tego mieszkania, prawda? – zapytała dziwnie twardym głosem.

– Jasne – westchnął Markus. Miał dość mieszkania z mamą. Zupełnie go nie rozumiała. Dla niej to było takie łatwe i oczywiste. Masz dwadzieścia cztery lata, to weź i się wyprowadź. Powinieneś dawno być urządzony.

Za jej czasów stanowiło to normę. Nie brakowało etatów w firmach, mieszkania na wynajem łatwo było zdobyć, czynsze nie szybowwały w górę w kosmicznym tempie, jak teraz. Dziś wiele się zmieniło i samodzielne utrzymanie się wymagało całkiem solidnego stałego dochodu albo bycia w związku, żeby dzielić koszty na pół.

W przypadku Markusa ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę. Nie zamierzał iść na etat i stać się niewolnikiem, który buduje szczęście innych. Jego praca dostarczała mu jednak nieregularnych dochodów, które umożliwiały wygodne, wesołe życie, jedynie kiedy mieszkał u mamy. Coraz mocniej mu to ciążyło.

– Nie martw się, kochana – powiedział. – Coś się zaczyna dziać. Mamy kolejne umowy. Jeśli do grudnia wszystko będzie działało zgodnie z planem i Mister Max nie nawali, to przed świętami się wyprowadzę.

– Tego ci życzę – powiedziała babcia. – Co to za życie tutaj? Twojej matki nigdy nie ma, nawet obiadu ci nie ugotuje. Ale o nic się nie martw.

Kiedy się wyprowadzisz, to ja nadal będę cię odwiedzać na twoim nowym mieszkaniu i będę dbać o wszystko tak długo, aż znajdziesz sobie fajną dziewczynę.

– O nie! – Markus miał ochotę złapać się za głowę.

Czy to oznaczało, że nawet jeśli będzie oszczędzał, pracował, dając jak najwięcej koncertów, po raz pierwszy nagnie się, zacznie liczyć pieniądze, by zawsze mieć na czynsz, utrzymanie, opłaty, skończy się to tym, że i tak nic się nie zmieni?!

Do jego nowego mieszkania, jak do starego, będzie wpadać babcia, robić pranie, przestawiać garnki i przygotowywać posiłki?

Już miał się całkiem załamać, kiedy pomyślał, że przecież może nie dać jej kluczy. Jednak zanim dotarł ze swoim talerzykiem do zlewu, do którego chciał go odłożyć, zrozumiał już, że tak się nie stanie.

Jednym z powodów, dla którego tak bardzo chciał mieć swoje mieszkanie, był pies. Zawsze marzył o własnym zwierzaku, ale mama stanowczo odmawiała i była to jedna z tych decyzji, której miała nigdy nie zmienić. Nie znosiła sierści, karmy i tego dodatkowego ruchu w domu, jaki generuje zwierzę. On sam kochał psy. To było jedno z wielkich niespełnionych marzeń jego dzieciństwa.

A z kolei jeśli chciał mieć psa i koncertować, jeżdżąc po całym świecie, to musiał też mieć babcię, bo nikt jak ona nie nadawał się do opieki nad zwierzakiem.

Skomplikowane to wszystko – westchnął ciężko.

Wyciągnął odruchowo telefon, podziękował za posiłek i poszedł do swojego pokoju. Nie zwrócił uwagi, że babcia wciąż siedzi przy stole, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w kawałek ściany, wciąż w jeden ten sam punkt.

Może gdyby się obejrzał, coś by go tknęło, ale on już był zatopiony w wiadomościach na Messengerze, wśród których sporo było zupełnie niepotrzebnie automatycznie przetłumaczonych przez Google wiadomości z Polski. Doskonale je rozumiał, także w oryginalnym języku.

Jego koncert się spodobał. Pisały do niego głównie dziewczyny z komplementami, a czasem propozycjami spotkania czy stałego kontaktu. Lidia jednak się nie odezwała.

Wyszukał ją przed wyjazdem i zaprosili się do grona znajomych. Nic więcej jednak z tego nie wyniknęło. Postanowił więc napisać pierwszy. Dawno tego nie robił. Zwykle wybierał znajomości spośród tych osób, które same się do niego garnęły. Nie brakowało ich. Potrzeba szukania poza tym gronem była więc niewielka.

Tym razem stało się inaczej.

Żałuję jednak, że nie obejrzałem twoich zwierzątek – napisał. – Ja nie mam nawet psa. Chciałbym, ale to skomplikowane. O wiele bardziej niż niejeden związek. A tak w ogóle to co słyhać? Jak się trzymasz? Dziadek wciąż w formie?

Odpisała mu szybko.

Dziękuję, z dziadkiem wszystko w porządku. Miałam wyjechać do Krakowa, ale dostaliśmy spore zamówienie na jabłka i teraz siedzimy całą rodziną w sadzie i obieramy. Ciężka robota, możesz wpaść i pomóc.

Odruchowo poczuł na to ogromną ochotę, choć przecież na pewno był to tylko żart. Lekko rzucone słowa. Miał do nich duży dystans. Wiedział, jak niewiele potrafią znaczyć. Różne rzeczy obiecywał mu w dzieciństwie tata i prawie nigdy nie dotrzymywał tych zobowiązań, choć sam je wymyślał i proponował bez niczyjego nacisku. Po kilku bardzo bolesnych rozczarowaniach Markus przestał wierzyć najpierw ojcu, a potem innym osobom. To chroniło go przed cierpieniem.

W sumie w show-biznesie było podobnie. Nie raz już spotkał się z różnego rodzaju zapewnieniami, że to czy tamto zostanie załatwione, dostanie taki czy inny kontrakt. Nie cieszył się od razu, nie robił planów. Po prostu czekał. Może przez to było mu też trochę łatwiej. Cieszył się, dopiero gdy rzecz nadeszła. Wydawał pieniądze, gdy miał je na koncie, nie wcześniej, jak Mister Max, który szastał na prawo i na lewo. Kasę z obietnic traktował już jak swoją i często go to pakowało w kłopoty.

Markus był inny i mało kto znał go od tej strony. Poważny i dość rozsądny jak na młodego muzyka.

Nie kuś, bo jeszcze przyjadę – odpisał.

W zamian dostał uśmiechniętą buźkę, a także zdjęcie. Sad był wyraźnie mokry, jakby dopiero co przeszła burza, drzewa ugiwały się od czerwonych jabłek. Pod nimi stały skrzynki. W oddali pracowało dwóch chłopców. Na jednej ze skrzynek siedział dziadek i coś tam wyrównywał. Rodzice Lidki znajdowali się w oddali. Jej nie było widać.

Markus zateśknął.

A Ty? – zapytał. – *Gdzie jesteś?*

Nie wiedział, czy spełni jego prośbę i przyśle swoją fotografię, ale tak się stało. Po chwili dostał selfie zrobione wyraźnie z ręki dziewczyny na tle jesiennego sadu.

Jakaż ona była piękna! Zmęczona pracą, z rozwichrzonymi włosami. A jednak doskonała.

Już właściwie zapomniał, jak dokładnie wygląda, choć minęło tak niewiele czasu. Jego mózg przyzwyczajony był do szybkiego zapomnienia ludzi. Ekscytował się bardzo, kiedy ich poznawał, ciekawił ich życiem, gdy byli obok niego, a potem znikali. Rzadko wracał do tych samych miejsc. Nauczył się więc nie przywiązywać.

A teraz, choć to było całkiem niepoważne, zapragnął wsiąść w samolot i znowu znaleźć się w górach.

To racjonalne – wytłumaczył sobie. – Nie dokończyliśmy przecież rozmowy. Nie dowiedziałem się, dlaczego dziadek mnie nie lubi, nie zobaczyłem jego gospodarstwa. Nie poznałem ani jednego psa. Wizyta okazała się za krótka.

Nie zastanawiał się dłużej. Odwrócił się po prostu i poszedł do babci. Zastał ją w kuchni w dokładnie tym samym miejscu, gdzie ją przed momentem ostatni raz widział. Nie dało mu to kompletnie nic do myślenia. Sądził, że po prostu sobie siedzi i odpoczywa.

– Popatrz – powiedział, pokazując jej zdjęcie Lidii. – To ta dziewczyna.

Babcia chciwie porwała telefon i długo się w niego wpatrywała.

– No hej, wystarczy! – zawołał Markus. – To po prostu znajoma.

Sądził, że babcia tak łapczywie chłonie każdy szczegół, bo robi sobie nadzieje na ten wymarzony związek wnuka. Nie chciał jej rozczarować.

– Masz jeszcze jakieś inne zdjęcia? – zapytała.

– Tylko jedno.

Pokazał jej pracującą w sadzie rodzinę. Powiększyła fotografię. Miał wrażenie, że najdłużej wpatruje się w dziadka. Zaczął się czuć nieswojo. Nie dość, że on miał w związku z Lidią niezbyt racjonalne zachcianki, to jeszcze babcia zachowywała się dziwnie.

– Dobra, wychodzę – powiedział. Nie miał już ochoty więcej opowiadać.

– Wrócę jutro, może pojutrze.

– Poczekaj! – zawołała babcia. – Ale dokąd idziesz?

Zaczął pakować torbę.

– Nic takiego, mała wyprawa. Muszę trochę odpocząć.

Babcia pokiwała głową, jakby wszystko rozumiała. To, co powiedział i co przemilczał.

– Jedziesz do niej samochodem? – zapytała.

Nawet się nie zdziwił, że tak szybko się domyśliła. Znali się bardzo dobrze.

– Nie, no co ty? – zaprotestował. Aż poczuł dreszcz na samą myśl o tylu godzinach za kółkiem. – Samolotem polecę.

Wrzucił jeszcze kilka rzeczy do torby, a potem zaczął otwierać różne strony w poszukiwaniu najszybszego połączenia z Monachium do Krakowa. Nie było tak źle. Na tej popularnej linii samoloty latały często. Kolejny dzień po południu.

– Dobrze robisz – zaskoczyła go babcia. – Sprawdź tam, proszę, wszystko. Jak funkcjonuje to gospodarstwo. Czy daje dobre zyski i ile konkretnie jest ziemi. Czy coś przybyło od dawnych czasów. Bardzo mnie to ciekawi.

– Jasne – obiecał mimochodem, bo jednocześnie bukował bilet i robił przelew, wpisując dane z pamięci, więc musiał się skupić, żeby się nie pomylić.

Kiedy już wszystko załatwił, dopiero w tym momencie przyszło mu do głowy, że może wypadałoby wcześniej zapytać Lidię. Ale szybko znalazł dla siebie wytłumaczenie.

Prześpię się w hotelu – pomyślał – więc jej ta sprawa nie dotyczy. Każdemu wolno pojechać sobie na wycieczkę.

Mimo to napisał do niej:

Jeśli o 22.00 wciąż jeszcze będziecie zbierać jabłka, to jest szansa, że Wam pomogę.

Nie odpisała. Chyba już odłożyła telefon, bo nawet nie odczytała wiadomości. Nie miał więc pojęcia, czego się spodziewać. Czy chętnie go przyjmie? A może się zdziwi albo wręcz uzna za wariata?

Nie chciał się jednak teraz wycofywać. Ani zbyt długo zastanawiać. I bez tego wiedział, że nie postępuje racjonalnie. Gna go coś, czego nie umie zatrzymać.

Rozdział 10

Wszystkich dopadało już zmęczenie. Ręce poruszały się wolniej. Kilogram jabłek zdawał się ważyć przynajmniej pięć razy tyle. Ale zostało już niewiele skrzynek do napełnienia.

Najmłodszy brat Lidii, Bartek, siedział oparty o pień drzewa. Męczył się najszybciej, najsłabszy z trójki rodzeństwa. Dziadek siedział na krzeselku niedaleko niego. Jednocześnie liczył jabłka, które wyciągał z wiadra i powoli wkładał do skrzynek. Potrafił je ważyć w rękach, rzadko się mylił, zwykle końcowe pomiary potwierdzały jego oceny.

Lidia podeszła bliżej. Uwielbiała dziadka. Był esencją jej dzieciństwa, wspaniałym człowiekiem, bardzo prawym i szlachetnym. Nigdy nie kłamał, po prostu nigdy. To musiało trwać od dawna, jeszcze od czasów, zanim Lidia pojawiła się na świecie, bo ludzie mu ufali. Czasem bywała świadkiem, jak pakował się przez swoją prawdomówność w kłopoty, a mimo to nie robił wyjątków.

Usiadła na trawie.

– Też nie mam już siły – powiedziała, ocierając mokre czoło. Miała liście we włosach i na bluzce. – Jeszcze tylko dwie skrzynki. Dadzą radę. – Spojrzała w stronę rodziców i starszego brata. Kuba ciągle narzekał, że nie cierpi tej roboty, ale był silny i szło mu świetnie. – Ja idę – dodała Lidia. – Trzeba zamknąć baranki i krowy przypędzić z pastwiska. Kto to zrobi? Chłopcy muszą załadować skrzynki do auta, tata pojedzie je zawieźć. – Jak to dobrze, że nie wybrałam się jednak do tego Krakowa, jestem tu potrzebna.

– Jesteś – przyznał dziadek, choć dzisiaj nie uśmiechnął się do niej tak serdecznie jak zwykle.

Odkąd Markus wyjechał, Lidia czuła dziwny niepokój. Inaczej patrzyła na swoją rodzinę, jakby nowymi oczyma i zaczynała dostrzegać coś, co wcześniej nie było dla niej aż tak widoczne. Że tata, mama i dziadek, bo ich to głównie dotyczyło, czasem dziwnie poważnieli. W jakichś losowych momentach rozmów przy pracy, wśród zwykłych uwag, kiedy pozornie nie wydarzyło się nic takiego, co by usprawiedliwiało gwałtowną zmianę nastroju. A jednak oni się zamyślali. Co więcej, rodzice wtedy wyraźnie porozumiewali się wzrokiem, ale tylko ze sobą. Z dziadkiem nie. On za to czasem odwracał głowę i patrzył gdzieś daleko. Czy ku jakimś bardzo dawnym wspomnieniom tylko jemu znanym? Tego nie wiedziała. Ale coś go trapiło.

Lidia postanowiła tę sprawę rozwiązać i był to kolejny powód, dla którego przełożyła wyjazd na studia na najdalszy możliwy termin. Chciała z większą czujnością patrzeć na bliskich. Zwrócić uwagę, jakie słowa i sytuacje wywołują te nietypowe reakcje.

Ale na razie wstała. Wiedziała, że kiedy się pracuje, najgorsze to usiąść na zbyt długo. Człowiek może już nie zebrać w sobie energii, żeby ruszyć dalej. A tymczasem zostało jeszcze sporo do zrobienia. Trzeba wszystko domknąć i dopiero wtedy prysznic i łóżko. Niebywale przyjemny moment po ciężkim wysiłku.

Ruszyła na stronę łąki, a trzy duże owczarki natychmiast zerwały się z miejsca, wiedząc, co jest do zrobienia. Skalscy hodowali ogromne stado merynosów. Między innymi dlatego nigdy nie sprzedawali działek, bo potrzebowali bardzo dużo łąk. Hodowali owce wyłącznie na wełnę, którą sprzedawali dwa razy do roku. Nie zabijali ich. Starym owcom zawsze pozwalali dożyć szczęśliwie do końca dni w naturalny sposób. To powodowało, że sztuk mieli więcej niż w przeciętnych hodowlach.

Dziadek wyznawał zasadę, że zwierzętom, za to, że pracują na ich utrzymanie, należy się godziwa emerytura. To samo dotyczyło krów. Codziennie odstawiali wielkie banie mleka. A te krowy, które były już leciwe i nie mogły w ten sposób funkcjonować w gospodarstwie, po prostu mieszkały sobie i żyły. Lidia szanowała bardzo te zasady, jednak sprawiały one, że ro-

dzina musiała zabezpieczyć więcej siana, miejsca w stajniach, wody i opieki.

Lidia ogromnie kochała zwierzęta. Jedynie do kurczaków starała się bardzo nie przywiązywać, choć to było trudne, bo tu rodzice szli na kompromis potrzeb serca z potrzebami żołądka i niektóre z nich lądowały w garnku.

Poza tym zwierzęta cieszyły się w tym miejscu niezwykle szacunkiem gospodarzy. Od psów po krowy, a skończywszy na pszczołach i owadach, które miały w różnych miejscach mnóstwo budek, domków, gdzie mogły się schować. To było stare gospodarstwo. Znajdowało się tutaj sporo przyjaznych dla dzikich zwierząt miejsc, stopy gałęzi, chaszczki, zarośla. Mieszkały w nich jeże, zimowały ptaki, które regularnie dokarmiano w chłodniejszych miesiącach. Mnóstwo owadów latało nad kwiatami i krzewami.

Czasem było tu jak w bajce.

Lidia studiowała ekonomię, bo zawsze była dobra z matematyki i rodzice uznali, że może to być dla niej niezły zawód. Spotykała się z różnymi osobami, lubiła Kraków, towarzystwo. Nigdy jednak nie spotkała nikogo, kto dorastałby w takim miejscu. Za każdym razem wzbudzała sensację, kiedy opowiadała o swoich obowiązkach, że na przykład buduje domki dla owadów, zapędza krowy do obory albo właśnie owce.

Stado było bardzo zgrane. Starsze pokolenie owiec na pamięć znało drogę na pastwisko i do owczarni, gdzie na noc je zamykano. Wystarczyło, że Lidia podeszła i otworzyła furtkę drewnianego ogrodzenia wyznaczającego granicę łąki, a owce rzuciły się jak wylewająca się z pojemnika woda, szerokim strumieniem. Psy również świetnie orientujące się w swoich obowiązkach podbiegły do tyłu i zaganiały stado.

Lidia wzięła duży kij, bardzo stary, należący kiedyś do dziadka, z rączką gładką od dłoni, które go ścisnęły, i bardziej do towarzystwa niż jako osoba prowadząca tę ogromną falę puchatych kłębków na dwóch nóżkach, prowadziła je do celu. Nie było daleko. Kawalek. Łąka znajdowała się u samej góry pod lasem, a owczarnia niedaleko domu. Razem z psami Lidia zapędziła wszystkie zwierzęta do zagrody, dokładnie zamknęła drzwi, spraw-

dziła kłódkę, po czym ruszyła po krowy. Tych też hodowali spore stado i wprowadzenie ich do stajni było o wiele trudniejszym zadaniem. Odwiązywała je i prowadziła po kilka. Najgorzej było z tymi młodymi, czasem trudno przewidzieć, jak się zachowają. Wszystko to trwało.

Kiedy wreszcie i za nimi zamknęła drzwi, wiedząc, że wszystkie są bezpieczne, pogłaskała psy, wyszła do szopy, nalała im wody, nasypała karmę, jeszcze raz pogłaskała. Rozejrzała się. Zobaczyła, że w sadzie już nikogo nie ma. Mama z chłopcami i dziadkiem poszli do domu. Zapewne robią kolację. Kury zamknięte w kurniku. Psy na legowiskach, koty nie wiadomo gdzie, ale wrócą jak zawsze. Wszystko na swoim miejscu. Bezpieczne. Zaczepnęła powietrza. Lubiła zapach jesieni. Nad gospodarstwem zapadał zmrok.

Otuliła się szczerzej swetrem. Było jej zimno. Czuła z każdym dniem coraz mocniej, jak sezon się kończy.

Niedługo święta – pomyślała z radością.

Te miały być wyjątkowe. Osiemdziesiąte urodziny dziadka. Niesamowite, w jak dobrej był w formie i jak wielki to dar. Nie wyobrażała sobie życia rodziny bez niego. Nawet nie chciała o tym myśleć. Póki co byli razem tutaj bezpieczni i to najważniejsze.

Lidia patrzyła na sad, na góry, pierwsze pojawiające się na niebie gwiazdy. Mimo zimna i ogromnego zmęczenia ciągle stała. Oddychała tym chłodnym powietrzem, w którym wyczuwało się nuty nadchodzącej zimy. Czasu ciszy i odpoczynku.

Wszystko lubiła, każdą porę roku. Nawet uporczywie mroźne dni.

Wreszcie odwróciła się i weszła do domu.

Oczywiście pachniało czymś smacznym. Mama piekła grzanki czosnkowe. Pychota. Należały się całej rodzinie po ciężkiej pracy i taka też panowała w kuchni atmosfera. Radości po dobrze wykonanym zadaniu.

– Super, że zamówili tyle jabłek – emocjonował się Bartek. – Będzie dużo kasy. Kupimy wreszcie te buty, co mi tata już dawno obiecał. I ja bym jeszcze chciał nowe Nintendo, bo w starym wypadają mi klawisze.

– Powoli, powoli – uspokajał go dziadek. – Wszystko się zmieści. Trzeba oszczędzać na zimę.

– Ja wiem. – Bartek się uśmiechnął. Rzeczywiście już od dawna czekał na te buty i wymarzony sprzęt do grania. – Ale tata mówił, że to świetne zamówienie. Biorą jeszcze miód, sery, jajka. Poza tym bardzo im się spodobało, że u nas wszystko takie ekologiczne. Powiedzieli, że częściej będą do nas dzwonić. Mamy chyba stałego odbiorcę.

– Masz rację. – Mama lubiła się cieszyć. – To świetnie, że udało się nawiązać ten kontakt. Tata naprawdę jest zadowolony. Lidia, kochanie. – Objęła ją. – Myj ręce i do stołu. Jesteś na pewno bardzo głodna. Aż pobladłaś. Zmarzłaś też. – Dotknęła jej dłoni, które rzeczywiście były lodowate. – Sładaj tu, masz kubek z herbatą.

Tego napoju nigdy w domu nie brakowało. Mieli swoje własne napary, bo suszyli lipę, rumianek, miętę, szalwię, liście poziomki i porzeczki, a także owoce. Oprócz tego dziadek miał swoją specjalną puszkę, gdzie przechowywał czarną earl greya, którą uwielbiał.

Lidia przyłożyła zmarznięte dłonie do ciepłej porcelany. Było miło. Potem wbiła zęby w chrupiące grzanki. Chleb mamy w każdej postaci smakował wspaniale, ale przypieczony w piekarniku razem z masłem czosnkowym to była swoista poezja. Kładli na to ser albo świeże pomidory lub zapiekali je również z rozmarynem, tymiankiem i innymi ziołami. Czasem Lidia miała wrażenie, że jej kubki smakowe nie mogą się zdecydować, czym w pierwszej kolejności się cieszyć. Taka tam była feeria smaków.

– Chłopcy! – Mama pogoniła synów. – Idźcie już spać! Przypominam wam, że macie szkołę.

– Ja tam bym wolał być studentem – powiedział Bartek. – Oni mają trzy miesiące wakacji, to niesprawiedliwe.

– Przyjdzie twój czas, to się doczekasz. – Sonia się uśmiechnęła. – A teraz do łóżek. Ja bym z kolei była szczęśliwa, jakbym się mogła już teraz położyć, a jeszcze muszę kuchnię uprzątnąć.

Chłopcy w słusznej obawie, że jeśli będą dłużej zwlekać, zostaną zapędzeni do pomocy, szybko ruszyli w stronę łazienki. Dziadek też poszedł do

siebie.

Mama z kolei podeszła do stołu i pocałowała Lidię w głowę.

– Ty też idź już do łóżka – powiedziała ciepło. – Na jutro zostały jeszcze do zebrania cebula i buraki. Właściwie kończymy. Koniec września, a my jesteśmy odrobieni. Dobrze nam poszło w tym roku. Trzeba będzie jeszcze oczywiście jabłka do końca dozbierać i porobić jakieś kompoty, ale to już na spokojnie. A potem już tylko zima i odpoczynek.

Przytuliły się i chwilę tak stały, czerpiąc od siebie nawzajem energię. Ciemnowłosa mama, jasnowłosa córka, obie połączone miłością do gospodarstwa i tych samych obowiązków.

Dlaczego mama tak się upiera, żebym studiowała? – zastanawiała się Lidia. – Czemu tak mnie wiecznie wygania do tego Krakowa?

– Może zostanę w domu na dłużej? – powiedziała. – Po co mi ta magisterka? Nie potrzebuję kolejnego papierka. Licencjat w zupełności wystarczy i tak już wiele nowego się nie uczę. Wezmę urlop dziekański, pomogę wam...

– No coś ty! – oburzyła się mama. – Został ci tylko jeden rok. Trzeba skończyć. Będiesz mieć dyplom. Zobaczysz, może spodoba ci się jakaś praca. Warto mieć zawód.

Lidia tylko pokiwała głową. Nie zadała tego pytania po to, żeby usłyszeć odpowiedź, lecz upewnić się w swoich podejrzeniach. Słowa, które usłyszała, nie były zwyczajne, lecz wypowiedziane z pośpiechem, w napięciu. Jakby automatycznie odpalał się program: „ważna sprawa, zagrożenie”. W innych kwestiach mama wypowiadała się ze spokojem i łagodnie. Coś było na rzeczy.

Niepokoilo ją to. Ale nie miała teraz na to sił. Praca fizyczna ma taką zaletę, że daje człowiekowi znieczulenie. Po prostu bywa on czasem zbyt zmęczony, żeby się martwić. Lidia więc ziewnęła, dokończyła kromkę, wzięła do ręki herbatę i poszła na górę. Miała tam swoją małą łazienkę, którą kiedyś dawno temu specjalnie zrobił dla niej dziadek, żeby jedyna dziewczynka w rodzinie miała swoją prywatność.

Dotarła do pokoju z myślą, że natychmiast przygotuje się do snu i zniknie pod ciepłą pościelą, lecz zamiast tego usiadła przy swoim biurku. Stało ono pod oknem. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na góry. Teraz jednak widać było głównie światelka domów i słyszeć szum poruszających się na wietrze gałęzi.

Zaczęła myśleć o Markusie.

Zerknęła na Messengera i odczytała jego wiadomość. Potem jeszcze raz i kolejny. Nie mogła zrozumieć.

Dziwne – pomyślała. – Co on za głupoty wypisuje? Że przyjedzie do nas?! Przecież dopiero co wyjechał.

Jeśli to był żart, to wcale jej nie rozbawił. Wyłączyła telefon, postanowiła nie odpowiadać, ale chwilę później znów wzięła go do ręki. Oglądała zdjęcia Markusa, analizowała. Próbowwała sobie wyobrazić, kim by się stała, gdyby jej dzieciństwo i młodość wyglądały inaczej. Jeśli miałyby szansę zobaczyć coś więcej niż rodzinne strony, małe Słominki. Wciąż trzymało ją mocne przekonanie, że nie potrzebuje, bo na tym niewielkim skrawku ziemi mieści się cały świat ze wszystkimi jego doświadczeniami. A jednak, przeglądając profil Markusa, te wszystkie piękne zdjęcia, czuła niepokój.

Niepotrzebnie – pomyślała znowu, zamykając telefon. – Takie porównywanie się nie ma sensu. Każdy ma prawo żyć tak, jak chce i tyle.

Dowlokła się wreszcie do łazienki, stanęła pod prysznicem, umyła włosy, wysuszyła się i przebrała w piżamę. Położenie się w łóżku było bardzo przyjemne.

To jeden z plusów ich niezwykłego życia. Wszystkiego tutaj doświadczało się podwójnie albo nawet potrójnie. Zmęczenie sprawiało, że odpoczynek smakował inaczej, świeże powietrze pachniało mocniej, jedzenie odżywiało organizm. Wszystko było takie mocne, wyraziste.

Zwykle szybko zapadała w sen. Ale dzisiaj kiedy zamykała oczy, zobaczyła pod powiekami jego twarz.

Może ja nie za innym światem tak nagle zaczęłam tęsknić? – zapytała siebie uczciwie i wprost. – Tylko za tym chłopakiem, który tak bardzo do

mnie nie pasuje? Czemu napisał, że przyjedzie, a potem tego nie zrobił?

Coś ją ścisnęło w sercu. Tęsknota, jakiej wcześniej nie znała.

I nagle zrobiło jej się pusto w sercu. Ten dom, który zawsze był pełnią, dawał wszystko, czego potrzebowała, przestał wystarczać.

– Nie! – zawołała. – Nie chcę tego! – Zakryła twarz dłońmi. – Nie chcę tej zmiany. Nie zgadzam się na nią! Niech już przyjdą święta, żeby było jak dawniej. Każda rzecz cieszy i niczego więcej nie trzeba.

Przykryła się szczelnie kołdrą, a potem zamknęła powieki. Chciało jej się płakać. Ale na szczęście sen przyszedł szybko.

Rozdział 11

Markus stał w sadzie. Było mu zimno i nieprzyjemnie. W ogóle nie rozumiał, co się z nim stało. Co za dziwny impuls kazał mu dokonać tych bezsensownych wyborów. Wsiadać w samolot, tracić pieniądze na drogie bilety, potem szukać połączenia z Krakowa do tej dziury i znów tracić kasę na taksówkę tu na miejsce. Do gospodarstwa doszedł już piechotą.

Było bardzo późno, zapadła ciemność, a Skalscy dawno przestali pracować w sadzie. Nie mógł im więc pomóc.

Kiedy szedł drogą, minął go jakiś duży samochód dostawczy. Za kierownicą rozpoznał tatę Lidii, ale mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi. Markus nie miał pojęcia, co teraz ze sobą zrobić. Wpraszać się do nich na kolację?

Podszedł do domu bardzo blisko. Czuli się tu wyraźnie bezpiecznie. Wprawdzie psy szczekały, nikt jednak nie wyszedł na zewnątrz. Psy pewnie hałasowały tu często, a wobec Markusa szybko nabrały zaufania i przestały się pieklić. Dały się nawet pogłaskać. Tym bardziej że stał bez ruchu i tylko patrzył w okna. Siadły więc obok niego i pilnowały.

W bloku, w którym mieszkał, szybko okna zasłaniano wieczorem żaluzjami albo roletami. Tu nic takiego nie miało miejsca. Nie mieszkali przy drodze, pierwszy sąsiadujący z nimi dom znajdował się w sporej odległości. Widać nie nabyli jeszcze takiego zwyczaju. Dzięki temu on mógł zaglądać do środka bez przeszkód.

A widok, jaki zobaczył, całkiem go pochłonął. Na środku jadalni, którą dobrze znał, stał ten wielki stół i wszyscy przy nim siedzieli. Pomieszczenie było rzęsiście oświetlone, więc ze względu na panującą na zewnątrz ciemność można było obserwować każdy szczegół. Jedli. Ciągłe pojawiały się

nowe produkty, ten chleb o wyjątkowym smaku, bułki, sery, pomidory. Na środku stała też wielka miska z jabłkami, zapewne tymi świeżo zerwanymi dzisiaj w sadzie. Musiały pięknie pachnieć. Próbował to sobie wyobrazić.

Byli razem. Chłopcy coś opowiadali, Lidia tylko patrzyła.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Chciał ją zapytać, jak się czuje, jak minął jej ten dzień.

Przy stole rozsiadł się też rzecz jasna zasadniczy i sztywny jak zawsze dziadek, chociaż on jako pierwszy opuścił towarzystwo. Brakowało ojca, ale ten odjechał z towarem, poza tym rodzina była w pełni. Jedli niespiesznie, choć sprawnie.

Markus nie pamiętał ani jednej takiej kolacji ze swojego życia. Ani jednej. Czasy, gdy rodzice byli razem, nie pozostawiły żadnych wspomnień. Zresztą nawet jeśli coś takiego by się u nich wydarzyło, to siedzieliby zaledwie w trójkę, może z babcią, choć to mało prawdopodobne, bo tata nie lubił teściowej i ponoć tak było od początku.

Markus najczęściej jadał posiłki sam albo z babcią. Mama nie znosiła gotować, za to uwielbiała być poza domem, zwłaszcza wieczorami. Miała swoje życie i rozumiał to. Naprawdę rozumiał, że ma prawo spotykać się ze znajomymi, realizować swoje pasje, nie czuł żalu, nie był zaborczy. Nigdy. Ani jako dziecko, ani teraz.

Dopiero dziś odkrył, że czegoś mu bardzo brakuje, że nawet cały świat nie jest w stanie zapełnić tej pustki, jaka teraz nagle go ogarnęła, gdy patrzył na to niewielkie pomieszczenie wypełnione ludźmi. Zupełnie zwyczajne, ale pełne nieznanego mu ciepła, spokoju, bezpieczeństwa. Na matkę, która ma czas, na rodzeństwo, którego on się nigdy nie doczekał.

Zaczął się zastanawiać, czy jest możliwe, że na tym ogromnym świecie, który w dużej części już zobaczył, istnieje dla niego jedno stałe miejsce, do którego zawsze by wracał, i z którym byłby naprawdę związany. Czy je kiedyś znajdzie?

Mieszkanie w bloku, które teraz wynajmowała mama, było czwartym, jakie zajmowali w ciągu jego życia. Wszystkie przeprowadzki powodowały jakieś zewnętrzne przyczyny. Albo mamie udało się znaleźć coś lepszego,

albo chciała się przenieść, żeby być bliżej pracy. Każde z tych miejsc było mniej więcej takie samo. Miało może trochę więcej metrów, kuchnia była praktyczniej urządzona, balkon wychodził na ładniejszą okolicę, przystanek znajdował się bliżej – ot, takie rzeczowe względy.

Ale to nigdy nie był dom. Ani w sensie budynku, ani w sensie niematerialnym. Mógłby się wyprowadzić stamtąd dziś i nie poczułby nawet cienia tęsknoty. Po prostu miejsce, dach nad głową. Cztery ściany, wśród których można postawić łóżko, żeby na nim spać. Tyle.

Jak dotąd bez problemu wystarczało.

Coś się w nim jednak gwałtownie zmieniło i wcale mu się ta zmiana nie podobała. Całkiem dobrze czuł się w tym, co udało mu się osiągnąć. Podróże dawały mu spełnienie. Uwielbiał śpiewać, dopiero co złapał wiatr w żagle i zaczął koncertować. Czuł się szczęśliwy, kiedy jeszcze parę dni temu jechał do tej dziury, by zarobić trochę pieniędzy.

Teraz jakby mu to wszystko jednym gestem zabrano. Nie mógł znaleźć swojego spokoju. Chciał przyjechać tutaj na święta i siedzieć przy tym ciężkim stole, który trudno ruszyć z miejsca. Jest nieco nieporęczny i na pewno niemodny, ale może dać komuś poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa.

Odwrócił się z trudem. Ręce zgrabiwały mu z zimna. Jesień wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie będzie trwać wiecznie i czas się przygotować do czegoś innego. Ruszył drogą w dół. Zamierzał iść przed siebie tak długo, aż dotrze w miejsce, gdzie nikt nie będzie mógł go rozpoznać. Początkowy plan, by zameldować się w miejscowym hotelu, teraz wydał mu się nieodpowiedni.

Zrobi się sensacja. Doniosą Lidii, że się tu kręcił. A jemu wstyd było przyznać, że najpierw się zerwał jak wariat, by do niej pojechać, a potem nie miał odwagi nawet zapukać do drzwi. Targały nim tak dziwne emocje i miał wrażenie, że nie może nikomu o tym opowiedzieć, bo jeśli tylko zacznie, to się rozpłacze. A nie był z tych facetów, którzy rozklejają się łatwo. I wbrew temu, co niektórzy mówili, że mężczyźni też mają prawo mieć słabszy dzień, nie chciał tego w sobie zmieniać. Był dumny, że jest twardy.

Coś ty mi, Lidio, zrobiła? – posłał w zimną ciemność to pytanie. Nie dostał odpowiedzi.

Rozdział 12

Marta, babcia Markusa, wróciła do swojego mieszkania. Na szczęście winda sprawnie działała, co tutaj było normą, bo pamiętała, że w Polsce działa się to zupełnie inaczej. Mieszkała kiedyś w starym bloku, na dodatek na dziewiątym piętrze i wiecznie tylko odczytywała karteczkę zawieszoną na drzwiach, że zepsuty dźwig nie działa. Ale wtedy nie był to taki kłopot. Miała dwadzieścia parę lat i mnóstwo siły. Stało się trudniejsze, gdy urodziła dziecko i trzeba było tachać ciężki wózek.

Stare dzieje.

Myślała, że dawno zostawiła to za sobą. Minęło tak wiele lat? Ponad pięćdziesiąt. Ogromny szmat czasu. Niewyobrażalny.

Jako młoda dziewczyna funkcjonowała w dużo krótszych odcinkach. Planowała, co za miesiąc, za rok. Może trzy. Nawet nie umiała sobie wyobrazić, co będzie za dwadzieścia lat, że w ogóle istnieje taka możliwość, a co dopiero pięćdziesiąt.

Świat był wtedy tak bardzo inny, że dziś z trudem wierzyła, że naprawdę tam żyła. Czasem miała wrażenie, że to ktoś inny mieszkał w tamtym domu bez bieżącej wody i łazienki, wśród lasów, łąk, a także nieurodzajnych pól. Zginała swoje plecy na słońcu i waliła kopaczką w twardą ziemię, wyciągając kamienie, trudząc się niezmiernie, żeby wyrósł jakiś łąn chudej marchewki. O ile nie zżarły go zajęce, sarny, nie zniszczyła susza, nie podtopiła ulewa.

Ciężkie życie, twarde. Ale nie dziwiła się Markusowi. To miejsce miało coś w sobie i kiedy człowiek się w nim zakochał, zostawało w jego sercu na zawsze.

Weszła do mieszkania i nie zapalała światła. Zdjęła płaszcz i buty. A potem usiadła na kanapie. Całkiem przyzwoicie sobie poradziła w życiu, tak przynajmniej do tej pory uważała. Dostawała niezłą emeryturę, stać ją było na wynajęcie tego dwupokojowego, przyjemnie urządzonego lokum. Kupiła piękny telewizor, miała kwiaty w doniczkach, mogła się ładnie ubierać, chodzić z koleżankami na kawę, do kina, które bardzo lubiła, jeździć raz do roku na wakacje.

W Polsce nie miałyby takich możliwości. Było jej tutaj wygodnie. Kochała swojego wnuka i wokół niego kręciło się całe jej życie. Z córką kontakt był o wiele słabszy, ale cóż, człowiekowi nie zawsze w życiu wychodzi wszystko. Trzeba doceniać to, co się udało.

Doceniała aż do dzisiaj. Ten zbieg okoliczności był wprost nieprawdopodobny!

Jak mogło się tak stać, że życie doprowadziło jej wnuka w to samo miejsce, do tej samej miejscowości?! Niby świat jest mały i ludzie spotykają się nieraz na jego krańcach, choć nie mają okazji minąć się w swojej niewielkiej wiosce. Słyszała o różnych dziwnych splotach zdarzeń, w które nikt by nie uwierzył. Ten jednak przechodził jej wyobrażenie.

Ledwo wysiedziała do końca opowieści. Cud, że nie zemdląca, nie dała niczego po sobie znać. Teraz w spokoju własnego mieszkania mogła dać upust emocjom. Łzy płynęły po jej policzkach, a dłonie drżały.

Miała głębokie przekonanie, że to wcale nie jest przypadek. Absolutnie nie. To życie na sam koniec zaprowadziło ją do początku.

Ale jeśli miało nadzieję, że dzięki temu wydarzy się coś dobrego, to zdecydowanie się przeliczyło, bo wszystko, co Marta czuła, było niedobre. Gniew, dawna zapiekła uraza, poczucie krzywdy, a także ta twardość charakteru, która skłaniała ją kiedyś do podjęcia zdecydowanych kroków. Ostatnio nie musiała już z niej korzystać ani walczyć.

Teraz jednak poczuła tę samą wściekłość i ten okropny rozdzierający serce ból. Bo choć świat bardzo się zmienił, to jednak emocje pozostały w nienaruszonym stanie. Świeże jak tamto powietrze, nietknięte niczym.

Czas ich nie naruszył. Ta krzywda bolała dziś dokładnie tak samo jak ponad pięćdziesiąt lat temu.

Może dlatego, że nigdy nie została wypowiedziana? Może to z tego powodu, że Marta nie doczekała się sprawiedliwości. Nikt nie przyznał jej racji. Odeszła, zostawiła wszystko za sobą i postanowiła zbudować swoje życie na nowo. I kiedy właściwie można było powiedzieć, że to się udało, odpocząć, świat zapukał do niej z przypomnieniem, że ma jeszcze niezakończoną sprawę.

Naprawdę nie miała pojęcia, jak jej się udało odbyć tę rozmowę z wnukiem w tak spokojny sposób. Dlaczego nie zaczęła płakać, krzyczeć. Na to miała największą ochotę. Była w szoku, a on niczego nie zauważył.

Słominki – nazwa, która wywołała w niej skrajne emocje. Kiedyś wypowiadała ją z miłością, jak do kogoś, kogo się czule kocha, potem ze złością, jak do potwora, który okrutnie zranił, teraz zostały już tylko wściekłość i żal.

A więc tak wszystko się potoczyło. Przyznała, że tego się nie spodziewała. Ignacy sobie poradził, wyremontował dom i przemienił podupadającą z biedy chałupę w coś pięknego. Miał bliskich: syna. Tylko jednego – to była norma w ich rodzinie. Choć coś się zmieniło, skoro doczekał się aż trojga wnucząt.

Pieką chleb, mają gospodarstwo, które daje dochody. Coś nieprawdopodobnego! A działki teraz nabrały zupełnie innej niż kiedyś wartości. W czasach, które pamiętała, kosztowały grosze. Gdyby mogła przewidzieć przyszłość, nakupiłaby ich mnóstwo, zadłużyła się gdzieś, by teraz za czapkę gruszek spłacić ten dług. Ale o takich sprawach nie miała w czasach swojej młodości pojęcia. Ani też żadnych możliwości, by zrealizować podobny projekt. Nie zamierzała jednak odpuścić, zostawić tego, co jej się należało.

Czy się rzeczywiście należało?

To było pytanie, które przecinało jej serce ostrym ukłuciem. Ignacy powiedział dawno temu, że nie. Wtedy położyła uszy po sobie i odeszła. W tym jednym momencie zginęła nagle cała jej buntownicza natura, dziarliwość, dzielność. Po prostu nie była w stanie wyartykułować nawet słowa.

Zostawiła wszystko i odeszła. Jak było naprawdę? Co ostatecznie postanowili rodzice? Tego przecież nie wiedziała. Sądziła, że sprawa jest zamknięta.

Ale ból, jaki poczuła na widok tamtego miejsca, na dźwięk nazwy miejscowości, uświadomił jej, że absolutnie to się nigdy nie stało. Że choć pozornie żyła spokojnie, to pod jej stopami buzuje wulkan i zbiera się od lat, rośnie w siłę. Jeśli go nie powstrzyma, to wybuchnie kiedyś tak, że zniszczy wiele. Za wiele. Musiała wreszcie rozwiązać tę sprawę i stanąć do konfrontacji.

Zastanawiała się wiele razy, czy Ignacy o niej myśli. Pewnie nie ma takiej potrzeby. Ona też mogła odpuścić, zapomnieć. Ale raz już stchórzyła i nie chciała w taki sposób szykować się w swoją ostatnią podróż. Ile lat jej jeszcze zostało? Nie mogła liczyć, że wiele. Trzeba to wyjaśnić.

Długo nie wiedziała, co słyhać u rodziny. Był taki moment, kiedy uznała, że Ignacy już umarł. Miałby przecież w tym roku osiemdziesiąt lat. Nie każdy dożywa takiego wieku, a temu draniowi się udało. Może był twardy. może z innej gleby ulepiony. A może po prostu było tak, że czekał i też nie mógł odejść, zostawiwszy tutaj niepozałatwiane sprawy. No to może ona będzie jego szansą, żeby mógł to zmienić.

Nigdy jej nie uważał za dobry nabytek w rodzinie. Twierdził, że jest źródłem samych kłopotów, miał o niej złe zdanie. Przez wiele lat cierpiała z tego powodu. Ale zaraz pomyślała, że właściwie ma to pewien plus. Marta nie miała niczego do stracenia. Uznała, że Boże Narodzenie, okrągłe urodziny, to świetny moment, żeby pewne sprawy domknąć.

Rozejrzała się wokół siebie. Niewiele było widać. Pokój rozjaśniały światła ulicznych latarni. W Monachium nigdy nie jest prawdziwie ciemno. Chyba w tym mieście nie istnieje takie miejsce, gdzie w nocy można byłoby doświadczyć tego uczucia, że wyciągasz rękę przed siebie i jej nie widzisz. Nikt tu nie żył w rytmie natury. Cywilizacja ułatwiała mnóstwo rzeczy. Jeśli padał śnieg, natychmiast był odśnieżany, jeśli zachodziło słońce, zastępowały je lampy. Mnóstwo było całodobowych sklepów, świetnie

działał internet, kurierzy, wszystko na wyciągnięcie ręki. Bardzo wygodne życie.

A teraz Marta miała szczerzy zamiar powrócić do tamtego świata, o wiele bardziej surowego, bo ten nagle przestał jej wystarczać. Jakby to, co osiągnęła i z czego była bardzo zadowolona, w jednym momencie straciło swoją wartość. Wystarczyło, że zobaczyła kilka zdjęć.

Czy to wciąż była jej rodzina, czy nie? Na to pytanie nie umiała udzielić odpowiedzi.

Rozdział 13

Lidia wstała wczesnie rano. Pierwsze, co zrobiła, to oczywiście sprawdziła telefon. Markus był na Messengerze kilka godzin temu, a jednak nie przysłał wytłumaczenia dla swoich wczorajszych dziwnych wiadomości. Nie zamieścił też żadnej nowej informacji o sobie, nie miała więc pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Kolejny koncert – jak wyczytała na stronie – miał mieć miejsce za tydzień. Jak spędzał ten czas? I po co ją to interesowało?

Weszła do spizarni. To było magiczne miejsce jej dzieciństwa. Duże pomieszczenie, które wymarzyła sobie mama, miało na końcu okno, dzięki temu prawie zawsze było tutaj jasno. Przy dwóch długich ścianach ustawiono szerokie półki sięgające aż do sufitu i były one zapchane różnego rodzaju dobrem: konfiturami, przetworami, owocami stojącymi w skrzynkach, nalewkami, suszonymi ziołami i oczywiście chlebem. Wiecznie coś tu stało i pachniało. Mama lubiła piec zrywami, dużo naraz, a potem przerwa. Rozrabiała w starej, drewnianej misce wielkie ilości zaczynu, dodawała do niego mąkę i patrzyła, jak rośnie.

– Znowu mi się wylało po brzegi – śmiała się radośnie, zaskoczona tym procesem, jakby go widziała po raz pierwszy. A przecież zawsze tak było. Miała dobrą rękę do roślin, zwierząt i do chleba.

Ale dziś Lidia nie poczuła tej samej atmosfery. Zobaczyła po prostu stare pomieszczenie pełne słoików, z podłogą, którą wypadałoby zamieść, a także – co tu dużo kryć – pomalować, bo odłaziła z niej farba. Zauważyła, że okno jest brudne, bo oczywiście nikt nie miał czasu w tym gorącym jesiennym momencie myśleć o takich szczegółach. Poza tym zrobiło jej się zimno

i nawet jeśli próbowała wzbudzić w sobie tamtą atmosferę podziwu, to ja-koś nie chciało to działać.

Potem weszła do kuchni. W zlewie piętrzyły się naczynia. Wszyscy wczoraj byli zbyt zmęczeni, by posprzątać. Na stole leżały okruszki, a dziadek, który zapewne zerwał się dziś jako pierwszy, zostawił swój ulubiony kubek z kawą. Nie byli drobiazgowi, dom na wsi to nie muzeum, ciągle tu się coś działo, gotowało. Lubiła ten naturalny rozgardiasz. A dziś jakoś nie.

Wreszcie nie wytrzymała.

Coś z tym trzeba zrobić! – pomyślała. – Bo inaczej odbierze mi to całą radość życia. Nie chcę tak.

Postanowiła napisać do Markusa na Messengerze. To on za wszystko odpowiadał i jego winą były te okruszki na stole i brudne okno, i odłóżka z podłogi farba. Jak długo żyła, nigdy tego nie zauważyła. A teraz wszystko jaskrawo rzucało się w oczy. Skoro tego dokonał, niech weźmie odpowiedzialność.

Cześć, co u Ciebie słychać? Gdzie jesteś? Chciałabym z Tobą pogadać.

Musiał mieć telefon gdzieś pod ręką, bo ledwo to napisała, zobaczyła, że to odczytał i szybko zaczął pisać odpowiedź.

Jeśli Ci bardzo zależy, mogę spotkać się z Tobą za 40 minut, w tym Waszym ulubionym hotelu. Tym razem to ja Cię zaproszę na śniadanie.

Zdębiała. Czy to miał być kolejny żart? Należy dodać, że kolejny głupi, bo wcale jej się to nie spodobało.

Co masz na myśli? – odpisała.

Zaczęła być zła, że w ogóle zaczęła z nim rozmowę.

Jestem tutaj – odpisał. Trudno jej było w to uwierzyć.

Naprawdę przyjechałeś?

Zaczynała się zastanawiać, czy to nie jest jakiś przekręt. Słyszała, że to jest modne teraz w internecie. Nabiera się jakąś dziewczynę, że ktoś się chce z nią umówić, ona się stroi, przeżywa, jedzie w jakieś miejsce, a tam czeka ją upokorzenie.

Czy Markus też miał zamiar w ten sposób się bawić?

Wiedziała, że po koncercie zespół miał dzień przerwy, ale zaraz potem dotarł w komplecie do Monachium, bo cała grupa wstawiła zdjęcie na media społecznościowe. Markus prezentował się na nim dumnie z samego przodu. Skąd więc mógłby się nagle wyczarować w Słominkach?

Bądź za 40 minut, wszystko Ci wytłumaczę – napisał.

Wiedziała, że niczego więcej już nie wyjaśni, więc odłożyła telefon i zaczęła się zastanawiać, co robić. Jeśli to taka zabawa i ci muzycy zaśmieją się teraz do łez z głupiej dziewczyny, która dała się nabrać, no to okaże się dla nich łatwą ofiarą, bo rzeczywiście nie znała się na podstępach ani manipulacjach. Jeśli ktoś się z nią umawiał, zakładała, że ma szczerą intencję. Teraz się wahała, nie wiedziała, co zrobić.

Kiedy jednak kręciła się po kuchni, udając sama przed sobą, że podejmuje decyzję, ręce same ukroiły piętękę od chleba, wsadziły ją do ust, a potem dopiła kawę z dziadkowego kubka. Szybko pobiegła na górę, zdjęła stary dres, w którym zamierzała dzisiaj sprzątać, włożyła najlepsze dżinsy i jedyną fajną bluzę, jaką posiadała, zaczesała swoje gęste jasne włosy w kucyk, a potem zrobiła nawet delikatny makijaż. Musiała się wymknąć z domu tak, żeby rodzice jej nie zauważyli. Bo to by pewnie wywołało komentarze.

Kiedyś w dawnych czasach mama martwiła się, żeby Lidia nie ubierała się zbyt wyzywająco i nie malowała za ostro, żeby nie miała problemów w szkole i nie włączyła się gdzieś z chłopakami. Teraz odwrotnie. Mama martwiła się, że Lidia nie używa żadnych kosmetyków, nie maluje się, nie dba o swój wygląd, polegając tylko na naturalnej urodzie, że ciągle chodzi w dresach i w podkoszulkach, nie eksponuje figury, a na koniec że nie spotyka się z chłopcami.

Lidia skończyła dwadzieścia trzy lata i nigdy jeszcze nie była w prawdziwym związku. Z nikim nie spała, jeśli się z kimś spotykała, to tylko krótko. Nie czuła potrzeby malowania się, strojenia w sukienki czy buty na obcasie, bo miała bardzo jasno określone kryteria wobec partnera, którego poszukiwała. Po prostu razem z nim prowadzić gospodarstwo. Rozwijać to miejsce, dzielić się pasją. Nie zastanawiała się, czy on będzie jeździł świetnym sa-

mochodem i jakie włoży na siebie ciuchy. Po prostu miał być sensownym, twardo stąpającym po ziemi człowiekiem stąd, który rozumie tę ziemię, kocha ją i tyle. Rady mamy wydały jej się więc kompletnie nie na miejscu.

Tym bardziej teraz czuła się dziwnie, lecąc jak na skrzydłach do chłopaka, który kompletnie do tego wszystkiego nie pasował. I choć słyszała często takie historie, że ludzie bardzo się między sobą różnią, a potem jednak budują razem coś pięknego, to wiedziała, że w tym przypadku to niemożliwe.

Nawet gdyby Markus dał się złapać na chwilę w bajkę o pięknym domu i jednym miejscu na ziemi, to i tak szybko poczułby się tutaj nieszczęśliwy, nie mógłby rozwinąć skrzydeł, byłoby mu za ciasno. I nawet gdyby ona porwana miłością pojechała z nim w trasę koncertową, zostawiła za sobą wszystko, co kochała, to zaraz zaczęłaby tęsknić. Ryba i ptak mogą się w sobie zakochać, tylko gdzie zbudują swój dom? To stare powiedzenie w tym przypadku okazało się dobitnie prawdziwe.

Jednak Lidia wymknęła się z domu, wsiadła na rower i popędziła w stronę hotelu. To było chyba najgorsze miejsce, gdzie mogliby się spotkać. Zaraz cała okolica zacznie plotkować. Czemu on wybrał właśnie to, nie wiedziała. Ale zgodziła się.

Markus siedział w hotelowym barze pod oknem. Mieli stąd naprawdę niezły widok. Dziwił się, że to miejsce ma taką słabą stronę w mediach społecznościowych i nie reklamuje się mocniej. Było całkiem dobre. Mogło stać się atrakcją dla turystów, ale wyraźnie nikomu na tym nie zależało.

Dziś oprócz niego w hotelu był tylko jeden gość. Wszystko tu działało spokojnie, sennie. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy miał miejsce koncert. Nie widział już tylu kelnerów, pokojówek, tego ruchu, jaki towarzyszył większemu wydarzeniu. Siedział spokojny, popijał leniwie sok, czasem sprawdzał coś na Messengerze albo zerkał na horyzont.

Nagle przeszył go dreszcz. Spojrzał w stronę drzwi i zobaczył Lidie.

Cały spokój się ulotnił. W jego miejsce pojawiło się napięcie. Wydawała mu się piękniejsza, niż wtedy, gdy ją widział po raz pierwszy. Coś się zmieniło w jej wyglądzie, ale nie był w stanie określić co.

Powinienem jej zrobić zdjęcie – pomyślał – żeby mieć na tę chwilę, kiedy nie ma jej obok.

Podeszła bliżej, spokojna, pewna siebie, godna. Tak, zdecydowanie wyróżniała się na tle dziewcząt, które znał do tej pory. Usiadła naprzeciwko niego, a stojącemu za barem chłopakowi omal oczy nie wylazły na wierzch.

– Dlaczego wybrałeś to miejsce? – zapytała zamiast powitania.

Chyba zrozumiał, co miała na myśli.

– Boisz się plotek? – zapytał.

– Nie wiem. Zamierzasz dostarczyć jakiegoś powodu? – Uśmiechnęła się.

– Nie pomyślałem, że tutaj też obowiązują takie zasady. Pamiętam, że w Indiach nie do każdej dziewczyny można było podejść czy się uśmiechnąć, podobnie jak w krajach muzułmańskich. Też trzeba było uważać, z kim się umawiasz i gdzie. Ale tu w Polsce? Nie chciałem sprawić ci kłopotu. Gdybym wiedział, że to problem, wybrałbym środek lasu.

– Daj spokój. – Machnęła dłonią. – Jest zimno i zaczyna padać. – Rzeczywiście, aura za oknem zdecydowanie się pogorszyła. Duże krople coraz częściej uderzały w okna. – Możemy tutaj posiedzieć. Chociaż nie wiem, czy atmosfera do rozmowy będzie dobra – dodała ciszej, bo Filip położył się na blacie baru, wyraźnie wychylając głowę w ich stronę. Byli w restauracji jedynymi gośćmi i ich głosy niosły się po pustej przestrzeni.

– Chodź – powiedział Markus, zrywając się z krzesła. – Zamówię jakieś przekąski i pójdziemy do pokoju. Wynająłem jeden z nich. Nie chciałem, ale nic tu więcej nie ma.

To była zupełnie pozbawiona podtekstów propozycja. Rzucił ją bez zastanowienia, ale kiedy stał przy barze, dotarło do niego, że powinien lepiej był przykładać się do czytania dziewiętnastowiecznych powieści. Wszystko

bowiem wskazywało na to, że tutaj obowiązują wciąż te same zasady. Dziewczyna może w łatwy sposób stracić swoje dobre imię.

Kiedy złożył zamówienie, wziął Lidię za rękę i poprowadził w stronę schodów, zobaczył, jak uszy chłopaka za barem robią się czerwone. Ale nie odezwał się. Właściwie jakie to miało znaczenie, co myślą inni?

Poszli korytarzem. Lidia się nie odzywała. Otworzył drzwi do pokoju, zaprosił ją do środka.

Na łóżku leżała niewielka torba i kilka porzucanych części garderoby, które pospiesznie schował do środka, a potem przesunął nogą pod biurko. Podsunął Lidii jedyne krzesło, jakie się znajdowało w pomieszczeniu, a sam usiadł na kołdrze, zaplatając nogi po turecku.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytała wreszcie Lidia.

Wpatrywała się w niego z mieszaniną niedowierzania i podziwu. Miała wrażenie, że oczy ją mylą, a jednak rzeczywiście tu był. Wciąż trzymał w dłoniach swoją szklankę z pićm i spoglądał na drzwi, oczekując na komplet zamówienia.

– Przyjechałem do ciebie – odezwał się. – Nie będę ściemniał, tak się u was mówi? Moja babcia ciągle to powtarza. Nie wiem, gdzie się tego nauczyła, chyba z jakiegoś serialu. Czy mówiłem ci, że moja babcia non stop ogląda polskie seriale?

– Tak. Za to z kolei mój dziadek tureckie. Choć za nic w świecie nie chce się przyznać. Ale po szesnastej nie wolno do niego wchodzić do pokoju. Oficjalnie ma drzemkę. – Uśmiechnęła się.

– No to ciekawa wymiana. – Markus pokiwał głową. Teraz patrzył już tylko na nią. Nie mógł oczu oderwać. Każdy szczegół wydawał mu się ważny.

– Dziadek kryje się z tym i wcale do tego nie przyznaje – dodała Lidia. – Ale często, kiedy przechodzę obok jego drzwi, słyszę charakterystyczną melodię czołówki. Nie przeszkadzamy mu. Udajemy, że nie wiemy.

– Jesteście bardzo taktowni.

– Kochamy go – odparła szczerze. – To wspaniały człowiek, dobry, trzyma naszą rodzinę w całości.

Markus miał ochotę powiedzieć, że trochę zazdrości, ale z jakiegoś powodu nie przeszło mu to przez gardło. Nawet się zdziwił, bo zwykle nie miał oporów, żeby się dzielić swoimi odczuciami.

– Naprawdę chciałeś pomagać nam zbierać jabłka? – zapytała.

– Naprawdę – przyznał, powoli wypowiadając to słowo, jakby niełatwo mu się było przyznać. – I sam tego nie rozumiem. Umówiłem się z tobą chyba głównie po to, żebyś mi pomogła to wyjaśnić. Co się nagle ze mną stało? Aż taki spontaniczny nie jestem.

– Artystyczna dusza? – Lidia znowu się uśmiechnęła.

Lubił patrzeć, gdy była wesoła.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i ten sam chłopak, który jeszcze moment temu stał za barem, wszedł do środka z tacą, dokładnie zlustrował każdy centymetr podłogi, jakby spodziewał się znaleźć jakieś dowody rzeczowe. Spojrzał na Lidie, mierząc ją z góry na dół, potem na Markusa, ostrożnie położył tacę na biurku, a następnie podał im spory talerz z przekąskami.

Markus podał mu banknot.

– Dziękuję – odparł Filip, ale wciąż stał. Popatrywał to w jedną, to w drugą stronę, jakby czegoś oczekiwał. Wyjaśnień? Dalszego rozwoju sytuacji, której mógłby się przyglądać?

– Dziękuję – powiedział Markus stanowczo, a ten wzruszył tylko ramionami, po czym odwrócił się i poszedł.

Markus spojrział na Lidie z niepokojem, ale ona jakby tego nie zauważyła.

Lidia wzięła do ręki picie. Nie umawiała się dotąd z chłopakami w hotelach, ale niespodziewanie poczuła w tej nietypowej sytuacji dość swobodnie. Może dlatego, że to Markus. Przy nim wszystko było inaczej niż zwy-

kle. Niewiele ich łączyło, a jednak była ciekawa każdego jego słowa. Wiedziała, że ta relacja jest bez szans, lecz nie chciała stąd wychodzić, wręcz przeciwnie, zostać tu jak najdłużej.

Deszcz za oknem wciąż przybierał na sile. Pociemniało, a nie minęło nawet południe.

Markus nie zapalał żadnego światła, zrobiło się przytulnie.

– Może ja jednak przyjadę na te święta do ciebie – powiedział, a potem do niej podszedł. – Masz rację. Chciałbym zobaczyć chociaż raz, jak to jest.

– Dobrze – zgodziła się. Stanowczo za często wypowiadała w stosunku do niego to słowo, gubiąc swoją do tej pory dobrze działającą asertywność, twardość i umiejętność mówienia „nie”.

A potem on ją przytulił i pocałował w czoło. Żałowała, że nie w usta.

– Nie chcę burzyć twojego spokoju – powiedział ciepłym głosem. – Za nic w świecie nie chciałbym cię skrzywdzić. – Przykucnął tuż przy jej kolanach i spojrzał jej w oczy. – Coś nas połączyło. Ja też to widzę. Ale przysięgam ci – dodał uroczyście – że nigdy nie będę dla ciebie powodem do płaczu ani kłopotów. Chciałbym tylko, żeby to nie zniknęło, żebyśmy się lubili i byli w kontakcie.

Położył jej głowę na kolanach, a ona zaczęła go głaskać. Wyglądał jak człowiek, który potrzebuje pocieszenia. Choć jego życie wydawało się tak bajkowe i kolorowe, to jednak w oczach miał smutek. Jego przysięga wybrzmiała bardzo uroczyście. Lidia mu uwierzyła i postanowiła nie martwić się o przyszłość, po prostu cieszyć się chwilą, spotykać z nim. Tyle. Ona też nie miała zamiaru go skrzywdzić, podciąć mu skrzydeł, przywiązać do słupka i osadzić w jednym miejscu. W żaden sposób nakazywać mu, jak ma spędzić swoje życie.

– Ja też chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze – powiedziała szczerze.

Zsunęła się z krzesła prosto na jego kolana. Poczowała ciepło, kiedy przylgnęła do niego całym ciałem, a on zaczął ją całować. Potem wziął za rękę, podniósł i położył na łóżku. Spojrzał jej w oczy i zatrzymał się. Czekał na jej zgodę. Ale ona tylko się przytuliła jeszcze mocniej. Całym ciałem. Nie

bała się ani trochę. Nie miała żadnych wątpliwości, choć zupełnie inaczej wyobrażała sobie swój pierwszy raz. Tak bardzo inaczej, jak to tylko możliwe. Czuła się jednak bezpiecznie z przekonaniem, że to jest właściwy moment i odpowiedni człowiek. Nie miała pojęcia, skąd płynie ta pewność.

– Będziemy dla siebie dobrzy – szeptała pomiędzy pocałunkami. – Nigdy nie zrobimy sobie nic złego – obiecywała ze szczerym zapałem młodej osoby, która nic jeszcze nie wie o miłości.

Rozdział 14

Sonia miała zamiar spędzić popołudnie na tarasie, delektując się złotą polską jesienią, ale pogoda całkowicie jej to uniemożliwiła. Nagle zerwał się wiatr i zaczął padać mocny deszcz. Pociemniało. Czuła niepokój. W takie chwile jak ta zawsze sprawdzała, czy z rodziną wszystko w porządku.

Odliczała każdego po kolei, jakby układała z puzzli swoje serce. Żadnego elementu nie mogło brakować. Chłopcy byli w szkole, dziadek drzemał na swoim ulubionym fotelu, mąż pogwizdywał w garażu, coś układał i ogólnie panowała miła atmosfera.

Mimo że deszcz zacinał coraz mocniej, włożyła kurtkę i poszła jeszcze do budynków gospodarczych, żeby sprawdzić, czy ze zwierzętami wszystko w porządku. Spoglądały na nią swoimi rozumnymi oczami i nigdzie nie dostrzegła śladu problemów. Rzuciła jeszcze okiem na sad smagany wiatrem i deszczem. Tracił liście, ale to też naturalne prawo przyrody, nic niepokojącego. Weszła do środka, spojrzała na zegarek. Dwunasta.

Nie mogła sobie jednak znaleźć miejsca.

Lidia wciąż nie wracała, ale pora była dość wczesna. Nic dziwnego, nie było sensu dzwonić. Sonia kręciła się więc po kuchni, przygotowując powoli obiad i robiąc porządki. Ta czynność nigdy się nie kończyła. Zawsze było coś do posprzątania. Ale traktowała to jako przywilej, nie pracę. Oznaczał, że ma rodzinę, o którą może się troszczyć, dom dający jej schronienie, jedzenie, które może postawić na stole, sensowne i pożyteczne zajęcie dla swoich rąk.

Marzyła o tym jako młoda dziewczyna i udało jej się to pragnienie spełnić. Życzyła Lidii z całego serca, żeby też mogła prowadzić takie życie.

Jednak to nie było takie proste. Ten niepokój sprawił, że na chwilę się przygarbiła. Oparła dłońmi o szafkę i zamyśliła. Nawet nie usłyszała, kiedy mąż wszedł do środka.

– Cześć! – powiedział. – Co się stało? – zaniepokoił się.

– Jestem chyba zmęczona – odparła i spojrzała na niego. – Myślałam, że jak odchowany dzieci, to odpoczniemy. Skończą się nieprzespane noce, noszenie na rękach, nieustająca opieka, troska, żeby nie chorowały, dobrze się rozwijały. – Westchnęła. – I dorastają, ale tylko nam się kłopoty zmieniały, a sił coraz mniej.

Podszedł do niej, objął ją mocno i przytulił.

– Mieliśmy odpoczywać na emeryturze – mówiła dalej. – Zaczynam się jednak obawiać, że kiedy do tego momentu dociągniemy, to i tak nie znajdziemy na to czasu. Mam dziwnie złe przeczucia.

– Jeśli będziemy nadal tu mieszkać, to oczywiście, że tak – odpowiedział Adam. – Roboty nie zabraknie. Gospodarstwo nie może zostać samo. Nie wie, że płynie czas i my się powoli starzejemy.

– Ty nie. – Podniosła głowę i uśmiechnęła się słabo. – Może będziesz długowieczny jak ojciec. Ja bardziej.

– Nigdy nie mów takich rzeczy. Ja bez ciebie tutaj nie zostanę, pamiętaj, nawet chwili. Poza tym co to w ogóle za rozmowy? Jestem od ciebie starszy, a czuję się młodo. Podobno w takim wieku niektórzy dopiero zaczynają życie, wpadają na nowe pomysły, przeprowadzają się.

– Ja bym tylko chciała, żeby nic się nie zmieniało – powiedziała i dotarła nagle do sedna swojego problemu. – Niepokoję się o Lidię! – zawołała gwałtownie. – Nie mam pojęcia, dokąd ona poszła. A przecież zawsze mówiła. Może do Ady?

– Na pewno tam – odparł z pewnością w głosie. – Wiesz, że nie ma zwyczaju włóczyć się bez sensu po okolicy.

– Zadzwoń – postanowiła. – Wiem, że jest dorosła, ale chyba nie wytrzymam. Mam wrażenie, jakby właśnie działo się coś ważnego, choć nie potrafię wytłumaczyć dlaczego.

– Zrób tak – poparł ją Adam. – Jeśli masz się martwić. Dwa zdania przez telefon i będzie po sprawie.

Sonia szybko wzięła do ręki aparat. Lidia nie odbierała, więc zaniepokoiła się jeszcze mocniej. A potem wybrała numer Ady. Znała go na pamięć, bo dziewczynki przyjaźniły się od piaskownicy.

– Cześć, kochana – przywitała się. – Czy jest u ciebie Lidia?

– Nie – odparła Ada z wyraźnym zaskoczeniem. – Nie widziałam jej od jakiegoś czasu. Chciałam się spotkać, ale mówiła, że dzisiaj nie da rady, bo jest bardzo zajęta.

– No właśnie, pobiegła gdzieś i nie mam pojęcia dokąd.

– Ja też nic nie wiem – odparła Ada i właściwie obie były jednakowo zaskoczone i obu zrobiło się tak samo przykro. Lidia nigdy nie ukrywała swoich ważnych spraw ani przed mamą, ani przed przyjaciółką.

– No nic – powiedziała Sonia. – Przepraszam cię, nie odbiera telefonu, więc trochę się zaniepokoiłam, ale pewnie gdzieś się zasiedziała.

Obie zdawały sobie sprawę, że to tylko takie słowa taniej pociechy bez pokrycia i jak na komendę jednocześnie zaczęły się mocniej martwić. Gdzie mogłaby się zasiedzieć? Miała jedną najlepszą przyjaciółkę. Gdyby była u kogoś innego, dałaby znać, wychodząc, a już na pewno odebrałaby połączenie od mamy. Zawsze to robiła.

Grzeczne dzieci. Czasem z nimi największy jest kłopot, bo po tych sprawaających problemy człowiek się spodziewa różnych rzeczy, wie, że mogą o czymś zapomnieć, nie przekazać informacji, zdecydować się na coś lekkomyślnie i nie oznacza to nic złego. Norma. A tutaj?

Zimny strach natychmiast pojawił się w głowie Soni. Tysiące złych scenariuszy. Nie miała pojęcia, jak wszystkie zmieściły się w tych kilku sekundach. Sonia odwróciła się w stronę męża.

– Coś złego się stało – wyszeptała. – Proszę cię, weź samochód i jedź jej poszukać.

Adam był o wiele spokojniejszy.

– Nic takiego się nie dzieje – próbował łagodzić. – To młoda dziewczyna. Za bardzo ją trzymamy pod kloszem. Może poszła na spacer i teraz czeka, aż deszcz przestanie padać?

– Co ty pleciesz? Lidia? Ona się deszczu nie boi.

To akurat fakt. Ich córka była od dziecka przyzwyczajona do kończenia prac na roli, nawet jeśli gwałtownie padał deszcz, bo po prostu tak trzeba. Zwieźć owoce i warzywa z pola, przyprowadzić zwierzęta, pozamykać. Nic jej nie było straszne. Ani burze śnieżne, ani wiatry, ani deszcze. Była odporna i prawie nigdy się nie zaziębiała. Nie bała się ciemności ani lasu. Bez trudu znajdowała drogę, a okolicę знаła świetnie.

– Dobrze. Dobrze. – Adam podniósł ręce na znak, że się poddaje. – Proszę cię, tylko się nie martw. Na pewno jest dobre wyjaśnienie. Ale jeśli ma cię to uspokoić, wsiądę w auto i pojeżdżę po okolicy. Spróbuję dyskretnie się czegoś dowiedzieć.

Zrobił to dla żony. Sam był przekonany, że za chwilę córka wpadnie do kuchni głodna i przemoknięta, wołając o herbatę czy kromkę chrupiącego chleba. Sam by zjadł, ale nie zdążył, a nie miał odwagi wracać, bo pełne niepokoju oczy Soni wymagały szybkiego rozwiązania problemu. Wziął mniejsze auto, żeby tak bardzo nie rzucać się w oczy, wyjechał z gospodarstwa, zamknął bramę pilotem i skierował się na drogę.

Właściwie nie miał pojęcia, jak to się robi. Nigdy nie szukał dziecka, nie chciał wywoływać sensacji, żeby ludzie nie gadali. Ale jak inaczej zaciągnąć języka? Lidia miała w okolicy wyrobioną bardzo dobrą opinię. Ojciec szukający jej w nerwach to byłby temat do soczystych plotek.

Spróbował więc wziąć to na spokojnie. Rozglądał się na prawo i lewo, ale w strugach deszczu niewiele było widać. Nikt w każdym razie nie stał na poboczu.

Dojechał do centrum niewielkiego miasteczka. Na rynku też pustki. Brzydka pogoda wszystkich przegnała. Zaparkował i zaczął chodzić dookoła niewielkiej kwadratowej płyty. Szybko zmókł, pobiegł więc do hotelu, żeby się trochę zagrzać. Miał na sobie tylko podkoszulek. Przerzucał

dzisiaj wielkie bele siana w stodole i zgrzał się mocno przy tej pracy. Nie zdążył się przebrać, a chodząc w deszczu, momentalnie zmarzł.

– Dzień dobry, panie Skalski – przywitał go Filip zza baru. – Jest tutaj, jest – dodał zaraz, choć Adam nie zadał mu żadnego pytania.

Czy wyglądał na aż tak zdenerwowanego?

– Ale kto? – próbował udawać głupka, bo mocno go to zaskoczyło.

– Lidia przecież.

– A to fajnie. Zabiorę ją do domu – odpowiedział, starając się zachować spokój, jakby cała ta sytuacja była czymś zupełnie naturalnym.

– No ja nie wiem, trzeba by tam zadzwonić. – Filip zrobił znaczącą minę. – Siedzą tam już dwie godziny. Nie wychodzą.

Adam poczuł niepokój. Ta liczba mnoga!

– Ale z kim siedzą? – zapytał. Niepokój okazał się silniejszy niż chęć zachowania dyskrecji. Poza tym ten chłopak i tak już wszystko wiedział.

– Ona i ten Markus – powiedział Filip z wyraźną satysfakcją, pewnie niecodziennie miał takie nowiny do przekazania. – Słynny muzyk, artysta. A taka była niedostępna! – dodał gorzko, jakby go to osobiście bolało. – Każdy był dla niej niedobry. Mówiła, że chce tu zostać, kocha ziemię, a tymczasem okazało się, że jednak woli muzyków, pieniądze, karierę...

Adam już nie słuchał. Wyszedł stamtąd szybko i zatrzasnął drzwi. Potem przebiegł przez chodnik na parking i zamknął się w swoim samochodzie. Nie miał powodu, by wątpić w słowa Filipa. Oni również znali się od dziecka. Jeśli widział Lidie, nie mylił się.

Ale skąd ten cały Markus się tu wziął? Dopiero co wyjechał przecież do Monachium, Lidia pokazywała nawet matce jakieś zdjęcia. I co? Nagle się teleportował z powrotem i siedzi z nią w pokoju?

Zacisnął z gniewem dłonie na kierownicy. Nie dziwił się, że chłopak z baru był taki oburzony. Jemu samemu emocje też podchodziły do gardła i buchały na policzki czerwienią. Miał jednak świadomość, że nie może teraz wpaść do hotelu, zażądać numeru pokoju, rozwalić drzwi nogą i uratować swojej córeczki. Była dorosła. Czegóż takiego nie mógł jej zrobić.

Pozostało mu tylko siedzieć bezsilnie i czekać na rozwój wypadków, mając nadzieję, że wszyscy, włącznie z nim, źle interpretują sytuację.

Lidia nie jest taka jak wszystkie dziewczyny – pomyślał z mocą i nadzieją. – To mądra, twarda osoba, umie samodzielnie podejmować decyzje.

Tyle lat była w Krakowie sama, nikt jej nie pilnował, a Adam wiedział doskonale, że z nikim się nie spotykała, choć była ładna i z pewnością miała niejedną propozycję.

O tak! – pomyślał jeszcze. – Lidia potrafi się bez trudu obronić.

Nie wiedział, że w chwili, kiedy uspokoił się tymi zapewnieniami, jego córka dokonała właśnie jednego z ważniejszych kroków w życiu. Leżała pod kołdrą, przytulona całym ciałem do dopiero co poznanego chłopaka z zupełnie innego świata. Więż pomiędzy nimi jeszcze mocniej się pogłębiła. Przytulali się, nie mogąc rozstać. Postanowiła, że zostanie u niego na noc. Wysłała do rodziców esemesa, że wróci rano, żeby się nie martwili, wszystko jest w porządku.

Do mamy, więc tata miał jeszcze chwilę, zanim znów bardzo się zdenerwował.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – powtarzał ciągle Markus. – Nie sprowadzę do twojego domu niczego złego.

Rozdział 15

Lidia wróciła dopiero nad ranem i udało jej się przemknąć do pokoju niepostrzeżenie. Burza rozpętała się później.

Najpierw wpadła Ada. Tak to jest, kiedy dzieci wychowują się na wsi, wspólnie, w dwóch albo trzech domach przyszywanych lub rzeczywistych cioć, do których można przybiec bez zapowiedzi, dostać obiad, siedzieć całymi dniami i nie ma z tym problemu.

Ada nawet nie zadzwoniła. Wbiegła po prostu do środka, przywitała się pospiesznie z mamą i dziadkiem, po czym rozległ się tupot jej stóp na schodach. Zapukała, ale właściwie była to tylko formalność, bo jeszcze nie wybrzmiał dźwięk, a ona już położyła rękę na klamce. Za to zaraz potem bardzo starannie zamknęła za sobą drzwi.

– Jak mogłaś mi to zrobić?! – zawołała, budząc Lidię ze snu, z którego ona wcale nie chciała się wydostawać. Czuła się w nim wspaniale. Nic dziwnego. We śnie wciąż leżała w objęciach Markusa. Było to tak nieprawdopodobnie przyjemne doświadczenie, że zaczynała rozumieć, dlaczego ludzie tracą głowę z miłości, czemu czasami rzucają rozsądnie poukładane życie, byle tylko doświadczyć tego jeszcze więcej i więcej.

Cóż, nie zdawała sobie sprawy, na jaki temat się wypowiada, kiedy snuła swoje plany i marzenia dotyczące przyszłości. Choć wychowała się w domu, patrząc co dzień na kochających się rodziców, pojęcia nie miała, czego oni doświadczają. Jak wielka jest to siła.

– Co się stało?! – zawołała, niechętnie podnosząc powieki.

Usiadła, z trudem dochodząc do przytomności. Obrazy z głowy nie zniknęły, a ciepło pościeli przywodziło wspomnienia ostatniej nocy.

– Cała wieś plotkuje, że spędziłaś noc w hotelu z tym Markusem! – zawołała Ada bez wstępów. – Jak mogłaś? Wiedziałaś, że to moje marzenie! Oddałam ci tego chłopaka tylko dlatego, że powiedziałaś, że i tak w nic poważnego nie zamierzasz się angażować. Gdybym wiedziała, że on jest taki skłonny do wchodzenia w związki, tobym go wzięła. I co teraz będzie?! – gorączkowała się. – Wyjedziesz z nim? Będziesz mu towarzyszyć w trasach? Doświadczysz innego życia? – Ada złapała się za głowę. – Wyrwiesz się z tej dziury? To były moje marzenia! Ty nigdy tego nie chciałaś! Dlaczego to zrobiłaś?!

Nawet gdyby Lidia chciała i tak nie była w stanie odpowiedzieć na tak dużą liczbę pytań jednocześnie. Poza tym wcale nie wiedziałyby, w jaki sposób. Nie miała tego przemyślanego. Po raz pierwszy w życiu nie byłaby w stanie podać sensownej argumentacji swoich wyborów, wyjaśnić.

– Nie wiem... – Pokręciła tylko głową.

– Co ty mówisz? – oburzyła się przyjaciółka. – To niemożliwe! Od początku to zaplanowałaś. Ten drugi, Thomas, nawet mi nie odpisuje na Messengerze. A robiłam wszystko, żeby było miło. Chociaż fakt, do łóżka z nim nie poszłam, a może to jest droga.

Ada spojrzała na Lidie. Nie mogła uwierzyć, że ta spokojna miła dziewczyna postąpiła w ten sposób. Nic na to wcześniej nie wskazywało.

– Proszę cię... – Lidia się wystraszyła. Przyjaciółka zawsze była bezpośrednia, ale miała swoje zasady i nie bywała cyniczna. – To nie tak. Uwierz mi.

– Nie tak?! – zdenerwowała się jeszcze mocniej Ada. – A jak? Nie poszłaś z nim do łóżka? Nie zostałam na całą noc w hotelu? Nie wypieraj się, bo i tak Filip już wszystko wygadał.

Cóż... czasem bezpośrednie pytania ani trochę nie pasują do skomplikowanej rzeczywistości.

Lidia przetarła oczy. Nie miała ochoty odpowiadać. Markus sporo zmienił w jej życiu, zaczęła mieć tajemnice nie tylko przed rodzicami, lecz także, jak się okazało, przed przyjaciółką. Zawsze mówiły sobie wszystko,

a teraz poczuła, że nie ma najmniejszej ochoty wpuszczać Ady do świata, który właśnie się przed nią otworzył.

– Zapytam Markusa o jego kolegę – powiedziała, żeby przekierować rozmowę na inny tor. – Przykro mi, że ta relacja cię rozczarowała.

Ada usiadła na jej łóżku. Objęła się ramionami. Jej szczupłe ciało drżało, a twarz wyrażała smutek.

– Co jest? – zapytała Lidia ciepło.

– Nie cierpię tego miejsca, tej dziury, wiochy – rozpłakała się Ada. – Nic tu się nie dzieje. Każdy dzień jest taki sam. Wiecznie ta sama robota. Ile byś razy nie zebrał siana z pola, ono bez przerwy rośnie. Ile byś razy nie nakarmił tych durnych zwierząt, następnego dnia znowu są głodne. Co byś nie ugotował, wszystko rodzina zje. Ile byś nie posprzątał, zaraz znowu jest bałagan. Ja tego nie wytrzymuję!

– Myślisz, że w mieście ludzie nie jedzą? – Lidia próbowała wprowadzić weselszy ton, ale bez skutku.

– Może. – Ada otarła oczy, ale wcale nie wyglądała na pocieszoną. – Tam oprócz tego dzieje się coś ciekawego. Tu nigdy nic.

Lidia całkiem już oprzytomniała i wyszła ze świata swoich błogich doznań do zupełnie innej rzeczywistości. Tej tu i teraz.

– Współczuję ci – powiedziała – ale może wcale nie potrzebujesz do tego jakiegoś muzyka. Po prostu możesz sama się wyprowadzić, poszukać sobie pracy.

– Chyba oszalałaś! – oburzyła się przyjaciółka. – W życiu się nie utrzymam w jakimś większym mieście. Wiesz, jakie są czynsze za wynajem najmniejszego choćby pokoju, koszty jedzenia, wszystkiego? A ja nie mam zawodu. Nie jestem taka zdolna jak ty. Gdzie mogłabym iść do pracy? Na zmywak? To mi nawet na chleb z masłem nie starczy.

– Nie wiem. – Lidia podciągnęła kolana pod brodę. – Z jednej strony zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, to są fakty, a z drugiej całą sobą czuję, że jest na pewno jakieś wyjście. Nie może tak być, że jesteś tylko

zdana na łaskę jakiegoś faceta, który przyjedzie tutaj i uratuje jak księżniczkę.

– No tak – westchnęła Ada, która te słowa zinterpretowała sobie po swojemu. – Księżniczką to ja nie jestem. Co najwyżej zwyczajną dziewczyną z wioski. Ty przynajmniej jesteś ładna i jak widać, ma to znaczenie.

– To nie o to chodzi. – Lidia natychmiast wyskoczyła z łóżka, usiadła obok niej i ją objęła. – Naprawdę nie w tym sensie to powiedziałam. Bardziej żebyś zobaczyła, że ty też coś możesz. Nie wiem, czy Markus zaprosi mnie na jakiś swój koncert, bo o tym nie rozmawialiśmy – dodała. – Ale jeśli tak się stanie, obiecuję ci, że cię zabiorę.

– Naprawdę? – ucieszyła się Ada. Gładko przełknęła fragment wypowiedzi o tym, że sama powinna wziąć odpowiedzialność za swoje życie, natychmiast wymazując go ze swojej głowy i skupiając się na o wiele ciekawszym: że Lidia jej pomoże, weźmie ze sobą. – Wiedziałam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką! – zawołała. Od razu się pocieszyła, wyprostowała, a w jej oczach pojawił się błysk.

– Kiedy jesteś szczęśliwa, stajesz się piękna – powiedziała Lidia, patrząc na nią. – Zalecam ci więcej jako twój osobisty lekarz, szczęście każdego dnia.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Miały przejść do przyjemniejszych tematów, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał tata.

– Ado droga. Czy długo jeszcze zostaniesz u Lidii? – zapytał oficjalnym tonem, jakim nigdy się do niej nie zwracał. – Bo mamy do niej ważną sprawę. Wyjątkowo ważną sprawę – podkreślił.

– O nie – westchnęła Lidia.

Wszystkiego teraz doświadczała pierwszy raz. Pierwsza noc spędzona z mężczyzną, pierwsze motyle w brzuchu, pierwsze decyzje, których się po sobie nie spodziewała, pierwsze sekrety przed przyjaciółką i pierwszy raz, kiedy nie miała ochoty rozmawiać ze swoim kochanym tatą.

Ada chciała ją uratować. Nie miała ochoty wracać do swojego domu. Wolała rozmawiać o tych koncertach, gdzie one będą, poznać wszystkie szczegóły. Była przekonana, że Markus zaprosi je obie, jeśli tylko Lidia go poprosi. Ale ciężki wzrok pana Skalskiego sprawił, że westchnęła i wstała. Mężczyzna się nie ruszał. Stał w progu i czekał. Co było robić? Pożegnała się, po czym wyszła, oglądając się kilkakrotnie za siebie.

Ledwo tylko zbiegła na dół po schodach, w pokoju Lidii pojawili się także mama i dziadek. Cała komisja do spraw etyki oraz moralnego prowadzenia się.

Lidia wsunęła się z powrotem pod kołdrę i przykryła się aż po szyję. Przybrała bojową pozę.

– Kochanie... – Mama od razu to zauważyła. – Wystraszyliśmy się. Po raz pierwszy nie wróciłaś na noc.

– Dałam wam przecież znać, gdzie jestem.

– No tak, ale w hotelu, z tym chłopakiem...

Lidia chciała być miła. Naprawdę. Ale wszystko w niej aż buzowało i nie te słowa, które chciała powiedzieć, wydostawały się na zewnątrz.

– Zawsze marzyliście, żebyśmy kogoś poznała! – zawołała. – I wierciliście mi o to dziurę w brzuchu, to teraz nie narzekajcie!

Dziadek aż sapnął z oburzenia.

– Ale przecież chłopca stąd! – zdenerwował się. – Tak jak mówiłaś! Uwierz mi, taki artysta to bardzo zły materiał na chłopaka. Złamie ci serce raz dwa trzy. Dla niego takie spotkanie nic nie znaczy, dla ciebie zapewne bardzo wiele.

Lidia zamknęła się w sobie jeszcze bardziej, nie dlatego, że nie miał racji, ale właśnie z tego powodu, że dotykał jej największych obaw. Przypomniało jej się, jak Markus mówił, że lubi dziewczyny, nie chce stałych związków, uwielbia kontakty, poznawanie nowych osób. Serce ścisnęło jej się żalem i poczuła ogromny ból, a także wściekłość. Paradoksalnie nie na Markusa, lecz na swoją rodzinę, która zaczęła o tym mówić, sprawiając, że stało się to wszystko bardziej realne.

– Czy możecie mnie zostawić w spokoju? – zapytała. Jak na tajfun szalejący w jej duszy dość grzecznie. Miłości nie da się zabić jednego dnia, a ona bardzo kochała swoich rodziców i dziadka. – Po prostu proszę, żebyście wyszli. Muszę się ubrać i ogarnąć. Nic więcej wam nie powiem. Dla mnie to wszystko też jest zaskoczeniem.

To był naprawdę ukłon w ich stronę, że wyjawiała im tak dużo. Czekali jeszcze chwilę, spodziewając się, że może zmienić zdanie i coś jeszcze wyjaśni, ale tak się nie stało.

Mama wycofała się jako pierwsza. Zgarnęła mężczyzn, w tym dziadka, który wyraźnie próbował jeszcze coś ugrać, a potem zamknęła drzwi. Lidia objęła się znowu za kolana i rozplakała. Po szczęściu, które czuła jeszcze kilka chwil temu, kiedy podnosiła powieki, nie było ani śladu. Miała rodzinę, żyła z nimi w bliskim kontakcie i po raz pierwszy zobaczyła, że ta sytuacja również może mieć minusy. Mianowicie człowiek nigdy nie jest ze swoimi przeżyciami sam, wszystko dzieje się niejako przy widowni i nie zawsze jest to łatwe.

Rozdział 16

Dwa miesiące później rodzina z trudem, ale powoli przyzwyczajała się do tego, że Lidia spotyka się z Markusem. Odkąd wyjechała do Krakowa, nie byli bezpośrednimi świadkami rozwoju sytuacji, ale zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś ważnego.

Wiele się zmieniło. Lidia dzwoniła znacznie rzadziej i nie przyjeżdżała już na każdy weekend.

Miała teraz ciasno w kalendarzu. Jeździła do Markusa na koncerty, a on odwiedzał ją w Krakowie.

Może to się rozpadnie? – Dziadek każdego dnia pielęgnował swoją nadzieję.

To pewnie tylko taka przygoda – próbował się pocieszać ojciec.

Mama się nie odzywała. Znała swoją córkę bardzo dobrze, wiedziała, że jest to dziewczyna o stałych uczuciach i ta sprawa może mieć dla niej poważne konsekwencje. Czekala do świąt, odliczała dni, już nie tylko dlatego, że była to jej ulubiona pora roku, lecz także z tego powodu, żeby wreszcie porozmawiać z Lidią na spokojnie. Mieć dla niej czas.

Zatem ze szczególną starannością przygotowywała się w tym roku do tych wyjątkowych dni.

Lidia i Markus byli szczęśliwi, choć żyli w dużym zawieszeniu i żadne z nich nie odzywało się ani słowem na temat przyszłości. Najbliższy horyzont czasowy to były święta, na które oboje czekali. Przygotowywali się do nich.

Lidia już półtora miesiąca wcześniej zaczęła kompletować prezenty. Brakowało jej tylko tego najważniejszego – dla dziadka z okazji osiemdziesiątych urodzin. To musiało być coś wyjątkowego.

Markus włączył się w tę zabawę. Powodziło mu się teraz trochę lepiej, bo Mister Max dawał radę. Na razie nie zawalił żadnego z kontraktów, choć dwa razy Markus z kolegami wyciągali go nietrzeźwego z pokoju i we dwóch z Thomasem prowadzili na scenę.

To się nie podobało. To już nie były te czasy, kiedy organizatorzy przymykają oko na fakt, że artystyczna dusza potrzebuje jakiegoś wsparcia. Poza tym mieli terminy, kontrakty, a w grę wchodziły duże pieniądze. Publiczność wobec niekompetencji artystów na scenie również wykazywała się zerową tolerancją. Przyszli i chcieli mieć dobrą rozrywkę. Nieważne, czy płacili za bilety, czy to był jakiś organizowany przez władze festyn. Po prostu miało być świetnie. Nawet dobre wykonanie czasem już nie wystarczało, a co dopiero kiedy artysta się zataczał.

Maxa ochroniła tylko jego legenda. Fakt, że mnóstwo osób przyjeżdżało na koncerty z nastawieniem, że zobaczą gwiazdę z czasów swojej młodości, spodziewając się czegoś świetnego. Zupełnie inaczej niż w przypadku nowych osób, które muszą zachwycić. Tutaj Mister Max najpierw musiałby naprawdę mocno sobie zaszkodzić, żeby stracić ten powab legendy i uroku. Ale był blisko.

Lidia sama zaczęła się o niego martwić i nawet kiedy była w Krakowie, to przed zajęciami pisała do Markusa, jak tam się gwiazdor miewa. Czy długo imprezował w nocy i co to oznacza w kontekście kolejnego wyjazdu.

Często u niej teraz nocowała Ada, niestrudzona w towarzystwie chłopaków w drodze. Gdyby nie pieniądze, zostałaaby z nimi na stałe, ale bilety i noclegi kosztują, a ona wciąż nie znalazła kogoś, kto zechciałby się z nią związać na stałe i przygarnąć pod swoje skrzydła. To było zadziwiające zjawisko, że właśnie ta ze wszystkich sił pragnąca związku Ada nie mogła w tłumie mężczyzn odnaleźć ani jednego, który chciałby jej to dać. Nie różniła się niczym od tych, którym się to udało. Była dość ładna, miła i fajna,

chłopcy chętnie się z nią bawili, spędzali wieczory, ale na tym sprawa się kończyła.

Ada i tak przeżywała przygodę swojego życia. Pomieszkiwała u Lidii i pracowała w jednej z krakowskich restauracji, oszczędzała na jedzeniu, ubierała się wyłącznie w ciucholandach, chodziła na piechotę, żeby zachować kilka złotych, które musiałaby wydać na bilet. Nie przymierała głodem wyłącznie dlatego, że właściciel restauracji często karmił ją wieczorami tym, co zostało niesprzedane. Miała tylko jeden cel: oszczędzić na bilet i znowu ruszyć w drogę.

Lidia czasem patrzyła na to z przestraszeniem. Ada tak dobrze pasowała do Markusa, jak dwie części tej samej układanki. Tak dobrze odnalazłaby się w realiach jego życia.

A jednak Markus nigdy nie spoglądał w jej stronę w ten szczególny sposób, jaki robił to wobec Lidii. Nie ciągnęło go do niej.

Pokręcone jest to wszystko – myślała czasem, choć oczywiście cieszyła się, bo jej pierwsze zauroczenie Markusem rozwijało się w niesamowitym tempie i rosło. Byli wobec siebie delikatni i uważni, starali się naprawdę nie namieszać sobie nawzajem w życiu i nie stawać na drodze do realizacji marzeń.

Markus rzadko mówił „Kocham cię”. O wiele częściej: „Nigdy cię nie skrzywdzę, nigdy niczego złego do twojego życia nie przyprowadzę”.

Może właśnie to zaszkodziło? – myślała potem Lidia. – Może nie trzeba było tego tak w kółko mówić, bo los usłyszał i się zdenerwował.

Sama nie wierzyła w te głupoty, ale nie ulegało wątpliwości, że to, co się potem wydarzyło, było nie do przewidzenia.

Rozdział 17

Markus nie przyjeżdżał do niej do domu, zawsze do Krakowa. Nie tylko dlatego, że łatwiej było to zorganizować ze względu na możliwości dojazdowe, lecz głównie z tego powodu, że rodzina Lidii nie dawała mu spokoju. Cały czas by przy nich siedzieli, zadawali kłopotliwe pytania, interesowali się i osaczali ze wszystkich stron.

– Proszę cię, wybacz im – mówiła Lidia. – Troszczą się o mnie. Mnie to też męczy, ale ich rozumiem.

– Nie ma sprawy – odpowiadał Markus. – Daję radę. Poza tym zobaczysz, kiedy przyjedziesz do mnie w sobotę do Monachium. Moja babcia też ci nie da ani chwili spokoju.

Cieszyła się na ten wspólny wyjazd. Markus dostał premię. Szarpnął się więc na trzy bilety, bo Ada nawet nie chciała o tym słyszeć, że mogłaby zostać sama w Krakowie, i zaprosił obie przyjaciółki do siebie.

Lidia szykowała się na poważną przeprawę. Kupiła nowe ubrania specjalnie na tę okazję. Markus starannie ją przygotował. Nie chciał, by się stresowała.

To jedno u niego w domu było takie samo jak u Lidii – babcia też wечно lustrowała każdą koleżankę, wszędzie dopatrywała się romansu. I choć nie zawsze to mówiła, wiedział, że gdzieś tam na końcu łańcucha jej rozważań znajduje się marzenie o ślubie i rodzinie. Kompletnie w jego przypadku nierealne. Nie miałby nawet pojęcia, jak się do czegoś takiego zabrać. Nie zamierzał też nigdy podjąć takiego ryzyka. Miał ważne powody.

Ojciec szybko się związał po rozstaniu, ale mama do tej pory była sama. Przynajmniej on o niczym nie wiedział. Miała wielu przyjaciół, non stop

przebywała poza domem, ale miał świadomość, że złamane serce się w niej nie zagoiło. Nie na dobre.

Po co składać obietnice, skoro ich dotrzymanie nie leży w granicach ludzkich możliwości? Na to pytanie dawno znalazł odpowiedź. Nie warto.

Jednak cieszył się, że będzie mógł przedstawić babci Lidię. Był dumny z tej dziewczyny. Nie myślał, co będzie dalej, nie zastanawiał się, jak ta historia się skończy. Być może po prostu wcale się nie skończy, będą sobie tak żyli, każde swoim życiem, pozostając ze sobą w bliskiej relacji i tyle. Wiedział, że to bardzo ciekawa, niezwykła dziewczyna i chciał koniecznie usłyszeć opinię babci na jej temat.

Gdy więc wylądowali rano na lotnisku, spodziewał się, że po przyjeździe do mieszkania zostanie tam babcię szykującą dla nich wszystkich jakieś śniadanie. Przywitały go jednak cisza i pustka.

To, że mama zniknęła, nie było niczym dziwnym, właściwie nawet nie wysłał jej esemesa, że przyjeżdża. Dawno już tego nie robił, niczego to bowiem w ich wzajemnej relacji nie zmieniało. Była, to była, a jeśli chciała wyjść, to z jego powodu nigdy nie zmieniała planów. Przyzwyczyił się do tego, swoje odcierpiał, kiedy był dzieckiem, i teraz już jej brak nie robił na nim takiego wrażenia.

Ale fakt, że babcia nie dotarła, nieco go zaskoczył. Oznaczało to bowiem nie tylko niemożność uroczystego przywitania się i pokazania jej dziewczyny, z której był tak dumny, lecz także pustą lodówkę i głodny żołądek.

Zaprosił dziewczyny do swojego niewielkiego pokoju, po czym napisał wiadomość do mamy z zapytaniem, czy wraca na noc, bo jeśli miałyby ją spędzić gdzie indziej, to jego goście mogliby skorzystać z sypialni. Szybko przyszła odpowiedź, że nie wraca, więc pomógł im się tam zagospodarować. Potem oboje z Lidią poszli do sklepu kupić coś na śniadanie. Zajęli się przygotowaniem, zaparzyli kawę, było wesoło.

Ada zamierzała pojechać do centrum miasta na Marienplatz, żeby popoglądać, co się da i pospacerować.

– A może kogoś spotkam? – wyjawiała od razu swoje plany.

Lidia tylko się uśmiechnęła.

– Nie wiem, czego ty oczekujesz – powiedziała. – Będiesz szła ulicą i ktoś rzuci się na kolana, oświadczy ci się i zaproponuje przeprowadzkę?

– Bardzo chętnie – odparła Ada poważnym tonem. – Biorę to w ciemno, świetny scenariusz.

Markus również tylko się uśmiechnął. Dobrze znał jej marzenia i kilka razy nawet próbował umówić ją z którymś ze swoich kolegów. Godzili się chętnie, ale nigdy nic z tego nie wynikało, a już na pewno nie propozycje tak ciężkiego kalibru, jakich Ada oczekiwała. Lubił ją, bo choć trzymała się blisko jego dziewczyny, to potrafiła być taktowna. Nawet jeśli jechali gdzieś wspólnie, radziła sobie sama. Miała własne plany, ogarniała się i nie oczekiwała, że będą się nią cały czas opiekować.

Teraz też zjadła, pocałowała Lidię w czoło, życząc jej miłego dnia. Pomachała Markusowi i pobiegła.

Zostali w kuchni sami. Posprzątali, pocałowali się mnóstwo razy, starając się jednak, by akcja nie wymknęła się spod kontroli, bo w każdej chwili mogła tutaj wpaść babcia. A tego nawet nowoczesny Markus się obawiał.

Minęła jednak godzina i nikt nie zapukał do drzwi ani nie przekręcił klucza w zamku. W końcu chłopak wziął telefon i zadzwonił.

– Cześć, babciu – powiedział roześmiany i szczęśliwy. – Gdzie jesteś? Czekaamy na ciebie.

– Och! – usłyszał westchnienie po drugiej stronie. – Wybacz, słonko moje drogie, dzisiaj chyba nie dam rady.

– Coś się stało? – zaniepokoił się. – Źle się czujesz? – Zupełnie nie tego się spodziewał. – Przywiozłem Lidię – przypomniał.

Zaczął się zastanawiać, czy babcia zrozumiała, co do niej napisał w wiadomości. A może jest poważnie chora. To by wiele wyjaśniało.

– Tak, tak. Wiem, pamiętam – powiedziała. – Uściskaj ją ode mnie. Wpadnę do was innym razem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Może do ciebie przyjechać?

– Nie trzeba, wszystko w porządku – odpowiedziała tak stanowczo, że musiał uwierzyć. Nie chciała żadnych odwiedzin. Czuł to całym sobą.

– Jutro będziesz? – upewnił się.

– Nie wiem, nie mogę obiecać, dam znać – powiedziała, po czym się rozłączyła. Pierwsza, a nigdy dotąd nie miała dość rozmawiania z nim.

Co to wszystko znaczy?

Markus usiadł na krześle. Nagle poczuł się ogromnie samotny. Cisza w mieszkaniu dźwięczała teraz szczególnie mocno. Nigdy nie miał obok siebie zbyt wielu osób, jego rodzina nie przypominała klasycznego układu, ale dziś wyjątkowo do niego dotarło, jak bardzo jest opuszczony przez wszystkich. Nie miał na świecie nikogo, komu mógłby przedstawić swoją dziewczynę. Powiedzieć, że spotkało go coś nietypowego, innego niż zwykle, poradzić się może albo tylko zwyczajnie opowiedzieć, co się w jego życiu dzieje. Żeby ktoś wysłuchał, przejął się, zrozumiał lub ucieszył.

– Nie pojmuję tego, co się tutaj dzieje. – Spojrzał na Lidię. – Babcia zwykle wtrąca się do wszystkiego, przejmuje się, czy mam czyste skarpetki i zagląda mi do szafy. Kiedy byłem młodszy, bez przerwy gmerała mi w telefonie, czy przypadkiem nie oglądam głupich filmów. Non stop tutaj wpada, kontroluje mnie. I co się teraz nagle wydarzyło?

Lidia podeszła do niego, stanęła za nim i mocno go objęła, przytulając jego plecy do swojego brzucha, potem oparła głowę.

– Nie martw się – powiedziała ciepło. – Ja też nie zawsze rozumiem moją rodzinę, choć wydawało mi się, że tak dobrze ich znam. Coś takiego jest w naszym związku, że on wszystko zmienia. Może babcia się wystraszyła?

Usiadła mu na kolanach i teraz to on ją objął.

– Jak to dobrze, że mam ciebie – powiedział. – Jak to dobrze – powtórzył. – Ludzie się nawzajem krzywdzą, łamią dane sobie słowo, ranią się. My tego nie zrobimy. Pamiętaj, że ja nigdy nie wprowadzę do twojego życia niczego złego.

Znów padła ta obietnica. Naprawdę oboje szczerze tego chcieli. Nie wszystko jednak zależało od nich.

Rozdział 18

Na początku grudnia Markus z zaskoczeniem usłyszał, że babcia chciałaby pojechać z nim do Polski na święta.

– No wiesz co? – obraził się. – A pamiętasz, jak przywiozłem Lidie, a ty do nas nie przyszłaś?

– Tak, oczywiście – odparła babcia. – Regularnie mi o tym przypominasz. Przepraszam, nie byłam w stanie. Pewnego dnia opowiem ci dlaczego, ale bardzo byłabym ci wdzięczna, gdybyś mnie zabrał. To moje okoliczności. Pokażę ci dom, w którym się urodziłam, i może wreszcie wszystko ci opowiem. Powinieneś wiedzieć, jak to było.

Markus wcale już tego nie chciał. Kiedyś się nad tym zastanawiał, ale teraz żył już zupełnie czymś innym. Własną opowieścią. Ale choć miał żal do babci, nie chciał jej ranić. Miłość nie kończy się z dnia na dzień, a ona wciąż była mu bliska.

W sumie – pomyślał – to może być nawet ciekawe. Czy to gdzieś niedaleko? Jeśli byli z dziadkiem Lidii sąsiadami, na pewno ją pamiętał. W takich małych wioskach, zwłaszcza wiele lat temu, wszyscy się znali. Może nawet chodzili razem do szkoły. Wiele pytań pojawiło mu się w głowie, ale wiedział, że babcia na żadne z nich nie odpowie. Sporo razy już próbował, a ona ciągle udzielała wymijających odpowiedzi. „Nie teraz” – mawiała. – „Później, we właściwym czasie”.

No to przynajmniej tyle się zmieniło, że obiecała to zrobić.

– Zapytam Lidie. Oczywiście jej rodzina musi się na to zgodzić – powiedział dla formalności, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że w szaleństwie tegorocznych świąt w rodzinie Skalskich jedna dodatkowa osoba nie zrobi już żadnej różnicy. A Sonia i Adam są tak otwarci na gości, że powinno się

na temat tego zjawiska nakręcić jakiś film dokumentalny, bo było doprawdy fascynujące.

Przynajmniej dla niego.

Wreszcie babcia pozna Lidię – pomyślał – a także jej rodzinę. Spędzi świetne polskie święta. Zawsze to lubiła.

Tak dawno nie była w kraju. Domyślał się, że kryła się za tym jakaś niełatwa historia. Ale minęło wiele lat, na pewno zapomniała. Teraz będzie miała przyjemność, żeby wrócić do krainy swojego dzieciństwa. Boże Narodzenie idealnie się do tego nadawało, zwłaszcza takie spędzone w górach, w rodzinie, która celebrowała wszystkie tradycje co do jednej i tak pięknie potrafiła się cieszyć każdym posiłkiem, każdą kromką chleba w swoim domu i z bliskimi osobami.

Lidia też się ucieszy. Wiedział, że dla niej wszystko ma inne znaczenie. Chciała poznać jego rodzinę, a on po raz pierwszy nie miał nic przeciwko temu, mimo że generowało to pozory, że połączy ich coś więcej.

Wiedział jednak, że Lidia jest rozsądna, dobrze zna jego poglądy i one nie przeszkadzają im być razem bardzo szczęśliwymi. Nie chciał jej zabierać tego azylu, jakim wciąż był jej dom, ani niszczyć planów.

Początkowo dobrze się czuła w Krakowie. Mogli się dzięki temu łatwiej spotykać. Ale po dwóch miesiącach zaczęła tęsknić. Nawet miłość tego nie zmieniła. Tamta górską miejscowość była częścią jej serca. Z niecierpliwością wyczekiwała sesji egzaminacyjnej, żeby na drugie półrocze wrócić do domu i stamtąd pisać pracę magisterską. Miała już w ostatnim semestrze niewiele zajęć.

Przyjął to z pewnym zaskoczeniem. Dojazdy do Słominek mogły się okazać trudniejsze. Nie wspominając już o dziadku Lidii, który zapewne znacznie bruździć w ich relacji. Markus zachował jednak spokój. Oboje przecież wiedzieli, że nie będzie łatwo. Musieli się zorganizować tak, żeby wszystko pogodzić. A przyszłość niech sama się o siebie martwi – z tym postanowieniem czekał na święta.

Odwołał nawet koncert w Budapeszcie, narażając się na niechęć kolegów. Chciał w te dni tylko być z Lidią.

Rozdział 19

Zaczęło się od tego, że nie spadł śnieg. Ani jeden płatek.

Ignacy obudził się rano w dzień Wigilii, po czym wyrzął przez okno przepelniony pretensją. Najpierw poczuł złość. Dwa tygodnie temu wszędzie było białe. W tej scenerii góry prezentują się wyjątkowo i z tym też zasadniczo kojarzą się człowiekowi święta. A te w tym roku, jak słyszał od wielu miesięcy, miały być przecież dla rodziny wyjątkowe i wszystko wskazywało na to, że będą. Ale, kurczę, przecież nie w tym sensie!

Po pierwsze Lidia wciąż spotykała się z Markusem. Ponoć czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nie opowiadała o tym w domu, a oni nie mieli świadomości, jak bardzo przez te miesiące związek rozkwitł. Młodzi ciągle są w kontakcie, jego ukochana wnuczka była tam w Monachium, żeby poznać jego rodzinę. Nie bardzo nawet mógł wyrazić swoje oburzenie, bo brakowało ku temu okazji.

Wnuczka o wiele rzadziej przyjeżdżała do domu. Ta zmiana dotknęła wszystkich. Lidia nie tylko była częścią rodziny. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że powoli stawała się jej filarem, jak mama. Bracia do niej biegali z każdą sprawą, pochwalić się albo zwierzyć. Przejmowała mnóstwo obowiązków, ale przede wszystkim była kimś, czyja obecność zdecydowanie robi różnicę. Są takie osoby, które – jeśli wejdą do domu lub wyjdą – nikt tego nie zauważa, zasadniczo niewiele się zmienia. Są też takie, których wejście do domu sprawia, że atmosfera staje się gorsza, ale są ludzie, którzy powodują, że wszystko jest fajniejsze. Samą obecnością robią różnicę.

Lidia taka właśnie była. Ignacy lubił z nią rozmawiać, pić herbatę, patrzeć na góry, chodzić do zwierząt, do sadu. Planować prace na przyszły rok, wszystko oglądać, sprawdzać, co urosło, zakwitło, co trzeba podciąć,

podwiązać. Rozmawiać o tym, co ona przeczytała w internecie, a on w książkach, po prostu spędzać czas. Tak ją wypędzali do tego Krakowa, żeby zobaczyła inne życie i w ostatnim momencie, tuż przed finałem, ich marzenie niestety się spełniło.

Lidia, która dotąd potrafiła przyjechać w czwartek po południu, żeby w piątek bladym świtem zrywać się i wracać, byle tylko spędzić kilka godzin tutaj, teraz nie odwiedziła ich nawet w długie weekendy. Nie było jej choćby 1 listopada, bo Markus miał jakiś koncert i zabrał ją ze sobą.

Owszem, nie miała takiego obowiązku, była dorosła. Ciągłe jej tłumaczyli, że ten mały skrawek świata to przecież nie wszystko, ale jak to teraz zabolalo, kiedy stało się faktem.

Dziadek ubierał się powoli. Miał wrażenie, że każdego dnia wstaje z coraz większym trudem. Dochodził do wniosku, że właściwie dawno już nie powinno go tu być. Cała ta siła przetrwania, jaką miał, płynie z jakiegoś alternatywnego źródła. Jakby coś nie pozwalało mu odejść. Może to są właśnie te osiemdziesiąte urodziny?

Wszyscy tak na nie się przygotowywali, włożyli tyle trudu, cieszyła się cała okolica. Może to nie setka i bywali lepsi od niego, ale wiele osób chciało mu pogratulować.

Dziś miało się zacząć. Na Wigilię zjechała już rodzina Soni. Na co dzień nie utrzymywali bliskich kontaktów, bo jej mama, tata i brat mieszkali w Gdańsku, ale widywali się regularnie w wakacje i święta. Lubili ten kontakt. Brat Soni też miał troje dzieci, ale już o wiele starszych. Przyjechali więc z żonami, mężami i własnymi dziećmi. Zjawiły się także dwie ciocie i jeden wujek Soni, a także ich dorosłe dzieci, jakby to było jakieś wesele. Rozłokowano ich po wszystkich pokojach, kładąc materace na podłodze, tak żeby zmieściło się wszędzie jak najwięcej osób. Spodziewano się kolejnych gości. W domu już panował spory gwar i zamęt.

Tylko tu, w pokoju dziadka było w miarę cicho. Jeszcze mu nikogo nie dokwaterowali, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. Sonia dbała o niego, by miał spokój i warunki do odpoczynku, żeby to święto kojarzyło mu się dobrze. Doceniał wszystko, co dla niego robiła. Zazdrościł jej rodzinie, że

jest ich tak dużo. On, owszem, miał wokół siebie mnóstwo ludzi, ale nie bliskich krewnych. Długo był jedynakiem, miał jednego syna. Dopiero małżeństwo Adama z Sonią sprawiło, że w domu pojawiła się większa liczba dzieci.

Drgnął. Przyszło wspomnienie płaczącej mamy. Całymi latami starającej się o kolejne dziecko. Dziś już rozumiał, że ich marzenia o rodzeństwie nie były skierowane przeciwko niemu. To naturalne pragnienie ludzi, którzy chcą większej rodziny. Ale wtedy cierpiał. Sądził, że im nie wystarcza.

Miał żal za decyzje, które podjęli, żeby spełnić swoje marzenie, i cierpienie, jakie to przyniosło. Otrząsnął się.

– To stare dzieje, nikt już tego nie pamięta, dla nikogo nie ma to znaczenia – wyszeptał.

Wydawało mu się, że się cały czas ubiera, ale teraz zorientował się, że usiadł na krześle, trzyma w rękach górę od pizamy i mnąc ją mocno, wpatruje się w jeden punkt. Jak długo to trwało? Nie wiedział. Coraz częściej mu się to zdarzało. Takie gubienie się w pętli czasu. Chodził po ścieżkach wspomnień, szukał dawnych dni i z coraz większym trudem wracał. Właściwie robił to tylko dla rodziny.

Miał takie silne postanowienie, że te święta będą wyjątkowe. Da im radość, której oczekują. Będzie takim seniorem rodu, jakiego im trzeba. Nikogo nie zawiedzie. Zadba, by było wesoło, radośnie i wspaniale.

Słyszał od rana tę krzątanicę. Dużo gości oznaczało nie tylko harmider i ruch, lecz także sporo pomocy. Kobiety śmiały się w kuchni i stukwały garnkami, dzieciaki biegały po całym domu, robiąc nieprawdopodobny rejwach.

Ignacy z trudem wstał, a potem podszedł do szafy. Zaczął się bać, czy ma przygotowane prezenty, czy tylko sobie to wyobraził. Ale nie, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Syn pomógł mu je zapakować. Ignacy był z siebie bardzo dumny, bo zamówił sobie wszystko przez internet. Nie-samowita to była wygoda. Nie musiał nikogo prosić o pomoc, nikt mu przy wyborze nie patrzył na ręce i teraz cieszył się, że każdy członek rodziny będzie miał niespodziankę. Bez wyjątków. Oszczędzono mu też chodzenia po

sklepach w gorączkowym przedświątecznym czasie, w huku, gwarze i zaduchu.

Było dobrze, zapowiadał się piękny wieczór. Miał nawet w planach pójść z rodziną na pasterkę, zmobilizować siły, dać radę. Uwielbiał kolędy, te głośne śpiewy, muzykę organów i całą atmosferę, która towarzyszy temu świętu. A jednak czuł niepokój.

Minęło sporo czasu, zanim zorientował się, że wciąż stoi przy szafie, patrzy na te same pakunki i nadal mnie w rękach piżamę. Zmarzł i nawet tego nie zauważył. Podszedł do kaloryferów. Grzały jak zawsze, ale paradowanie pół nago pod koniec grudnia to nigdy nie jest dobry pomysł, nawet dla młodych i zdrowych. Z wielkim trudem, jakby to był niewiarygodny wysiłek, schylił się, podniósł podkoszulek, potem włożył koszulę, zapiął spodnie, wciągnął do nich pasek, po czym przez długie minuty mozolił się z jego zapięciem.

Na szczęście był już ogolony. Ostatnio nie cierpiał tego zajęcia. Bez końca musiał poprawiać i ciągle wszystko wyglądało nie tak. Ale choćby nie wiem ile czasu spędził w łazience, czesał się, perfumował i kremował, i tak efekt był słaby. Stary, siwy człowiek z twarzą poraną bruzdami czasu, wyblakłymi oczami. Ratowało go tylko to, że zawsze był wysoki i postawny.

– Nie popadaj w melancholię akurat dzisiaj – pouczył się. – Będziesz się biczował po świętach.

Uśmiechnął się na próbę i od razu było lepiej.

Skąd ten dziwny niepokój? – zastanawiał się. – Przecież nie stresuję się imprezą.

Zawsze lubił takie wydarzenia.

Ciągle spoglądał to na okno, to na drzwi, jakby się czegoś spodziewał.

To wszystko przez tego Markusa – doszedł wreszcie do właściwego wniosku. – Jak Lidia mogła go zaprosić na wigilię? To uroczystość tylko dla rodziny. Mógł przyjechać drugi dzień świąt albo nawet później.

Ignacy doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatni gość wyjedzie z tego domu dopiero po święcie Trzech Króli. Będą tu biwakować cały czas, zmieniać się, przyjeżdżać, odjeżdżać. Niektórzy na sylwestra, inni w przerwie świątecznej, inni znów pomiędzy Nowym Rokiem a kolejnym świętem, w różne weekendy, wolne dni. Każdemu pasowało inaczej, a wielu chciało złożyć życzenia seniorowi osobiście. Był psychicznie przygotowany na taki długi dystans.

Markus miał mnóstwo terminów do wyboru. Nie musiał się pakować akurat w ten najbardziej osobisty wieczór i to jeszcze z własną babcią. Sam jeden był dostatecznie trudny do wytrzymania i sporo namieszał w ich rodzinie. Ostatnie, czego potrzebowali, to dodatkowego wsparcia w postaci jakiejś starej kobiety. Podobno mówiła po polsku, jednak Ignacy był pewien, że ciężko się z nią będzie rozmawiało.

Tak jak zawsze w sytuacji, kiedy nie można komuś powiedzieć, co się naprawdę myśli. Przecież nie rzuci tej nieznannej babci w twarz, żeby zabrała swojego wnuka jak najdalej i natychmiast wyjechała. Lidia by mu nie wybaczyła.

Wierzył, że ten związek nie ma przyszłości, że prędzej czy później się skończy i wszyscy odetchną z ulgą, ale nie mógł niestety tego przyspieszyć. Musiał cierpliwie czekać. Za nic bowiem nie chciał zapisać się w pamięci wnuczki jako ten, który zniszczył jej pierwszą miłość. Takich rzeczy się nie zapomina. Już raz to przeżył, wiedział, co to znaczy.

Ignacy usłyszał pukanie, potem drzwi się uchyliły i zobaczył w nich Lidię. Całe zmęczenie minęło jak ręką odjął. A wraz z nim wszelkie myśli o starości. Radość poczuł każdą komórką.

– Słonko moje! – zawołał. – Przyjechałaś.

Teraz dopiero poczuł, jak bardzo jej brakowało w tych wszystkich przygotowaniach. Gdyby nie ten... – długo szukał odpowiedniego słowa, ale nie znalazł. Żadne nie było dostatecznie mięsiste – ...to Lidia przyjechałaby do domu na pewno już kilka dni wcześniej.

Ale teraz nie był w stanie o tym myśleć. Od razu odmłodził, wyprostował się. W kilka sekund włożył sweter, a potem podszedł do niej i złapał mocno w objęcia.

– Moja kochana! – zawołał. – Jak dobrze, że jesteś.

– Też się cieszę – powiedziała wnuczka z ciepłem w głosie. Jak dawniej. – Wszyscy na ciebie czekają – dodała. – Dawno już po śniadaniu. Słyszałam, że nie nałupałeś w tym roku żadnych orzechów. Co się z tobą dzieje? – zapytała żartobliwie, ale czuł, że niepokoi się o niego. – Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, w porządku. Za dużo było chętnych do tej roboty – wykręcił się. – I dzisiaj też pewnie wiele zajęcia się dla mnie nie znajdzie, bo od rana słyszę, jak goście tłuką się po domu. Taka armia poradzi sobie z przygotowaniem wieczerzy w mig.

– No co ty? – Lidia się uśmiechnęła i puściła do niego oko. – Nic tam nie idzie, jak należy, bo nie ma szefa. Chodź, sam zobaczysz. Makowce jeszcze nieupieczone, pierogi z suszonymi śliwkami dopiero lepia, a kompot z suszu to nawet nie wiem, czy zdąży się ugotować, a co dopiero odstać swoje, żeby dobrze nasiąknął.

– Nie daj Boże! – zaniepokoił się dziadek. – Chodź, kochana. Masz rację. Musimy jak zawsze wziąć sprawy w swoje ręce.

Lidia odetchnęła z ulgą. Dziadek znów był sobą. Tym energicznym człowiekiem, którego tak bardzo kochała. Poszli razem do kuchni.

– No nareszcie – usłyszał, kiedy przekroczył próg swojego ulubionego pomieszczenia w domu. – Siadaj, tato. – Sonia podeszła do niego. – Zaraz ci zrobię herbatę i dam coś do jedzenia. Wybór jest ogromny.

– Ależ co wy mówicie? – oburzył się. – W Wigilię trzeba pościć. Można tylko wdychać zapachy, oglądać i czuć ten skręcający się z głodu żołądek. To też część tradycji.

Dzieci cichaczem podjadające bułeczki, skubiące ciastka i serniki szybko się zwinęły z kuchni, żeby senior rodu przypadkiem nie wprowadził swoich

surowych zasad w życie. Woląły zdecydowanie inne tradycje. Takie jak prezenty, ogólną radość i obfitość przysmaków.

Ignacy też zresztą złamał się i zjadł świeżą bułkę z masłem. To niezdrowe, ale po prostu uwielbiał pieczywo dopiero co wyciągane z pieca, zwłaszcza to, które przygotowywała jego synowa.

– Jak się czuje nasz stateczny jubilat? – Bratowa Soni przesunęła się do niego bliżej. – To musi być niesamowite uczucie skończyć osiemdziesiąt lat. Nie każdemu jest dane.

– A i owszem. – Pokiwał głową i w tym momencie poczuł się naprawdę szczęśliwy. Miał dobre życie i poza jednym, jedynym momentem, którego bardzo żałował, zawsze postępował godnie i uczciwie.

Gdyby jeszcze Lidia schowała swój telefon, to już by było wszystko świetnie. Pisała pewnie do Markusa. Podobno już jechał. Miał przybyć ze swoją babcią tuż przed kolacją.

I po co? – pytał sam siebie. – Czy czegoś w tym domu brakuje? Jest doskonale.

Ale rodzina była chyba innego zdania. Adam z Sonią opowiadali właśnie o chłopaku Lidii, jakby się cieszyli z tej relacji.

– Ja naprawdę nie wiem, gdzie my ich położymy. – Ignacy rozejrzał się wokół.

Rzeczywiście w domu było już trochę ciasno.

– Bliską rodzinę można położyć na materacu, ale takich zagranicznych gości... – zawiesił głos, licząc na to, że może ktoś zaproponuje, by ich umieścić w hotelu. Filip wspominał, że mają jeszcze wolne miejsca.

– Oddamy im pokój Lidii. Ona przeniesie się do ciebie – powiedziała Sonia. Miała to już widać przemyślane.

Dziewczyna tylko się uśmiechnęła.

– Nie ma sprawy, lubię spać z dziadkiem – powiedziała. – Będzie jak za dawnych czasów.

Rzeczywiście, kiedy była jeszcze dziewczynką, bardzo wcześnie się budziła i rodzice chętnie przymykali oko na fakt, że bosymi stópkami biegnie

prosto do sypialni dziadka i to jego budzi. Tam rozlega się wesoły szczebiot, tam grzeje stopy pod jego ciepłą kołdrą, a potem razem zasypiają albo idą wspólnie na niebywale wczesne śniadanie.

Lidia zresztą była gotowa na wiele ustępstw, byle tylko wszystko przebiegło spokojnie. Pragnęła takich prawdziwych, rodzinnych świąt. Dla Markusa, żeby mógł się nacieszyć atmosferą, zobaczyć, jak to jest. Zrozumieć, dlaczego ona tak kocha ten dom.

Poznała go już o wiele lepiej i zdawała sobie sprawę, że chociaż prowadził ciekawe życie, jakiego wiele osób mu zazdrościło, to jednak nigdy nie miał prawdziwej rodziny. I dokładnie tak samo, jak ona na ostatnim koncercie we Francji chłonęła całą sobą każdy szczegół tego innego kraju, jego piękna, odmienności, tak on czuł się tutaj. Wśród wielu ludzi, w tych dawnych tradycjach, ciepłe i wzajemnej życzliwości. Chciała, by to przeżycie było dla niego tak piękne, jak ta ostatnia wyprawa, którą on dla niej zorganizował.

Oboje z babcią znajdowali się już niedaleko. Markus wynajął samochód na lotnisku w Krakowie i zostały im jeszcze jakieś dwie godziny drogi.

– Kiedy będą? – zapytała mama.

Choć miała tylu gości, to jednak najbardziej stresowała się z powodu wizyty tej babci. Wbiła sobie do głowy, że wszystko musi być już gotowe i posprzątane, zanim oni tu dotrą. Biegała więc od świtu i wszystkich zapędzała do pracy. Teraz właśnie wyciągnęła z pieca przepiękny piernik z bakaliami. Polewa czekoladowa już czekała, aż on się nieco przestudzi. Lidia go uwielbiała. Miała wrażenie, że w kuchni nie zmieści się już żaden więcej aromat. Gotowała się kapusta, mielono mak, suszone śliwki leżały na stoliczku przygotowane do tego, żeby skończyć lepienie pierogów. Stały też pod oknem w misie polukrowane pierniczki, a jednak aromat nowego ciasta dołączył, wypełniając pomieszczenie kolejną nutą. Ależ tu pachniało!

– Trzeba sprawdzić, czy łazienki są czyste. – Mama sprowadziła ją na ziemię. – Tyle osób, że choćby się trzy razy dziennie sprzątało, to zawsze coś się gdzieś chlapanie. A ta kobieta mieszka w Niemczech, oni słyną z pedanterii. Myślę, że dom mamy też za mało udekorowany. Dopiero wczoraj

wieczór przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić w Google, jak oni to robią. Nie wyobrażasz sobie, ile ozdób potrafią napakować w jednym pokoju...

– Mamo. – Lidia położyła jej rękę na ramieniu. – Oni chcą zobaczyć, jak to jest u nas. Przeżyć polskie święta, nie takie jak w Monachium. Tamte przecież mieli co roku. Daj spokój, jest wszystko dobrze, tak jak jest. Naprawdę wspaniale.

Sonia odetchnęła z ulgą. Bardzo chciała, by córka była zadowolona. Nie wybrali dla niej tego chłopaka, ale chcieli, by poczuła wsparcie. To miały być najpiękniejsze święta w tym domu. Takie, które na długo pozostaną we wspomnieniach. Było dużo ważnych elementów. Dziadek, jego urodziny, fakt, że wszyscy byli ze sobą tak blisko, dom, który kochali i nawet ten nowy chłopak. Dawał Lidii szczęście, to było widać. Czekwała na niego z niecierpliwością.

Córka odłożyła wreszcie telefon i jednak pobiegła, aby sprzątać łazienki.

Godzinę później uporządkowano nawet kuchnię, na tyle, ile to możliwe przy takiej liczbie osób ciągle robiących sobie herbatę oraz takiej ilości przygotowanego na wieczór jedzenia. Makowce znalazły się już w piekarniku. Adam rozłożył wielki stół w salonie. Pomieszczenie miało kształt litery L i w większe uroczystości rodzinne dłuższy bok służył do tego, by dokładać kolejne i kolejne krzesła, robiąc miejsce dla każdego. Najpierw rozkładano trzymetrowy rodzinny stół, a potem przynoszono dodatkowe z innych pomieszczeń, nakrywano białymi obrusami.

Sonia zrobiła stroiki z jedliny i następny przepiękny zapach dołączył do tych, które już przenikały dom. Świąteczka na choince zapalano dopiero wieczorem. Taka była tradycja. Wtedy też po raz pierwszy w tym domu rozbrzmiewały kolędy.

Dorośli zaczęli się powoli przebierać, chociaż było dość wcześnie, jakby wyczuwali intencje gospodarzy, że ten moment, gdy babcia Markusa wejdzie do domu, jest dla nich ważny.

– Że też nie ma ani grama śniegu – narzekała Sonia, patrząc z pretensją w niebo, bo doprawdy mogłoby nieco dopomóc. Podwórko wyglądałoby

wtedy zupełnie inaczej i góry też prezentowałyby się lepiej. – Zielona Gwiazdka to nie to samo.

Czuła kompleksy, bo wczoraj pooglądała sobie zdjęcia Alp i doszła do wniosku, że nie bardzo mają się tutaj czym pochwalić. Wbrew temu, co opowiada Lidia, że Słominki to miejsce wyjątkowe. Sonia też miała sporo szczerzego zachwyty wobec rodzinnych stron, ale nie była w stanie sprawić, by góry poczuły chociaż trochę solidarności i w ciągu nocy urosły choćby o kilkadziesiąt metrów. Westchnęła wreszcie, poszła do łazienki, wzięła prysznic i ułożyła sobie włosy. Chciała dobrze wyglądać.

Czemu ja się tak stresuję? Może udziela mi się niepokój teścia?

Rzeczywiście dziadek z każdą minutą chodził coraz bardziej podenerwowany. Czekał z wyraźną niecierpliwością.

– Lidio, kochanie. – Adam podszedł do córki. – Kiedy ten twój Markus wreszcie przyjedzie, niech się przywita, usiądzie, nakarmimy go i może nastanie jakiś spokój. Chciałbym, żeby wszystko wróciło do normy, bo nie rozpoznaję ani mojej żony, ani ojca. Ty też zresztą biegasz od okna do okna.

– Nieprawda! – zawołała Lidia, po czym kompletnie zaprzeczając swoim słowom, podbiegła do okna. Usłyszała szczekanie psów.

Adam tylko westchnął.

– Już są! – krzyknęła.

I wtedy jakby czas się zatrzymał. Wszyscy zamarli. Gdzie kto stał, tam przerwał każdą wykonywaną czynność. Wpatrywano się w drzwi. Nawet dzieci bawiące się na górze podeszły do balustrady i zerkały z ciekawością.

Goście wysiedli z samochodu, przeszli przez podwórko, zapukali. Adam wyszedł do nich, przedstawił się, zaprosił serdecznie do środka. Zrobili na nim dobre wrażenie, podobnie ucieszyła się Sonia. Miła starsza pani, którą przyprowadził Markus, wyglądała jak jej własna ciocia. Zupełnie zwyczajnie. Zadbana, ale bez wystawnej elegancji, bezpośrednia, bardzo uprzejma. Uściskała Sonię serdecznie, potem zaczęła się witać ze wszystkimi członkami rodziny. Z jakiegoś powodu dziadka zostawiła sobie na koniec.

Wreszcie do niego podeszła. On wpatrywał się w nią, mrugał powiekami, jakby coś próbował sobie przypomnieć. Po chwili jednak uznał, że nic nie przychodzi mu do głowy, więc zwyczajnie się przywitał, powiedział nawet, że cieszy się z jej wizyty, jakby mu gwałtownie ulżyło.

Sam się teraz dziwił, że tak się bał. Nie było czego.

Dwie godziny później siedli do stołu. Atmosfera zrobiła się radosna. Jeżeli ktoś się obawiał, że goście z daleka będą problematyczni i trzeba się będzie nimi przejmować, to szybko okazało się, że babcia Markusa wtopiła się w rodzinę, jakby od zawsze do niej należała.

Zapadł już zmrok, za oknami było zupełnie ciemno. Najmłodszy z synów Soni i Adama, Bartek wypatrywał na niebie nie tylko pierwszej gwiazdki, lecz także śniegu. W końcu jednak się poddał. Ani jednego, ani drugiego się nie doczekał. Wrócił do domu.

– Przykro mi, dziadku – powiedział. – Będziesz miał na swoje urodziny zieloną Gwiazdkę.

– Tak miało być – odparł dziadek. – Widzisz, ponoć kiedy się urodziłem, też nie spadł ani jeden płatek, chociaż wówczas było to o wiele większym ewenementem niż dzisiaj. Rodzice mówili, że jestem dla nich najpiękniejszym prezentem... – zaczął opowiadać, choć oni dobrze znali tę historię.

Lidia wyczuła, że babcia Markusa trochę się w tym momencie spięła. Jakby coś ją zestresowało. Siedziała obok niej, starała się nawiązać jakiś kontakt, ale starsza pani zdawkowo odpowiadała na jej pytania i nie pociągnęła żadnej rozmowy. Lidia to uszanowała, nie narzucała się. Niektórzy potrzebują więcej czasu, by się otworzyć.

– Siadamy – zarządziła Sonia i wszyscy zaczęli się krzątać.

W międzyczasie dyskretnie podłożono prezenty pod choinkę, a ponieważ gości było wielu, obfitość pudełek, kartoników i kopert okazała się naprawdę imponująca. Wszyscy się cieszyli także i na te niespodzianki, ale

zaczęto tradycyjnie od modlitwy, a potem łamania się opłatkiem. Trwało to niezwykle długo, bo każdy chciał każdemu złożyć życzenia.

Lidia w pierwszej kolejności odwróciła się do Markusa. Mignęła jej wprawdzie przez myśl błyskawiczna refleksja, czy nie powinna ustąpić babci, ale szybko o tym zapomniała. Podobnie jak o wszystkich innych zgromadzonych w pomieszczeniu osobach. Spojrzała mu w oczy.

– Zaczarowałeś mnie – powiedziała szczerze. – Już sobie nie wyobrażam bez ciebie życia. Tak bardzo tu pasujesz, że wbrew temu, co zawsze ci obiecywałam, chciałabym, żebyś ze mną został. Mam pokusę, by już nigdy nie wypuścić cię na żaden koncert, zamknąć. Mieć tylko dla siebie!

– Najlepiej w chlewiku – zaproponował Markus, dumny, że poznał nowe polskie słowo.

– Może nie – roześmiała się. – Za dobre sprawowanie mogę ci nawet oddać mój pokój. Albo dziadka.

– Brr – wzdrygnął się żartobliwie Markus. – Ty też mnie zaczarowałaś – powiedział po chwili cichym głosem. – Mam ochotę zabrać cię stąd na zawsze i nigdy nie pozwolić ci wrócić. Zamknąć cię w skrzyni na instrumenty i wozić ze sobą wszędzie tam, dokąd pojedę. – Przytulili się do siebie. – Kocham cię – dodał Markus. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że doświadczam tego uczucia po raz pierwszy i zrobię dla ciebie wszystko. Mogę nawet mieszkać w chlewiku, mogę nawet przestać grać, rzucić to wszystko. Nauczę się hodować owce i uprawiać ziemię. Zostanę tu z tobą.

To było szalone, co mówił, ale brzmiała w jego głosie szczerłość i pewność.

– Chyba nie będzie takiej potrzeby – powiedziała Lidia. – Ja też cię kocham i jestem gotowa zostawić to wszystko, aż nam się sprawy rozwiążą. Wyjechać z tobą. Rodzice są jeszcze w dobrej formie. Nie muszę obejmować gospodarstwa już teraz. Mamy czas.

– Będziesz tęsknić – powiedział.

– Tego już nie uniknę – odparła. – Albo za tobą, albo za domem. Od tego uczucia już się nie uwolnię.

Przytulił ją mocno. Tak bardzo chciał wymyślić jakieś idealne rozwiązanie, które mogłoby połączyć ich światy bez potrzeby rezygnowania przez którekolwiek z nich z tego, co najważniejsze. Zupełnie jednak nie miał pomysłu, jak można byłoby to zrobić.

Rozdział 20

Do Ignacego była, rzecz jasna, najdłuższa kolejka.

Marta stała z boku. Przyjechała tutaj z konkretnym planem, ale teraz czuła wewnętrzne rozdarcie. Zwłaszcza w tym szczególnym momencie, kiedy patrzyła, jak Markus składa życzenia Lidii. Umiała rozpoznać prawdziwą miłość, wiedziała, co to jest. Wprawdzie we własnym życiu cieszyła się tym uczuciem niezwykle krótko, ale tego się nie zapomina. Nieważne, jak wiele upłynęło czasu, nigdy człowiek nie przestaje myśleć, co by było gdyby...

Stare dzieje.

Wcisnęła się jeszcze głębiej w kątek pokoju. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

To był bardzo uroczysty moment i wszystko przebiegało doskonale. Markus chciał jej pokazać prawdziwe polskie święta. Nie ulegało wątpliwości, że przywiózł ją w prawidłowe miejsce. Niczego tu nie brakowało. Były góry, które otulały to miejsce swoimi ramionami, tak że wiatr nowych czasów docierał z pewnym opóźnieniem.

Pielęgnowano tutaj tradycje i wiele aspektów życia zachowało się w niezmienionej formie. Tych zewnętrznych i wewnętrznych. Widać było, że dla tej rodziny święta to nie tylko okazja do spożywania smacznych posiłków w gronie rodziny i dekorowania domów, lecz także prawdziwe głębokie przeżycie.

Serce Marty ścisnęło się boleśnie. To kolejna rzecz, której nie zmienia czas. Ból dziecka pozbawionego miłości. Podobno teraz są na to sposoby, jakieś terapie, by uleczyć wewnętrzne dziecko, pomóc sobie. Gdy ona była młoda, nikt nie znał takiego pojęcia.

Nie było internetu, nie można sobie było włączyć kilku filmików na Tik-Toku, by się dowiedzieć, co człowieka boli, co go wiecznie gna przed siebie, nie pozwoli zaznać ani chwili spokoju, znaleźć nigdzie szczęścia. Za traumy wyniesione z najwcześniejszych lat życia płaciło się wysoką cenę. Nieudane małżeństwo, macierzyństwo, które mimo włożonego ogromnego wysiłku okazało się porażką, samotność, choroby.

Spojrzała na Markusa. To był najjaśniejszy punkt jej życia.

Jego to nie dotyczy – pomyślała i zrobiła jeszcze krok do tyłu, wciskając się pomiędzy choinkę a wysoką szafę. Może niepotrzebnie, nikt jej teraz nie szukał.

Mimo wszystko poczuła się bezpieczniej. Mogła patrzeć do woli przez nikogo niezaczepiana. W tej chwili tego najbardziej potrzebowała.

Tak, też miała zamiar podejść do Ignacego. Czy za drugim razem ją rozpozna? A może ona nie wytrzyma i składając mu życzenia, powie o kilka słów za dużo? To było możliwe. Emocje bowiem buzowały w niej jak woda w starym czajniku z pokrywką. Domagały się ujścia. Przychodzi taki moment, kiedy żadna siła nie jest w stanie ich zatrzymać.

Całe lata myślała, że można zamknąć za sobą drzwi i rozpocząć nowe życie. Tymczasem teraz, kiedy tutaj stała i patrzyła na to wszystko, dotarło do niej, że ludzkie serce nie ma wieku. Niedawno obchodziła siedemdziesiąte piąte urodziny. Zupełnie inaczej niż Ignacy. Jej życie zresztą było zawsze inne niż jego, od samego początku. Owszem, o tej uroczystości pamiętała nawet córka, choć od dawna żyły bardziej obok siebie niż ze sobą i Marta niewiele o niej wiedziała. Czym się zajmuje? Dlaczego ciągle przebywa poza domem? Dokąd chodzi? Ale urodziny to jedno z największych świąt w niemieckiej tradycji, uroczyste się je celebruje. Marta dostała więc tort, piękną kartkę i wspólny wieczór.

Było całkiem przyjemnie. Markus wrócił o jeden dzień wcześniej z trasy koncertowej, co bardzo doceniała. Nie potrzebowała wielkiej fety, ale trochę jej się serce ścisnęło na widok tego tłumu ludzi i ogromnej życzliwości, a także szacunku, jakie zewsząd płynęły do Ignacego.

Łamanie się opłatkiem trwało już czterdzieści pięć minut i nie zanosilo się na szybki koniec. Wieczera czekała, dzieci biegały po domu, co rusz podjadając z kuchni smakołyki przeznaczone na później. Tylko Sonia, jej mąż, i oczywiście Ignacy trzymali się zasad, żeby pościć. Poza tym widziała, że nawet dorośli co rusz przechodzili pod byle pretekstem przez kuchnię i coś skubali. To piętke chleba, to jakieś ciastko, pierniczka albo łyżkę sałatki.

Jeszcze nawet nie zasiedli do wieczery, kiedy przyjechał jakiś miejscowy burmistrz z żoną, opowiadając na prawo i lewo, że oni już zjedli, więc wpadli na chwilę złożyć życzenia. Marta czuła, że to będzie miało dalszy ciąg i jeszcze niejedna osoba przybędzie tu dzisiaj bez zapowiedzi.

Nie zazdrościła mu popularności. Trochę może tego szacunku i dużej rodziny, która trzyma się razem. Jednak mu się udało. Widać stare powiedzenia nie mówią prawdy, można zbudować swoje szczęście na krzywdzie innych. Ignacy był tego najlepszym dowodem. Te osiemdziesiąte urodziny były jakby ukoronowaniem całego jego życia. Gdyby ktoś teraz zrobił zdjęcie, mogłoby służyć jako fotografia dokumentująca spełnienie: piękny dom, rodzina, przyjaciele, spokój, dostatek.

Marta wyszła ze swojego ukrycia, dostrzegła bowiem na kanapie kawałek wolnego miejsca. Przysiadła tam na chwilę Sonia. Ona już się uporała ze wszystkimi życzeniami i wyraźnie potrzebowała chwili odpoczynku przed podawaniem do stołu. Patrzyła, jak kolejka do Ignacego wciąż się nie kończy, na szczęśliwą córkę wtuloną w ramiona Markusa.

Z radia płynęły kolędy, a na choince migają kolorowe światełka. Było wzruszająco i niejedna osoba ocierała oczy. Nastrój się udzielał.

– Dobrze wam się powodzi – zagaiła Marta, spoglądając na Sonię.

Kobieta drgnęła nieco zaskoczona. Pewnie takie pytanie nie pasowało do świątecznej atmosfery.

– Nie narzekamy – odparła delikatnie.

– Ziemia bardzo zyskała na wartości, prawda? – nacisnęła Marta.

Sonia była dobrze wychowana i niezwykle gościnna, nie odezwała się więc zgodnie ze swoim rzeczywistym pragnieniem, że nie ma ochoty o tym rozmawiać, uważa, że pytanie nie jest zbyt taktowne, zwłaszcza w tych okolicznościach, tylko kiwnęła głową.

– Rzeczywiście – powiedziała powoli – wielu naszych sąsiadów przestaje uprawiać rolę, dzieli łąki na działki budowlane, sprzedają je i żyją inaczej. Niektórzy się wyprowadzają.

– No tak. – Marta kiwnęła głową. – Kiedyś te hektary z trudem żywiły kilkusobową rodzinę, a teraz mogą ją ustawić do końca życia.

– Rzeczywiście sporo się zmieniło – przyznała Sonia ostrożnie. – Ale dla nas to bez znaczenia – dodała zaraz. – Kochamy to miejsce. Niczego nie chcemy w nim zmieniać, lecz zostawić w takim samym stanie dla wnuków i dzieci. Ziemię łatwo sprzedać, ale odzyskać potem to już prawdziwa sztuka.

– Zgadzam się – powiedziała Marta, a Sonia odetchnęła z ulgą, myśląc, że temat w naturalny sposób się zakończył. – I to wszystko wasze? – zapytała nagle. – Całe gospodarstwo, łąki, las?

Kobieta pobladła, ale szybko się uspokoiła. Te pytania na pewno nie były osobiste.

Czyżby babcia Markusa szukała na stare lata działki w rodzinnych stronach? Pewnie dlatego tak ciągle wypytuje – pomyślała.

– Znam wiele osób, które chcą sprzedać kawałek ziemi, nawet całe gospodarstwa – powiedziała. – W sąsiedniej miejscowości jest wystawiony na sprzedaż dom ze stodołą i wszystkimi zabudowaniami gospodarczymi oraz sporym kawałkiem łąki, podpytam po świętach. Markus panią podwiezie. Domek można wyremontować i mieć taką bazę wypadową na lato czy właśnie święta.

Właściwie to nawet się ucieszyła. Kto wie? Może to nie jest zły pomysł? Babcia Markusa tutaj osiadzie, by spędzić ostatnie lata w okolicy, gdzie się urodziła. To takie ładne zakończenie życiowej historii. Może dzięki temu Markusa też coś zacznie mocniej trzymać w jednym miejscu?

Odwróciła się i nagle z wielką sympatią spojrzała na starszą kobietę siedzącą obok niej.

– Miło, że pani do nas przyjechała – powiedziała zupełnie szczerze, bo wcześniej miała co do tej wizyty nieco mieszane uczucia.

Marta była zaskoczona tym objawem życzliwości.

– Ja też się cieszę – powiedziała z głębi serca. – Powinam była zrobić to wcześniej – dodała równie szczerze, choć domyślała się, że ta miła młoda kobieta nie ma szans, by zrozumieć, co ona ma na myśli.

Zastanawiała się, czy podejść do Ignacego teraz, czy jednak tym biednym głodnym ludziom pozwolić w spokoju zjeść kolację wigilijną. Doszła do wniosku, że druga wersja to lepszy pomysł. Jej również burczało w brzuchu, a pozostali też zasługiwali na to, by się trochę posilić. Wiele się napracowali.

– Bardzo dużo jedzenia przygotowaliście – powiedziała do Soni.

– O tak, ale miałam pomocników. – Pani domu się uśmiechnęła. – A poza tym to uwielbiam. Tyle tradycji się tu łączy: mojego męża, naszej rodziny, gości. Każdy coś przywozi: albo przepisy, albo smakołyki. Chce się spróbować wszystkiego.

– Te chleby są niezwykłe. – Marta widziała ich całe stosy. Markus miał rację. Robiły wrażenie.

– Tak, musiałam napiec sporo, bo teraz nie będę mieć czasu. A naprawdę nikt nie jest w stanie przewidzieć, ile osób zechce złożyć Ignacemu życzenia.

– Jeśli wy tak tutaj karmicie, to ja się wcale nie dziwię, że wiele.

Sonia się roześmiała.

– Cieszę się. Po prostu się cieszę – powiedziała – że mogę komuś sprawić radość. Od wielu lat to jest mój dom i spełnione marzenie.

– Nie masz już żadnych więcej? – zapytała Marta.

– Tylko żeby dzieci były szczęśliwe i nic się nie zmieniało – odparła szybko Sonia. Zdenerwowała się, choć nie powiedziała przecież niczego zaskakującego.

Babcia Markusa spojrziała na nią uważnie.

– To niemożliwe... – Pokręciła głową. – To znaczy mam na myśli to drugie, czyli brak zmian. Życie to jedna wielka zmiana, ruch. Stałość to śmierć, brak postępu, ruchu, narodzin, wyjazdów, dynamiki. Nie zatrzymasz tego.

– Soniu, kochanie. – Podszedł do nich Adam. – Chodź, proszę, mamy gości.

Z wyraźną troską spoglądał na żonę. Pobladła i chyba nie podobała jej się ta rozmowa. Cieszył się, że znalazł pretekst, by ją uwolnić. Pewnie miał rację, bo Sonia natychmiast się zerwała, jakby towarzystwo babci Markusa stało się dla niej trudne.

No tak – pomyślała Marta. – Kolejni goście.

Przyjechał ksiądz proboszcz, żeby osobiście złożyć życzenia Ignacemu.

Wszyscy najważniejsi. Ależ by się zdziwili, gdyby się dowiedzieli, kim naprawdę jest mężczyzna, którego tak poważają, klepią po ramieniu, gratulują, podziwiają. Dla kogo gromadzą pomiędzy stołem a oknem stos prezentów.

Lidia już kilkakrotnie wynosiła je do jego pokoju. Ciągłe przybywało, a przecież mnóstwo jeszcze znajdowało się pod choinką.

Marta patrzyła na to zafascynowana. W ciągu całego swojego życia tylu nie dostała, na dodatek w takich pięknych papierkach z wielkimi kokardami. Tu już nie chodziło o ich wartość materialną, może wcale nie były drogie, ale głównie o to, że ktoś się dla niego tak bardzo starał. Zastanawiał nad zawartością, wymyślał opakowanie, wiązał te wszystkie kokardki, przyklejał kolorowe nalepki.

Ignacy. Dziecko szczęścia. Czego się dotknął, wszystko zamieniał w korzyść, wygraną na loterii losu. Cała jego postawa, gesty, ton głosu pokazywały, że czuje się na właściwym miejscu, pewny swojej pozycji, nazwiska, wartości, tego, kim jest.

Tego też Marta mu zazdrościła.

Ona sama cokolwiek w życiu by osiągnęła, nawet w chwilach, kiedy była najbardziej szczęśliwa, nigdy czegoś takiego nie czuła. Być może właśnie po to dzisiaj przyjechała, żeby się dowiedzieć, kim jest. Jakby tylko ten jeden człowiek mógł jej na to pytanie dać prawdziwą odpowiedź.

Ignacy wiedział.

Wreszcie składanie życzeń dobiegło końca i goście z ulgą zaczęli siadać do stołu. Przegapiła swój moment, nikt nie zwrócił na nią uwagi. W tym sporym gronie osób, wśród gwaru, śmiechu dzieci nikt nie pilnował, czy wszyscy się nawzajem połamali opłatkiem.

Pomyślał o niej tylko jeden człowiek.

Markus. Podszedł do babci. Z drugiej strony od razu pojawiła się Lidia. Złożyli jej serdeczne życzenia, a potem wzięli pod ramiona i zaprowadzili do stołu na wybrane wcześniej miejsce, by usiadła pomiędzy nimi. Zrobiło jej się tak miło i ciepło na sercu. Nawet przez moment się zawahała. Pomyślała, że może warto zostawić sprawy takimi, jak są. Zobaczyła przed sobą biały talerz, nałożono jej uszka, a potem dopełniono pięknie pachnącym ciemnobordowym barszczem. Pachniało jak w domu, dokładnie tak samo.

Przypomniało jej się, że miała też przecież dobre wspomnienia.

Nie wiedziała, czy to wyłącznie z powodu ciasnoty spowodowanej dużą liczbą gości, czy z innej przyczyny, ale Lidia i Markus przysunęli się do niej z obu stron tak, że poczuła się, jakby została przytulona. Oczy jej lekko zwilgotniały. Prawdziwa świąteczna atmosfera łamie nawet najtwardszych.

Może nie ma sensu się odzywać? – pomyślała znowu. – Niczego nie zyskam, a mogę wiele stracić. Minęło tyle lat, wszystko się przedawniło.

– Czy to najlepsze święta, panie Ignacy? – zapytał burmistrz. Wcinał uszka aż miło. A przecież ponoć dopiero co skończył własną kolację. – W takim długim życiu było ich pewnie wiele – dodał.

– Może opowiemy sobie o tych najgorszych i najpiękniejszych?! – zawołała któraś z ciotek, a Marta natychmiast się wyprostowała.

– Moje najlepsze dopiero nadejdą – odezwał się jakiś młody głos w kuchni, co spowodowało, że burmistrz odwrócił się z wyraźnym oburze-

niem. Zapewne wyznawał starą zasadę, że obowiązuje pierwszeństwo wieku, jeśli chodzi o wypowiedanie się.

Nikt nie zauważył, kiedy do domu, jak zawsze bez pukania, weszła Ada z rodzicami. Teraz jednak wszystkie oczy skierowane były na nią.

– Kiedyś stąd wyjadę – powiedziała dziewczyna. – I każde święta spędzę w innym miejscu.

Puściła oko do Lidii. Obie wiedziały, co Ada ma na myśli. Tuż za nią stali jej rodzice i siostra. Zjedli już u siebie kolację i przyszedli z życzeniami do Ignacego.

– Och! – zawołała mama Ady. – Przepraszam, nie spodziewałam się, że jeszcze jesteście w trakcie wieczerzy. Sądziłam, że już siedzicie z makowcem na kanapie.

– Nic nie szkodzi. – Sonia zerwała się z miejsca. – Chodźcie. Siadajcie, zmieście się.

Stół był wyraźnie z gumy. Doniesiono jeszcze kilka taboretów i posadzono przybyłych. Zrobiło się znowu gwarno, pojawiło się kilka dodatkowych talerzyków, Ignacy dostał kolejny prezent i następne szczere życzenia.

Marta z ciekawością spojrzała na młodą dziewczynę, uśmiechniętą i zadowoloną, która swoją wypowiedzią wywołała wyraźny ferment. Starszym osobom się nie spodobała.

– Co ona miała na myśli? – zapytała szeptem Lidii.

– Najlepiej, jak sama opowie, ale zrobi to chętnie, zapewniam – odparła dziewczyna. – Ada ma mnóstwo barwnych planów.

– To fajnie, podoba mi się. – Marta się uśmiechnęła.

– To moja najlepsza przyjaciółka.

– Co tam szepczecie? Czy o mnie? – Dziewczyna miała wyjątkowo wyostrzony słuch, jeśli chodziło o jej własne imię.

– Powiedz o tych twoich najlepszych świętach z przyszłości! – zawołała Marta nieco śmielej i wreszcie zwróciła na siebie uwagę pozostałych. Trochę tu o niej zapomniano. Ignacy jak zawsze zbierał wszystko.

– Och, nie trzeba – szybko odezwała się mama Ady, a burmistrz kiwnął głową na znak, że on też się zgadza. Sam miał o wiele ciekawsze rzeczy do przekazania.

– Moje wymarzone święta będą za granicą. – Ada ich nie słuchała. Powiodła wzrokiem po przepięknym pokoju udekorowanym świąteczną choinką i gałązkami jedliny, z wielkimi oknami, przez które przez cały dzień widać było góry, a teraz odbijało się w nich światło. Po suto zastawionym stole i wesołych dobrych ludziach siedzących wokół niego. Nagle głos jej zadrżał, a dalekie perspektywy, które zwykle z takim entuzjazmem przed samą sobą i innymi roztaczała, jakby nieco zbladły. Ale nie zepchnęło jej to z obranego kierunku. – Będę daleko stąd – powtórzyła. – Ze wspaniałym człowiekiem u boku, a świat stanie przede mną otworem.

– Niech ci się spełni – powiedziała szczerze Marta, a Ignacy spojrzał na nią bardzo uważnie. Postanowiła zamilknąć. Kto wie, co mogło mu się skojarzyć. Ton głosu, jakieś słowo?

– Dobrze pani mówi po polsku – odezwał się burmistrz.

– Tak, dziękuję – odparła. – Od lat nie byłam w kraju, ale wychowałam się tutaj. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

– No, ja bym chciał powiedzieć o moich najlepszych świętach – zaczął burmistrz, ale przerwano mu.

– Ignacy! – zawołali. – Niech Ignacy powie pierwszy.

Sonia pozbierała talerze z barszczem, a potem przyniosła półmiski z ziemniakami, rybą i sałatkami. Podała karpia. Nakładano jedzenie, stukając sztućcami, pomagając sobie nawzajem. Ignacy nie miał więc idealnych warunków do snucia swojej opowieści, ale pomysł chyba mu się spodobał.

– Zaczynij od najgorszych – podpuścił go Bartek.

– Chyba jednak od najlepszych – powiedział Ignacy. Pełny talerz stał przed nim, ale on nawet nie wziął widelca do rąk. Spojrzał na wszystkich, a oni zamilkli. – Ten rok jest dla mnie wyjątkowy i wspaniały. – Uśmiechnął się. – Ale najpiękniejsze święta – tu spojrzał na syna – miały miejsce wiele lat temu. Gdy Adam sprowadził do domu Sonię.

Wszyscy pokiwali głowami. Niektórzy pamiętali wciąż to zaskoczenie, kiedy śliczna dziewczyna zgodziła się zamieszkać na końcu świata. Nie było chyba nikogo, kto by ją rozumiał. Adam to świetny facet, ale takich jak on było wielu. Przypuszczano, że ten związek szybko się rozpadnie. Tymczasem trwał do dziś.

– Byłem już wtedy stary – opowiadał Ignacy – a tak mi się przynajmniej wydawało. Na pewno czułem się o wiele starszy niż dziś. – Uśmiechnął się znowu. – Myślałem, że nic nas już nie czeka. Moja żona zmarła i razem z nią poszło z tego domu wszelkie ciepło. A syn za żadne skarby świata nie chciał posłuchać ojca, który dobrze mu radził pilnie szukać jakiejś miłej dziewczyny. Nie chciał i nie chciał.

Ponieważ większa część gości doskonale znała tę opowieść, słuchali z mniejszym niż na początku skupieniem. Jedli, dokładali sobie potraw, szeptem wymieniali się uwagami na temat karpia. W tle wciąż leciały kołędy.

Tylko Marta uważnie chłonęła każde słowo. I nie odrywała oczu od Soni. Coś jej w tej całej historii nie pasowało. Od razu zauważyła, że synowa Ignacego wyraźnie się spięła. Jakby miała coś do ukrycia.

– Mijały lata. – Senior rodu niczego nie zauważył, całkowicie skupiony na swojej opowieści. – Wszyscy pozakładali rodziny. – Machał dłonią dla podkreślenia wagi sprawy. – I tylko my tak zostaliśmy jak dwa kocury patrzące smętnie przez okno.

Adam się nie odezwał, ale zacisnął usta bardzo ciasno, jakby te wspomnienia nie do końca mu się podobały.

– Gospodarka jakoś tam szła – opowiadał Ignacy, a Marta słuchała chciwie, w napięciu. – Ale to było zupełnie nie to samo, co teraz. W domu też jakoś tam sprzątaaliśmy. Dbaliśmy, ile kto mógł, ale to było zupełnie nie to samo, co teraz – powtórzył. – Kiedy Sonia przyjechała tutaj pierwszy raz, naprawdę miałem wrażenie, i nie jest to żadna przesada, jakby coś w tej dziewczynie świeciło. Gdzie się nie pojawiła, od razu robiło się przyjemniej.

Teraz wszyscy się uśmiechnęli i nawet Adam z Sonią nieco się rozluźnili.

Poza tym na stół wjechały pierogi i uwaga zebranych znów mocno się rozproszyła. Trzeba było wybierać, czy nałożyć sobie tych z kapustą, a może z suszonymi śliwkami albo nadzieniem grzybowym. Wyszło bowiem na jaw, że większość osób ma żołądki o ograniczonej pojemności i trzeba oszczędzać miejsce, jeśli się chciało jeszcze czegoś spróbować.

Ignacy szybko wybrał po kilka z każdej tacy. Wyraźnie wierzył w swoje siły.

– A mój syn – odezwał się głośniejszym głosem – któremu ciężko było wtedy nawet podjąć decyzję, czy na łące pod lasem posiejemy zboże, czy może zaszczepimy ziemniaki, a już jeśli chodzi o zaproszenie gdziekolwiek jakiejś dziewczyny, to potrzebował minimum z siedem miesięcy na przygotowanie, czego z oczywistych względów żadna nigdy nie wytrzymała, tym razem dostał takiego przyspieszenia, że mało mu buty z nóg nie spadły. Sonia przyjechała do nas pierwszy raz w sierpniu, a wczesną jesienią był już ślub, pamiętacie?

Burmistrz śmiał się w głos, a Adam tylko skrzywił. Nikt specjalnie nie lubi, kiedy rodzice opowiadają o nim anegdoty. Zwłaszcza w większym gronie. Ale może było w tym coś więcej?

Marta pomyślała, że ta opowieść ma wiele luk. A zaraz potem, że zapewne udział nieśmiałego Adama, od lat samotnego mężczyzny w tym wszystkim był minimalny. To Sonia wszystko zaplanowała. Nic w tym złego. Wielu facetom się wydaje, że to oni wybierają, podejmują decyzje, podczas gdy tak naprawdę jak kierowani dobrą nawigacją zmierzają w stronę kobiety, której się spodobali.

Tylko dlaczego Sonia właśnie z nim postanowiła spędzić życie?

Pierogi stygły tylko na dwóch talerzach. Jej i pani domu. Reszta jadła. Nawet Ignacy przegryzał pomiędzy poszczególnymi zdaniami. Marta doszła więc do wniosku, że mama Lidii jest jedyną osobą, która zna całą prawdę. Jej mąż Adam wierzy w opowieść o miłości od pierwszego wejrzenia, tym piorunie z jasnego nieba, który padł niespodzianie pomiędzy nich i na zawsze ich magicznie połączył.

Marta szukała odpowiedzi głębiej. Co miałeś? – patrzyła na niego uważnie, próbując sobie wyobrazić, że jest młodą dziewczyną, wygrała właśnie półfinał konkursu piękności, miała dalsze perspektywy na karierę i rozwój. Co ją mogło skusić? Wielka miłość? Może, choć Adam nie sprawiał wrażenia łamacza kobiecych serc. Raczej kogoś miłego i dobrego. Co jeszcze? Dom na końcu świata? Ucieczka. Marta poczuła, że jest u celu.

I w tym momencie się zatrzymała. Spojrzała na twarz Soni i dostrzegła cierpienie. Skrywane pod uśmiechem. Dawne. Rozumiała to i nie zamierzała nikogo oceniać. Kobiety często muszą uciekać, nie zawsze z własnej winy. Chronić się przed czymś lub przed kimś. Jakąkolwiek tajemnicę miała ta dziewczyna, była to jej sprawa. Marta nie zamierzała w to wnikać. Nie po to przyjechała. Wiedziała, ile cierpienia może przynieść wtrącanie się w nie swoje sprawy. Ignacy tak ją kiedyś potraktował. Konsekwencje ciągnęły się do dzisiaj.

Tylko ona była teraz poważna, bo Sonia już się śmiała, zagadnięta przez kogoś z rodziny.

A Ignacy tak promieniał, że Marta zrozumiała jego przenośnię o ludziach, którzy mają w sobie światło. Też miał na samo wspomnienie tego ślubu. Musiał być wtedy bardzo szczęśliwy.

– Tak, tak pamiętam – odezwała się mama Soni. – My też byliśmy w szoku i trochę się martwiliśmy, że to tak szybko. Ale oczywiście wszystko niepotrzebnie – dodała. A potem nałożyła sobie sporą porcję łazanek z makiem, które jako kolejne danie pojawiły się na stole.

– No i tak, doszło do tego, że mieliśmy tutaj pierwsze święta razem we trójkę – zakończył Ignacy. – Sonia odmieniła ten dom. Sprawiała, że stał się piękny, zaczął żyć. Te pierwsze święta to był początek tego, co potem nas spotkało każdego dnia i każdego roku.

– Oj tam! – westchnął Bartek, dla którego wyraźnie zrobiło się za słodko. – A opowiedz o najgorszych.

Słyszał tę historię wiele razy, nie rozumiał, jak wyjątkowa jest miłość jego rodziców. Wydawało mu się to zupełnie naturalne.

– Jakie były najgorsze? – dopytywał się jego dalszy kuzyn, też bardziej zainteresowany sensacją niż romanssem.

Marta patrzyła na Ignacego intensywnie. Chyba знаła odpowiedź. Raczej na pewno. Dziadek Lidii żył na tym świecie osiemdziesiąt lat, miał za sobą wiele Wigilii, ale chyba żadna nie zdołała przebić tego, co kiedyś przeżyli razem. Co ona zrobiła.

A może nie? – zastanowiła się nagle.

Przecież nie było to znowu nic tak strasznego, ludzie tutaj wyolbrzymiają pewne sprawy. To przecież rodzina zachowała się wobec niej stokroć gorzej.

– A ja chyba wiem – odezwał się nagle burmistrz. – Czy chodzi o ten ślub? – zapytał. – Matka mi kiedyś opowiadała. To było dawno temu, a jej się już jakoś wszystko myli. Ale to pamięta. Że panna młoda wam uciekła sprzed ołtarza? – rzucił, a przy stole zapadła cisza. Tylko kolędy cicho grały w radiu i wiatr szumiał za oknami.

– Naprawdę, dziadku? Uciekła wam? – To się spodobało nawet Bartkowi.

Ada aż się wyprostowała.

– Ja tego nie słyszałam. – Spojrzała na rodziców. – Dlaczego wy mi nigdy o niczym nie opowiadacie?

Nikt tak naprawdę nie słyszał. Lidia też nie. Markus zaczął jej szeptać coś do ucha, ale nie była mu w stanie niczego wyjaśnić. Wiedziała, że dziadek miał żonę, która zmarła, kiedy tata był mały. Sam wychowywał syna. Nic nie słyszała o tym, by chciał się powtórnie ożenić.

– Opowiedz teraz – poprosił Bartek wyraźnie w imieniu wszystkich. Czekali w napięciu.

– Kiedy to było? – zapytał Adam zaskoczony. – Przed moją mamą? Ja niczego takiego nie pamiętam.

Ignacy westchnął.

– To stara historia, nie ma o czym gadać. – Machnął dłonią.

– Ale niech pan opowie – nacisnęła Marta. – Skoro już tak się zwieramy z najpiękniejszych i najgorszych świąt, to niech będzie sprawiedliwie. Każdy po jednej historii. Starczy nam czasu do rana.

– Tak jest! Tak! – rozległy się liczne głosy.

– To było, zanim się urodziłeś – powiedział Ignacy do syna. Nie wyglądał na zadowolonego, a spojrzenie, jakie posłał Marcie, zapewne podobne było do tych, którymi traktował Markusa od początku znajomości. Potrafił okazać niechęć. Marta wiedziała to najlepiej. – I nie, nie była to moja przyszła żona – dodał od razu. – Ja miałem w życiu tylko jedną miłość. A nasz ślub przebiegł bardzo spokojnie i tradycyjnie.

– To w takim razie komu ta dziewczyna uciekła? – Adam chciał wiedzieć. Jakby czuł, że może wreszcie i jemu coś się w głowie rozjaśni, a sprawy, które ciągle ukrywał ojciec, staną się bardziej zrozumiałe.

– Pamiętacie ten dom przy drodze? – zaczął Ignacy, ciężko wzdychając. – Piękny, drewniany, na zakręcie, tuż za torami kolejowymi.

– Tak, tak. – Wszyscy, prócz Marty, potwierdzili. Nawet Markus wiedział, o jakie miejsce chodzi.

Do miasta prowadziła jedna droga i każdy, kto zmierzał do szkoły, pracy, lub do sklepu codziennie mijał stary, bardzo zniszczony, niegdyś przepiękny dom, otoczony wielkimi wiekowymi drzewami, których od lat nikt już nie przycinał.

– Teraz się podobno zgłosił jakiś spadkobierca – mówił Ignacy. – Ale przez dziesięciolecia dom był opuszczony. Mieszkał tam kiedyś miły, dobry chłopak ze swoimi rodzicami. Chciał się ożenić z pewną dziewczyną – dodał, wyraźnie z wysiłkiem dobierając słowa.

Marta się wyprostowała. Oddychała z trudem. Dłonie jej zdrętwiały, a twarz pobraźla. Na szczęście nikt na nią nie patrzył.

– Wszyscy chcieli dla nich dobrze, ale cóż, nie udało się. – Ignacy wyraźnie stchórzył. – Resztę powiem wam za chwilę. Panie burmistrzu, niech teraz pan opowie o swoich najlepszych świątach.

Ignacy się sprytnie wymigał. Marta poczuła, jak policzki palą ją czerwienią. Bała się, że wszyscy to widzą, ale nie. Oni wciąż byli skupieni na Ignacym, licząc na to, że jeszcze coś powie.

Wybieg okazał się sprytny, bo mimo ciekawości burmistrz nie zamierzał przepuścić okazji do opowiadania o sobie.

– Mój najlepszy czas jest teraz – zaczął z namaszczeniem, a wszyscy tylko przewrócili oczami, najdyskretniej, jak tylko umieli, i zajęli się dojadaniem swoich dań. Czuli, co zaraz nastąpi.

Sonia z Lidią i Adą zaczęły wykładać na półmiski ciasta, Markus pomagał im nosić. Ten chłopak bardzo fajnie wpisywał się w rodzinę i gdyby nie fakt, że nie zamierzał zapuszczać korzeni, mogło to się skończyć dla wszystkich w dobry sposób.

Ignacy popatrywał na niego, ale nie był zadowolony. Im bardziej Markus się starał, tym mocniej senior rodu denerwował. Nie mógł się uspokoić, znaleźć sobie miejsca. Te urodziny wbrew pozorom nie były dla niego wcale aż tak wesołe, jak wszystkim się zdawało.

Dręczył go nieznany niepokój. Nie czuł się też swobodnie w towarzystwie babci Markusa. Ta kobieta zachowywała się dyskretnie i taktownie, nie zwracała na siebie uwagi. Wydawałoby się, że można o niej zapomnieć. A jednak cały czas czuł jej obecność. Kręcił się. Krzesło wydawało mu się nagle niewygodne i wcale aż tak bardzo nie smakował mu barszcz, jak go głośno chwalił. Uszka stawały mu w gardle, a przecież było to jego ukochane jedzenie i wszystko, co wyszło spod ręki synowej, uwielbiał. Dostał tyle prezentów i nawet nie był ciekaw, co te kolorowe pudełka mają w środku.

Interesowało go tylko jedno. Kim jest ten cholerny Markus? Dlaczego przywiózł tu swoją babkę i co z tego wszystkiego wyniknie? I ile to będzie kosztowało? Czuł, że drogo, w jakiegokolwiek walucie przyjdzie im za to zapłacić. Czasem, pieniędzmi, spokojem? Na dodatek nie mógł swobodnie tych wszystkich emocji przeżyć, bo wszyscy przyjechali tu głównie ze względu na niego. Spoglądali w jego stronę. Starali się, by miał wspaniałe święto. Czuł, że każde życzenia były szczere, a prezent wybrany z intencją,

by sprawić mu przyjemność. Starał się dla nich, ale kosztowało go to coraz więcej. Nie tego się spodziewał.

Może jestem już za stary na takie święta? – pomyślał. – Ale jak to? Przecież to niemożliwe!

Uwielbiał koniec grudnia, nigdy mu się nie nudziły polskie tradycje. Kochał każdy punkt programu i nawet jeśli była to jakaś cholerna zielona Gwiazdka bez jednego płatka śniegu, to przecież jakie to miało znaczenie! Zawsze liczyło się tylko to, co tutaj przy tym stole. Może niepotrzebnie głupi burmistrz zaproponował tę durną zabawę, żeby wracać wspomnieniami do tamtych świąt?

Tak, uciekła przed ołtarza. I to było straszne. On został i musiał pocieszać rodziców, którym złamano serce. Było to bardzo dawno temu. Większość zaproszonych wtedy osób już nie żyła. Tamten chłopak wyjechał, sprawa przycichła, przyszły inne skandale. Ale w nim ta historia ciągle żyła i na zawsze odmieniła oblicze jego rodziny. Nigdy tego nie opowiadał swojemu synowi, ale miał wrażenie, że to dlatego Adam tak długo nie mógł się ożenić. Ten strach był zakodowany gdzieś w dziejach tej rodziny, a to przeżycie odbiło się niczym pieczęć na ich historii.

– No i teraz wygrywamy trzydzieści siedem procent. To moje najlepsze święta – perorował burmistrz, nabijając na widelec kawałek pieroga i wymachując nim, co znacząco odbierało mu całą powagę, jaką chciał sobie nadać.

Procenty mało kogo interesowały, pierogi dawno zniknęły, teraz największe wzięcie miał makowiec i ludzie powoli czuli, jak ich brzuchy stają się pełne tych wszystkich smakołyków, a impreza dopiero się rozkręcała. W kuchni czekał jeszcze ogromny tort i mnóstwo kolejnych ciast.

– A najgorsze? – znowu odezwał się Bartek, a burmistrz zgromił go spojzeniem. Gdyby nie fakt, że Ignacy miał mnóstwo przyjaciół i właściwie w tej miejscowości kampanie prowadziło się głównie w kościele, u Ignacego i w szkole, toby tego chłopca surowo skarcił. Ciągłe się smarkacz wtrącał. Ale oczywiście nie mógł sobie pozwolić, żeby stracić tak znaczącą część elektoratu.

Uśmiechnął się więc krzywo.

– Wyobraź sobie, dziecko drogie – powiedział protekcjonalnym tonem – że kiedyś było inaczej. Ja w twoim wieku nie miałem tego wszystkiego. – Rozejrzał się wokół. – Żyliśmy biednie – pouczył go. – Na święta mama nagotowała nam co najwyżej chudego barszczu z fasolą i były ziemniaki, jakaś ryba, ale nie taka pyszna. Nie mieliśmy prezentów.

Rozejrzał się po wszystkich, jakby sprawdzał, czy do każdego dotarła groza tej opowieści. Do dzieci z pewnością. Spojrzały pod choinkę, upewniając się, że tu wszystko działa jak należy.

– Nikomu to nawet przez myśl nie przeszło – dodał burmistrz. – Jedyne słodczyce to jak się udało cukierka z choinki gwizdnąć. Nawet ciasta nie zawsze mieliśmy w domu. Było zimno, ojciec ciężko pracował, woził węgiel. Był dobrym człowiekiem, prawym, ale miał jedenaścioro dzieci. Mama ledwo nadążała ogarniać całą gromadę, a pieniędzy na wszystko brakowało. Teraz wam się w głowie przewraca – dodał, bo ta złość, która w nim buzowała, domagała się jednak stanowczo ujścia. – Mało kto docenia ciepło, pełne żołądki i piękne ciuchy, prezenty, światełka na choince – zaczął mówić z coraz większym żalem.

Marta spojrzała na niego ze współczuciem. Dobrze wiedziała, o czym mówi. Znała smak biedy i rzeczywiście widziała to wszędzie wokół, że teraz ludzie nawet nie umieją sobie tego wyobrazić. Nie życzyła im tego. Z drugiej strony wielu rzeczy nie umieli docenić. Nie cieszyli się tak bardzo, jak to wszystko, co mieli, zasługiwało.

– To teraz ja – odezwał się brat Soni i wszyscy odetchnęli z ulgą, bo chcieli przejść do innych opowieści niż te polityczne, a czuli, że wywód o ciężkim dzieciństwie burmistrza tak się właśnie zakończy. Jakąś puentą o wyborczym zwycięstwie.

– Oczywiście! – zawołał gromko Ignacy. – Teraz oddajmy głos bratu Soni.

Potoczyła się piękna historia o tym, jak w Wigilię wiele lat temu urodził się ich synek, jak jedli barszcz na porodówce i dzielili się opłatkiem z pielęgniarkami. Potem zgłaszały się kolejne osoby.

Lidia i Markus siedzieli w kuchni. Ewakuowali się tutaj przed kolejnymi porcjami pyszności. Nieprzyzwyczajony do polskich tradycji chłopak czuł, że nie da już rady, a powstrzymać się wcale nie było tak łatwo. Wszystko pachniało, było piękne i absolutnie przepyszne. Markus wziął Lidię na kolana i mocno do siebie przytulił.

– Tęskniłem – powiedział. – Za twoim głosem, zapachem, bliskością.

– Ja też – odparła, jeszcze mocniej się do niego przytulając. Żałowała, że nie mogą być teraz sami.

– Ciekaw jestem – powiedział Markus, odrywając się od niej trochę, jakby szukał oddechu, bo nie mógł wśród tylu ludzi całować jej tak, jakby najbardziej chciał. – Jaka to dziewczyna zwiłała twojemu dziadkowi przed ołtarza. Jestem całkowicie przekonany, że to jest historia, która jego dotyczy, i że on coś ściemnia. Widziałaś, jak twarz mu się zmieniła, kiedy o tym opowiadał?

– Tak. – Dziewczyna kiwnęła głową. – Ale wiesz, to bardzo zaskakujące, że my nic o tym nie wiemy. On często wspomina dawne czasy. Jak pracowali w polu, jak ziemia rodziła same kamienie, o powojennej biedzie czy o tym, jak jakiego ojciec wrócił z niewoli w takim stanie, że rodzona matka go nie poznała. Ale o sobie nigdy za dużo. To mnie zawsze zaskakiwało. Myślałam po prostu, że nie miał w życiu żadnych dramatycznych wydarzeń.

– A widzisz miał, tylko skryty jest. Jak moja babcia.

– Właśnie. Jak ona się u nas czuje? W sumie to był trochę eksperyment zabrać ją tak daleko na święta.

– Trudno mi powiedzieć – odparł powoli Markus i pocałował ją we włosy. – Nic się nie odzywa, to do niej dość niepodobne. Ale chyba ma się dobrze. Pewnie wspomnienia do niej wracają. Widzisz, coś, co nas łączy, oprócz miłości oczywiście – dodał i przytulił ją mocno. – Ja też mało co o niej wiem. Nie pytałem. Wystarczało mi, że urodziła się w Polsce, to było dawno temu w jakimś innym świecie. Przyjechała do Niemiec, a potem zmuszała mnie, żebym się uczył tego języka. Myślałem, że to sporo informacji. Teraz tak się właściwie zastanawiam, że w gruncie rzeczy wcale jej

nie znam, a przecież mnie wychowała. Jest zdecydowanie najbliższą mi osobą.

– Przyciśniemy ich. – Lidia się uśmiechnęła. – Przecież to też część naszej historii. Niech coś wreszcie opowiedzą.

– Cieszę się, że cię poznałem – powiedział Markus. – Wszystko teraz stało się inne. Skracam podróże, żeby do ciebie wracać. Poznawanie świata ma odmienny smak, kiedy jest na nim jeden stały punkt. Nawet odległości inaczej teraz wyznaczam. Coś jest daleko, a coś jest blisko od ciebie.

Teraz to ona go pocałowała.

– Czy my możemy się gdzieś zwinąć? – zapytał, dmuchając jej gorącym oddechem w ucho. – Bo chyba nie wytrzymam w tym tłumie. Chciałbym być tylko z tobą.

– Jeszcze chwila. Obiecuję. Gdzieś się schowamy.

Trochę to było na wyrost. W przepełnionym gośćmi domu trudno było znaleźć pusty pokój. Ale postanowiła coś wymyślić.

Rozdział 21

W tym momencie Marta się odwróciła. Jakaś kobieta kończyła swoją historię, jak to w święta się zaręczyła. Dość nietaktownie tuż po tym, jak matka Ady opowiedziała o swoich najgorszych świętach, kiedy to jej pierwszy narzeczony po długich miesiącach oczekiwania miał się oświadczyć pod choinką i ona z wielką radością zobaczyła czerwone pudełeczko. A kiedy je otworzyła, w środku była bransoletka. Rozczarowanie okazało się ogromne.

Marta słuchała nieuważnie.

Wcale jej to nie ciekawiło. W pustej kuchni Markus siedział pod oknem, trzymając Lidię na kolanach. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Marta nagle się wystraszyła. Że dalsze milczenie robi im ogromną krzywdę. A co, jeśli się dowiedzą przez przypadek? Żle sobie sprawy zinterpretują?

Patrzyła cały dzień na świat zbudowany przez Ignacego. Mocny, trwały. Był przywiązany do swojej roli autorytetu. Z tego, co zrozumiała, Sonia i Adam nic nie wiedzą. Skoro przez tyle lat nie umiał z nimi porozmawiać, nie robi tego także teraz. Nie ma szans. Będzie uciekał, kluczył. Człowiek ma prawo do prawdy.

Marta miała z tym problem. Jako dziecko nauczyła się, że nie ma prawa do niczego. I trudno było sobie z tym poradzić w dorosłym życiu. Tak została skonstruowana ludzka psychika. Co się zapisze we wczesnym dzieciństwie, wpływa czasem na cały los człowieka. To trudne, często niesprawiedliwe.

Marta z trudem uczyła się mówić o swoich potrzebach, uczuciach. Ale teraz nie zamierzała odpuścić.

Markus nie miał nic. Nawet rodziców. Gdzie była dzisiaj jego mama? Ponoć ze znajomymi. Co to za ludzie, nie wiadomo. Ojciec poleciał do Tunezji. Taką ponoć robił karierę, a nigdy nie oszczędził ani grosza. Poza okazynym sypaniem gotówką wcale syna nie wspierał. Markus ciągle był sam.

Dostał od losu tyle, ile ona mu dała. Talent do śpiewania nie wziął się, jak wszyscy sądzili, znikąd ani z przypadku. Wróciło wspomnienie wysokiego chłopaka o pięknym głosie, który śpiewał kolędy, jak nikt inny nie potrafił. Ignacy go wygnał. Nie szanował artystów.

Poczuła tamten gniew. Żał, że nie potrafiła się obronić. Nie miała siły, pojęcia, w jaki sposób przeciwstawić się rodzinie. Uciekła więc. Nie sprzed ołtarza, niech znowu nie przesadzają. Nawet nie włożyła ślubnej sukienki. Wyszła z domu o świcie, zanim ktokolwiek się obudził. I nigdy do niego nie wróciła.

Aż do dzisiaj.

– A ja bym chciała usłyszeć o tej dziewczynie, co uciekła wam w dzień ślubu – odezwała się nagle Marta i wszyscy zamilkli. No tak, też ich to ciekawiło, choć nie mieli odwagi zapytać. – Dlaczego to zrobiła?

Serce jej łomotało, ale zrobiła pierwszy krok i nie zamierzała się cofnąć.

Ignacy się skrzywił. Odsunął talerz i postanowił nic już więcej dzisiaj nie jeść. Może to starość, może coś mu dolegało, że tak stracił nagle wszelki smak?

– Nie do końca wiem – powiedział zgodnie z prawdą. – I to też są osobiste sprawy rodzinne.

– Ach, rodzinne? – Marta przekrzywiła głowę. – Miło to usłyszeć.

Ignacy zaczął się w nią wpatrywać.

– Dlaczego miło? – zdenerwował się.

Przyglądał jej się uważnie, a ona też nie spuszczała z niego wzroku. Jakby czekała. Na co? Czy powinien coś o niej wiedzieć? Nigdy nie miał rodziny w Niemczech, w życiu nie odwiedził Monachium. Skąd mogliby się znać? Patrzył uważnie. Starsza kobieta jak każda inna. Siedemdziesiąt parę lat, ani śladu siwych włosów, staranny makijaż, ładna biała bluzka

z koronką niczym się niewyróżniająca, ani zbyt wyzywająca, ani zbyt skromna. Wszystko w punkt. Ręce położone na kolanach. Prosta postawa. Spokojne, choć mocne spojrzenie.

Co go w niej tak wyprowadzało z równowagi? Czy chodziło tylko o wnuka? I najgorsze pytanie: co go przerażało? Wydawało mu się, że powinien coś wiedzieć, zrozumieć. Wciąż patrzyła na niego i wyraźnie tego oczekiwała.

Aż pozostali goście zaczęli się niepokoić.

– Pani jest stąd? – zapytał Ignacy. Zakaszła, bo nagle dopadła go chrypka.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Można tak powiedzieć, chociaż nie do końca.

Masz! Cudowna odpowiedź. Ignacy się wnerwił. Widocznie umiejętność wkurzania go była u nich rodzinna. Markus też świetnie sobie z tym radził.

– Może pani знаła tamtą dziewczynę? – wpadł wreszcie na trop.

– A owszem – przyznała.

Teraz wszyscy patrzyli na nich, jakby obserwowali mecz tenisa. Piłeczka po jednej stronie, to znów po drugiej. Odwracali głowy zgodnie z tym, jak oni się odzywali.

– Naprawdę? – zapytał Markus. Wyszedł z kuchni, obejmując mocno Lidię. – Nigdy o tym nie wspominałaś.

Sonia patrzyła na nią i mrugała intensywnie powiekami. Nigdy nie mówiła za wiele, była raczej obserwatorem. Osobą, która buduje mosty, zacierając różnice, wykonuje tysiące małych pozornie błahych rzeczy, ale trzymających rodzinę razem. Zawsze dostrzegała szczegóły. I teraz też jako pierwsza zaczęła łączyć fakty.

– Niemożliwe – wyszeptała i pobladła. – To po prostu niemożliwe.

– A jednak. – Marta uśmiechnęła się słabo. Nikt poza Sonią jeszcze nie rozumiał. Synowa Ignacego okazała się bystrzejsza niż on.

– Nie wiem, o czym mówicie! – zawołał dziadek Lidii. – Czy możemy jaśniej? Są święta. Chciałbym je spędzić spokojnie. A dzieci czekają na prezenty.

– O tak! – rozległy się wołania z różnych stron pokoju.

– Dobrze – odparła Marta. – Postaram się krótko.

Zawahała się. Może lepiej nie robić tego publicznie? Nie psuć wszystkim atmosfery. Wycofywanie się w takich sytuacjach było jej odruchem. Bała się konfrontacji. Ale kiedy się odwróciła, zobaczyła Markusa. Ten chłopak dopiero zaczynał życie. Chciała dla niego wszystkiego, co najlepsze. Niech się uczy, że czasem trzeba stanąć w swojej obronie.

Tym bardziej że niespodzianie spotkał tu prawdziwą miłość. Nie sądziła, że coś takiego jest możliwe.

– Los tu zesłał mojego wnuka – powiedziała powoli. – Kiedy się dowiedziałam, że koncert odbył się w Słominkach, to był szok.

– To piękne miasteczko – obraził się burmistrz. Nie skomentowała jego słów. Nawet nie odwróciła głowy w jego stronę.

– Uznałam, że jest rzeczą niemożliwą, by tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności zdarzył się bez powodu – dodała. – Że to palec boży, jakby kiedyś powiedzieli nasi rodzice, albo głos wszechświata, jak mówią dzisiaj młodzi. Postanowiłam za tym pójść. To nie było przesłanie dla Markusa. – Spojrzała w jego stronę. – On nie pasuje do was w żaden sposób. To było dla mnie.

W kategorii najgorsze święta ten wieczór dla Ignacego szybko wysuwał się na prowadzenie. Nagle zmroziła się piękna atmosfera i ludzie zaczęli na niego patrzeć z pytajnikami w oczach, a jemu zrobiło się słabo.

– Dobrze – powiedział. – Miło panią tutaj widzieć.

To było jedno z najtrudniejszych zdań, jakie wypowiedział w ciągu swojego życia. Kilka razy był w takiej sytuacji, że jako najstarszy mężczyzna w rodzinie musiał podjąć decyzję za wszystkich i wziąć za nią odpowiedzialność. Wtedy liczy się spokój i opanowanie, zimna krew. Teraz też musiał się ratować. Nie wiedział, jak ta kobieta ma na imię, bo chętnie zwróciłby się do niej bardziej osobiście, żeby jeszcze trochę załagodzić sytuację.

– Cieszę się, że jesteś z naszych stron. Chętnie z tobą potem porozmawiam, oprowadzę cię po okolicy, jutro wszystko ci pokażę. Może odnaj-

dziemy miejsca, które znasz, ale teraz chciałbym, żebyśmy wrócili ze starych historii do tego, co dziś.

Znowu mu się udało. Goście odetchnęli. Ciężka atmosfera, jaka nagle zapanowała, nikomu się nie podobała.

– Bardzo wam dziękuję za te wszystkie prezenty. – Ignacy się uśmiechnął. – Zaraz je rozpakuję, każdym się ucieszę i wszystko wam pokażę. – Sprytnie odwrócił uwagę zebranych, bo propozycja została przyjęta z entuzjazmem. Nagle ta stara panna młoda sprzed wielu dziesięcioleci straciła na swojej atrakcyjności. – Poza tym nie zapominajcie, że mamy tutaj sporo dzieci, które czekają na Mikołaja... – Tu już pisk entuzjazmu zagłuszył wszystkie inne. Cierpliwość dzieciaków się skończyła. – Zarządzam więc przerwę w jedzeniu dla dobra naszych żołądków i miły czas przed choinką, z prezentami, kolędami i modlitwą dziękczynną za to, że udało się dożyć tak niezwykle pięknej chwili.

Wszyscy zaczęli wstawać od stołu, podeszli na drugi koniec pokoju. Dzieci rozsiadły się pod drzewkiem, dorośli na kanapie albo na stojąco ze szklankami w ręku. Jeden z braci Soni wyciągnął gitarę i zaczął grać, przyszedł moment na kolędy śpiewane na żywo. Radio zostało wyłączone.

Marta stała z boku, znów przyklejona do ściany, znów niewidoczna dla wszystkich. Nawet dla wnuka, który teraz wpatrzony był w Lidię i nic innego dla niego nie istniało. Chyba że muzyka.

Ledwo zabrzmiały dźwięki gitary, skoczył po swoją. Śmiała się z niego, że targa instrument taki kawał drogi i dopłaca w samolocie za bagaż. Ale on wiedział swoje. Teraz się przydało. Włączył się do akompaniamentu, a potem zaczął śpiewać.

Na chwilę nawet dzieci zapomniały o prezentach. A Marta poczuła, jak miękną jej kolana. To nie był tylko głos jej wnuka, lecz ukochanego mężczyzny. Jedynej miłości, jaką w życiu poznała. Oparła się o ścianę, a potem przysiadła na oparciu kanapy. Brakowało miejsc. Wsłuchiwała się w dobrze znane słowa, zamknęła na chwilę oczy. Czas się zatrzymał.

Markus znał polskie kolędy, prowadziła go zawsze na święta do kościoła, a był nawet taki moment, kiedy jako kilkulatek występował w chórze. Od

dzieciństwa miał piękny głos i teraz też kiedy zaintonował *Bóg się rodzi*, wszyscy zrozumieli, że nie bez powodu tak bardzo kocha muzykę i przed nim naprawdę spore szanse na karierę. Piosenki popowe, które wykonywał na koncertach, nie zawsze dawały mu okazję pokazać, jak wiele potrafi. Mało kto wiedział, że skończył szkołę muzyczną.

Lidia patrzyła na niego z dumą.

– Ależ on to pięknie robi! – Ada podeszła do niej. – Błagam cię, zrób dla mnie kserokopię. Ja też takiego chcę.

Lidia nie była w nastroju do żartów. Przenikały ją pełne wzruszenie i bardzo poważny nastrój.

– Nigdy nie zamknę go w czterech ścianach, nigdy mu nie zabiorę tej pasji – obiecała uroczyście.

– No to będziesz cierpieć albo się poświęcisz. – Ada tylko pokręciła głową. – Czemu on nie wybrał mnie? Ja bym z radością tutaj wszystko rzuciła.

Sonia je uciszyła i wszyscy zaczęli śpiewać. Dzieci wyciągały prezenty. Wieczór toczył się swoim torem. Bez wątpienia były to święta, o jakich wiele osób marzy.

Marta znalazła cudem wolny fotel. Lidia przyniosła jej kubek herbaty. Potem młodzi gdzieś zniknęli. Babcia Markusa postanowiła, że już nie będzie rzucać bomb na środek pokoju. Oszczędzi niewinnych. Załatwi swoją sprawę inaczej.

Rozdział 22

Ignacy, korzystając z panującego zamieszania, zaczął się kierować do swojego pokoju. Miał nadzieję, że nikt nie będzie go tam niepokoił. Opadł z sił dość gwałtownie, jakby ktoś nagle wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Dzień obfitował w emocje i nawet w normalnej sytuacji pewnie dałby mu w kość, ale dzisiaj Ignacy wyraźnie poczuł, co to znaczy mieć osiemdziesiątkę. W tym wieku nie wszystko już zależy od człowieka, pewnych spraw nie można przeskoczyć, choćby na przykład braku sił fizycznych. Nie da się już nadrabiać miną, zacisnąć zębów i postarać się bardziej.

Kołatało mu serce, a w głowie panoszył się chaos. Pragnął ciszy, samotności i przerwy. Tymczasem wokół niego rozpętało się prawdziwe szaleństwo. Niby nie o to chodzi w świętach Bożego Narodzenia, ale jednak prezent to magiczne słowo. Działo nie tylko na dzieci. Każdy tu sobie coś podarował.

Teraz wszyscy z radością rozwiązywali kokardki, rozcinali kolorowe papiery i patrzyli, co jest w środku. Ignacy był miłośnikiem dawnych tradycji, bardziej duchowego przeżywania świąt, ale nigdy nie narzucał swoich poglądów. Prezenty to wyraz miłości i o to też w całej tej zabawie chodzi. Ktoś się postarał, bo kocha.

Druga rzecz to radość. Dzieciństwo Ignacego było pełne biedy i smutku. Nie żałował więc dzisiaj nikomu żadnej okazji do tego, by mógł się cieszyć, zwłaszcza dzieciom. Wyszedł cicho do swojego pokoju.

Usiadł pośród sterty kolorowych pudeł, torebek i pakunków. Nie miał ochoty żadnego z nich otwierać ani zaglądać, co jest w środku. Zanurzył się w fotelu. Tak głęboko, jakby nie zamierzał już więcej się z niego wydostawać. To było przyjemne. Wyprostował na chwilę zmęczone nogi, przy-

mknął powieki. Chciał odetchnąć. Nie mógł jednak. Coś mu nie dawało spokoju.

Babcia Markusa! Co za kobieta. Dlaczego wciąż o niej myślał? Pytała o tak osobiste sprawy. Nie miała prawa.

Sądził, że zamykając oczy, doświadczy przyływu spokoju, tymczasem natychmiast pojawiły się wspomnienia. Tamto wesele. Jakiż to był straszny skandal! Jak można tak po prostu bez słowa zostawić rodzinę?! Tak wiele dla niej zrobili. Tak bardzo się starali. Nawet w dzisiejszych czasach ucieczka panny młodej w dniu ślubu to sensacja, a wtedy to było coś nie do opisanania.

Rozległo się pukanie do drzwi, dźwięk, który akurat Ignacy niekoniecznie pragnął usłyszeć. Zastanawiał się, kto chce go odwiedzić i w jaki sposób ewentualnie skłonić go do tego, by jak najszybciej wyszedł.

– Cześć, tato. – Adam wsunął się do środka. – Możemy chwileczkę porozmawiać? Naprawdę krótko – dodał, spoglądając na niego. Zmęczenie widać było gołym okiem.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał Ignacy. Zwykle nie przyznawał się do słabości i starał utrzymać fason, ale teraz faktycznie czuł się słabo. – Potrzebuję chwilę odpocząć.

– Wiem – odpowiedział Adam. – Ale ciągle przekładamy tę rozmowę, już od tak dawna. Ja naciskam na ciebie, a na mnie z kolei moje dziecko. Chcę wiedzieć, co powiedzieć Lidii – dodał stanowczo. Miał dość. Idealny moment na tę rozmowę nie pojawił się w ciągu wielu lat i było ryzyko, że nigdy nie nastąpi. Nie chciał już dłużej czekać. – Czy Lidia ma jakieś perspektywy, żeby tutaj zostać i przejąć gospodarstwo? – zapytał wprost. – Czy to w ogóle jest prawnie możliwe? Daj mi wreszcie odpowiedź. Trzymasz dokumenty pod kluczem. Nikt z nas nie może niczego bez ciebie załatwić! – Adam zwykle nie podnosił głosu. Dziś jednak nie wytrzymał. Sonia znów poprosiła o interwencję. Jutro Lidia chciała z nimi wszystkimi porozmawiać. Miał już dość półsłówek i wykrętów.

Ignacy zmarszczył brwi.

– Tak, ja wiem – zdenerwował się jeszcze mocniej Adam. – To wszystko twoje. Nikt nie zamierza tego kwestionować. Możesz zadysponować swoją własnością, jak chcesz, ale pracujemy tutaj całe nasze życie i mamy prawo przynajmniej wiedzieć, co by było, gdyby coś ci się stało! – zawołał nagle, a Ignacy aż pobladł.

Ciągle o tym myślał, że ma osiemdziesiąt lat, nie może już tak łatwo włożyć skarpetek, brakuje mu sił. Ale w gruncie rzeczy nie brał na poważnie takiej możliwości. Niby każdy wie, że życie ma swój początek i koniec, ale jednak o tym ostatnim się tak często nie myśli. Przynajmniej nie tak na poważnie, realnie. Ciągle sądził, że jeszcze ma czas. Właściwie nie wiadomo, skąd brało się to poczucie.

– Dobrze – powiedział. – Tak, wiem, że dawno powinienem ci o tym opowiedzieć. Ale to trudne – dodał.

Zwykle syn w takich momentach starał się go zrozumieć, ale nie tym razem.

– Dziś już nie odpuszczę – powiedział Adam. Usiadł w drugim fotelu pod oknem i zaplótł ręce podobnie jak jego ojciec. – Będę tu tkwił tak długo, aż wszystkiego się dowiem.

Ignacy zaczerpnął powietrza, zastanawiając się, od czego właściwie by zacząć, gdy znowu rozległo się pukanie. Tym razem mniej natarczywe, subtelne, ale za to ktoś nawet nie czekał, by mu powiedzieć: „proszę”, lecz od razu wszedł.

To była babcia Markusa.

Adam spojrzał na nią z dość dużym zaskoczeniem. Ignacy za to zareagował, jakby się jej spodziewał. Sam nie rozumiał dlaczego.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Czy mogę? – zapytała kobieta, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. Ale to była chyba tylko formalność. Widać było, że jest zdecydowana przedstawić swoją sprawę.

Ignacy uświadomił sobie to właśnie teraz. Że od początku wizyty sprawiała wrażenie osoby, która przyjechała tutaj w konkretnym celu, po coś.

Dziwne, ale kiedy teraz jej się przyglądał, tylko się utwierdził w tym przekonaniu.

Chciał powtórzyć, że jest zmęczony, ale zrezygnował. I tak żadne z tych dwojga nie wzięłoby tego pod uwagę, a w sumie obecność gościa dawała mu chwilę do namysłu, bo przecież Adam nie będzie przy obcych ludziach poruszał rodzinnych spraw.

Nie było już trzeciego fotela, więc babcia Markusa usiadła na tapczanie, który służył do spania. Poprawiła się, splotła dłonie na kolanach i znowu uporczywie spojrzała Ignacemu w oczy. Nie przepadał za tym.

– Nie poznajesz mnie, prawda? – zapytała z taką przykrością, jakby była to z jego strony poważna przewina.

– Ja przepraszam. – Pokręcił głową. – Nie bardzo mam siłę na zagadki. Czy my się kiedyś poznaliśmy? – zapytał. – Jeśli tak, to proszę mi przypomnieć. Mam już swoje lata, pamięć nie ta. Niejedno szwankuje – próbował się uśmiechnąć, żeby nadać swojej wypowiedzi lekki ton, ale denerwował się coraz bardziej. Cienka strużka potu spłynęła mu po plecach, jakby właśnie nie zdał jakiegoś ważnego egzaminu.

– No tak – powiedziała z wyraźnie słyszalną przykrością w głosie. – Mogłam się tego spodziewać. Nigdy nie przyglądałeś mi się zbyt bacznie – dodała powoli. – Rzadko wiedziałeś, co u mnie słychać, czym naprawdę żyję. A jeśli udało ci się czegoś dowiedzieć, to zwykle nie byłeś zadowolony. Myślałam jednak, szczerze powiedziawszy, że mnie poznasz.

Ignacy szybko mrugał powiekami. Nie chciał tego. Nie dopuszczał tej uporczywej myśli już od dłuższego czasu mocno dobijającej mu się do głowy. Chciał ją trzymać na zewnątrz za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Co, do licha?! Miał ochotę wrzasnąć, ale z jego ust nie wydobywały się żadne słowa.

Adam patrzył na niego.

Ignacy wciąż nic nie mówił. Wyglądał na mocno zszokowanego. Nic nie odpowiedział.

– Ja chyba zaczynam rozumieć – odezwał się po chwili Adam. – Za dużo klocków pasuje, żeby mogło być inaczej.

Jego ojciec wyraźnie był tego samego zdania.

– Marta? – zapytał Ignacy powoli.

– Tak.

– Twoja siostra?! Jezus Maria! – zawołał nagle Adam, po czym zerwał się gwałtownie z fotela. Dotarła do niego szokująca konsekwencja tego odkrycia. Nie myślał już teraz o ojcu ani o sprawach, które jeszcze chwilę temu tak bardzo go pochłaniały, typu dom, prawo własności gospodarstwa, plany Lidii na przyszłość. Teraz liczyło się zupełnie coś innego. – Lidia! – zawołał i poczuł, jak mdłości podchodzą mu od żołądka aż po gardło.

Jasne, wiedział przecież, że oni ze sobą sypiają. Oczywiście! Zauważył to szybko, każdy mężczyzna jest w stanie rozpoznać te objawy u drugiego. Widzi, jak komuś błyszczą oczy, jak szuka okazji, żeby być z dziewczyną sam na sam. Jak oni do siebie Ignęli! Potężne uderzenie gorąca sprawiło, że na chwilę się zachwiał. W tym pomieszeniu i tej panice nie był w stanie nawet policzyć, jaki to jest stopień pokrewieństwa. W pierwszym momencie wydawało mu się, że to oznacza, że oni są rodzeństwem. No, ale do licha, nie. To tylko dziadek odnalazł swoją zaginioną siostrę, o której nigdy nie chciał opowiadać.

Adam tak jak wstał, wypadł nagle z pokoju.

– Poczekaj! – zawołał za nim Ignacy. – Wracaj! Jesteś młodsza – zwrócił się gniewnie do Marty. – Biegnij za nim, zaraz tam wszyscy dostaną za walu. Powiedz im, jak jest.

– Sekundę temu mnie rozpoznałeś, a już posyłasz z jakimś poleceniem – odezwała się gorzko babcia Markusa. – Na dodatek wydawanym rozkazującym i szorstkim tonem? Jak kiedyś?

– Marta! Błagam cię! – zawołał. – Naprawdę nie mam siły się ruszyć, a tam każdy ułamek sekundy jest ważny. To przecież także twój wnuk.

– Owszem. – Kobieta się podniosła. – Zaraz to załatwię. Ale tu wróć. A kolejna sprawa wcale nie będzie taka łatwa do rozwiązania.

Adam przebiegł przez pokój stołowy, w którym wciąż w radosnej atmosferze cała rodzina cieszyła się jednym z najpiękniejszych dni w roku. Serce mu łomotało, a w uszach szumiała krew. Rozejrzył się błyskawicznie, jednak nigdzie nie zobaczył Lidii ani Markusa. Oczywiście znowu się gdzieś wymknęli. Był w amoku. Sam nie wiedział, co robi.

O czymś takim nigdy by nie pomyślał. Choćby kombinował sto lat. Jak ten chłopak z dalekiego kraju, tak bardzo do nich niepodobny mógł być z nimi spokrewniony?! Dlaczego ojciec nigdy wcześniej się nawet nie napomknął, że w ogóle istnieje takie ryzyko? Co teraz będzie? Złamią serca im obojgu? A może jednak nie? Czy takie bliskie kuzynostwo to przeszkoda?

Nie znał się na takich sprawach. Nigdy wcześniej się nimi nie interesował.

Uświadomił sobie, że tak.

Przeskakiwał po kilka stopni, szybko dopadł pokoju Lidii, załomotał. Nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął więc klamkę zdecydowany działać bez względu na to, co zastanie po drugiej stronie. Ale w środku nikogo nie było. Tylko Sonia zaniepokoiła się odgłosami z dołu. Podeszła do niego.

– Co się dzieje? – zapytała jak zawsze z ciepłym w głosie i gotowością pomocy. Miał ochotę wszystko jej opowiedzieć. Bał się jednak stracić nawet chwilę.

– Nie pytaj! – zawołał tylko. – To jakieś szaleństwo.

Jeśli chciał ją w ten sposób uspokoić, to oczywiście wcale mu się nie udało, wręcz przeciwnie. Jego żona zaczęła się denerwować jeszcze mocniej. Ale on nie miał czasu, nie mógł pozwolić sobie nawet na chwilę wyjaśnień. Musiał ich odnaleźć natychmiast.

A co, jeśli Lidia zajdzie w ciążę?!

Czemu dopiero teraz o tym pomyślał? Cały czas starali się szanować prawo młodych do własnych decyzji, nie wtrącać się jak nadopiekuńczy rodzice. To wyrządza czasem wiele krzywdy. Ale jak widać w ich przypadku trzymanie się na dystans również może zaszkodzić.

– Gdzie oni są?! – krzyknął. – Potrzebuję Lidii! Natychmiast!

Jego żona aż zadrżała.

– Poszli w stronę tarasu, ale... – zaczęła, a Adam, nie czekając, aż ona skończy zdanie, przeskoczył wąski korytarz kilkoma susami i dopadł wyjścia na taras.

Otworzył drzwi z impetem, omal się na nich nie zawieszając.

– Tato, ale mnie wystraszyłeś! – zawołała Lidia.

Siedziała w ulubionym fotelu Soni, oczywiście razem z Markusem. Trudno określić, w jaki sposób tam się zmieścili, a jednak dali radę. Byli ciasno ze sobą spleceni. Adam poczuł, jak strach pozbawia go zdolności myślenia.

– Odsuńcie się od siebie! – zawołał. – Ale to już! Natychmiast!

– Tato, chyba oszalałeś?! – Lidia nie mogła uwierzyć, w to, co słyszy. – Co ci się stało? Czy dobrze się czujesz?

Wiedziała, że rodzina nie lubi Markusa, ale tak absurdalnie nigdy się nie zachowywali.

– Okropnie się czuję! – odpowiedział Adam bez wahania. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. – Nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść! – Złapał Markusa za ramię i wyciągnął siłą z fotela. Chłopak był tak zaskoczony, że nawet się nie bronił. – Odsuń się, proszę – dodał trochę spokojniejszym głosem. Zimne powietrze nieco go ochłodziło. – Nie wiem, dlaczego twoja babcia nic ci nie powiedziała! – zawołał. – Ale to potworne, co zrobiła. Wiedziała przecież i cały czas milczała. Przywiozła cię tutaj. – Pogarda w jego głosie była tak ogromna, że wszyscy aż zamarli.

– O co ci chodzi? – odezwała się Lidia. Spoglądała przestraszona to na ojca, to znów na Markusa i próbowała zrozumieć, co się dzieje. – Co takiego zrobiła jego babcia? – zapytała. Czuła, jak ogarnia ją coraz większy strach.

– Jest siostrą mojego ojca – odparł szybko Adam. Może należało zrobić to jakoś delikatniej, ale nie miał czasu, nic lepszego nie zdołał wymyślić. – Tą, o której czasem, choć bardzo rzadko wspominał – dodał. – To ona!

– Niemożliwe... – Markusowi zrobiło się zimno. Lidia pobladła.

Zareagowali dość podobnie jak Adam, to znaczy w pierwszym momencie nie do końca zrozumieli, co to dla nich oznacza. Próbowali się odnaleźć w zawiłościach genetyki.

– A jednak! – Adam złapał się za głowę. – Właśnie siedzą w pokoju i rozmawiają o tym ze spokojem, pełni wzajemnych pretensji. Jedno i drugie. Mimo że przecież doskonale rozumieją, co to dla was oznacza!

Trzymał Markusa mocno, wbijając mu palce w ramię. W drzwiach prowadzących na taras stała Sonia. Nikt nie wiedział, jak długo. Nic nie mówiła i nie ruszała się z miejsca.

Po chwili Lidia zemdląła i dopiero to sprawiło, że Sonia błyskawicznie zerwała się i podbiegła w stronę córki. Markus chyba miał ochotę zrobić to samo co Lidia, ale nie potrafił. Taka ucieczka z pewnością przyniosłaby mu ulgę. Ale był przytomny i świadomy jak mało kiedy. Patrzył tylko rozszereżonymi źrenicami na Adama, a przerażenie powoli zalewało mu oczy.

– Jak to? – wyszeptał. – To niemożliwe – dodał, biorąc Lidię na ręce. Nie dopuścił do niej nikogo. Ani matki, ani ojca. Był szybszy. – Moja babcia nigdy by mi czegoś takiego... – zaczął drżącym głosem, przyciskając ją mocno do piersi.

– Poczekajcie, poczekajcie! – odezwała się Sonia. Też była w szoku. Wszystko działo się jednocześnie. – Nic takiego się nie wydarzyło, nic się nie wydarzyło! – zawołała. – Dziecko kochane. – Zaczęła delikatnie klepać córkę po policzkach. – Błagam cię, obudź się! Nic takiego się nie stało. Możecie się spotykać, nie jesteście ze sobą spokrewnieni. Słyszysz mnie? Nie jesteście ze sobą spokrewnieni! – krzyknęła.

– Jak to? – Kolejny szok sprawił, że teraz Adam sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał zemdleć. Okropne przypuszczenie przeszło mu mózg. Nagle w jednej sekundzie wszystko mu się przypomniało. Głosy ludzi zastanawiających się, jak to się stało, że taka piękna dziewczyna zdecydowała się zamieszkać na końcu świata. Dlaczego przyjęła oświadczyzny kelnera rolnika, który musiał sobie dorabiać różnymi dorywczymi pracami, żeby utrzymać się na podupadającym gospodarstwie. Jako miss miała prze-

cież do wyboru mnóstwo biznesmenów, lekarzy, przystojnych ustawionych mężczyzn, których zawsze sporo kręci się przy takich konkursach. Mogła jeździć po świecie, nawet w tamtych czasach. A może szczególnie w tamtych czasach, bo wówczas dla zwykłych ludzi nie było to tak dostępne jak teraz.

W jednym momencie wszystko poukładało mu się w całość. Tak. Pobrali się szybko, bo ona była w ciąży, to wiedział. Ale w tym jednym strasznym momencie jego serce opanował nieopisanie bolesny strach.

Czy to nie moje dziecko?! – nie mógł nawet o tym myśleć.

Jeśli zawał serca boli, to on czuł, że chyba to jest ten moment. Ucisk w jego klatce piersiowej był nie do wytrzymania.

– Wszyscy macie jakieś tajemnice! – zawołał. – Jak tak można?!

Lidia się ocknęła. Markus ułożył ją na fotelu, a Sonia rzuciła się teraz ratować męża.

– Nie, powiedz, że to niemożliwe. Czy Lidia nie jest moim dzieckiem? – szeptał Adam poblaskami ustami.

– Jest! – krzyknęła Sonia ze złością. Nie nadążała tłumaczyć. – Chcę powiedzieć, żebyś się nie martwił. Jest, na litość boską!

Adam nie był w stanie w to uwierzyć. Nie od razu. To wszystko działo się za szybko. Usiadł na podłodze w swoich odświętnych spodniach i cienkiej koszuli. Było bardzo zimno, ale wcale tego nie czuł.

Dlaczego nie porozmawialiśmy wcześniej? – pomyślał z żalem. – Teraz to wszystko naraz wypłynęło jak z przelanego dzbana. A spokój rodziny, który tak cenili, przysł bez śladu, jakby go nigdy nie było.

– Jak mogłeś tak pomyśleć?! – zawołała Sonia, a po jej policzkach popłynęły łzy.

– Mogłem – odparł jak na niego bardzo twardo. – W naszej rodzinie tajemnice to norma. Pod tym względem całkiem do nas pasujesz. Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego podjęłaś taką nagłą decyzję. Skąd ten pośpiech? To nie mnie się spieszyło – uświadomił sobie – tylko tobie. Nie musiałaś. Kiedy się poznaliśmy, jeszcze nie byłaś w ciąży. A może byłaś?

– Nie – uspokoiła go Sonia, choć aż w niej wrzało. – Hej. – Spojrzała mu w oczy. – Nie wierzysz mi? Jeśli mi nie wierzysz, to wszystko nie ma sensu.

Lidia się przeraziła. Dopiero co odzyskała nie tylko przytomność, ale jako taki spokój, bardzo kruchy, bo wciąż nie wiedziała, co się właściwie dzieje. Dlaczego nagle tata wrzeszczy, żeby się od siebie z Markusem odsunęli, bo są bliską rodziną, a potem mama twierdzi, że jednak nie, i oddaje ją znowu w ręce tego chłopaka? Dlaczego rodzice się kłócą i to na dodatek o tak poważną rzecz?

Nie spierali się nawet w błahych kwestiach, zawsze jej się wydawało, że są ideałami. Ale to chyba niemożliwe. Zobaczyła teraz przez moment rodziców prawdziwych i był to dla niej mocny wstrząs. Zamiast silnego zdecydowanego taty, miała przed sobą człowieka niepewnego siebie, przestraszonego, który nawet nie wie, czy żona go kocha, nie ma pojęcia, czy jego rodzina przetrwa.

Zawsze sądziła, że mama jest prostolinijną, szczerą osobą, a teraz zobaczyła kobietę, która coś ukrywa. Wyraźnie ma jakąś tajemnicę, a jej opowieść wiele kartek, które nigdy dotąd nie zostały odczytane.

– To prawda – powiedziała cicho Sonia. – Wybrałam cię nie bez powodu – przyznała cicho i z wyraźnym trudem. – Musiałam uciekać. Faktycznie nie powiedziałam ci wszystkiego, ale nie okłamałabym cię w tak ważnej sprawie – dodała i otarła łzy. – Oczywiście Lidia jest twoją córką, a ja w ciągu tych wszystkich lat starałam się uczynić cię szczęśliwym człowiekiem. Najpierw żeby się odwdzińczyć za to, że dałeś mi schronienie, a potem dlatego, że cię pokochałam.

To wyznanie sporo ją kosztowało.

To były piękne słowa, lecz do Adama trafiały z ogromnym trudem, przedzierając się przez warstwy żalu. Nie mógł sobie tego wszystkiego poukładać.

– Mamo... – Lidia wstała i chwiejnym krokiem podeszła do niej. Położyła jej rękę na ramieniu. – Co tu się właściwie dzieje? – zapytała. – Wszystko toczyło się normalnie, świętowaliśmy, cieszyliśmy się i nagle

wpadacie z takimi nowinami. Co ojciec powiedział? Że babcia Markusa i nasz dziadek to rodzeństwo?

Podobnie jak Adamowi zrobiło jej się przez moment niedobrze. Przypomniały jej się wszystkie chwile spędzone z chłopakiem, który stał się miłością jej życia. To były najpiękniejsze wspomnienia, jakie miała, a teraz ich znaczenie mogło się całkiem zmienić.

– Tak, ale to nic nie oznacza – odparła słabo Sonia. Czuła, że wszystkie ważne sprawy wymykają jej się z rąk.

– Jak to nic nie oznacza?! – zawołał Markus. – Czy pani nie rozumie?

– Twoja babcia została adoptowana – odparła zmęczonym głosem. – Jest biologicznie obcym człowiekiem, ale formalnie siostrą. Tyle wiem.

– Skąd? – Teraz spojrzeli na nią wszyscy.

– Dziadek nigdy nie puścił pary z ust – odparła. – Ale zdarzyło się raz, że burmistrz go mocno spił. To było wiele lat temu. Po tym, jak burmistrz wygrał swoje pierwsze wybory, przyprowadził wtedy dziadka do domu. Obaj ledwo się na nogach trzymali. Ciebie nie było – zwróciła się do Adama – więc sama musiałam go położyć spać. W takim stanie nie widziałam go nigdy wcześniej ani nigdy potem.

Wszyscy słuchali w napięciu. Nikt nawet nie zauważył, jak za ich plecami na chwilę pojawiła się Marta, ale szybko się cofnęła.

– Trochę mi się pożalił – dodała Sonia. – Jak to jego rodzice w tajemnicy przed nim rozpoczęli proces adopcyjny. Jeździli do tej dziewczynki, a jemu nikt nic nie mówił. Dopiero gdy nagle pojawiła się w drzwiach. Tyle tylko wiem, że miała cztery, może pięć lat, a potem gdy podrosła, znikła z jego życia. Domyślałam się, że stąd ten kłopot z papierami. Nie wiedziałam, czy to ta sama dziewczyna, która uciekła sprzed ołtarza, ani o co w całej tej historii chodziło, ale najważniejsze, żebyście wy teraz się uspokoili. Możecie zejść na dół do dziadka prosić o wyjaśnienia. Teraz już nie będzie miał wyjścia, z pewnością wam opowie. Ja muszę tutaj zostać.

Markus wziął Lidię za rękę. Miał wrażenie, że teraz jego głowę wypełnia jakaś gruba warstwa waty. Niczego nie mógł zrozumieć, nawet z trudem

słyszał. Z dołu dobiegał wzmożony gwar, nie śpiewano już kolęd, wszyscy rozmawiali, rozlegały się gromkie śmiechy, dzieci krzyczały, bawiły się.

Lidia szła obok niego sztywna. Rozdarta pomiędzy pragnieniem, by zostać z rodzicami i ratować to, co zawsze wcześniej było dla niej najcenniejsze, czyli rodzinę, oraz tym, co było teraz najważniejsze, czyli chłopaka, którego kochała. Wszyscy potrzebowali pomocy. Dziadek zapewne też. Dla niego to również musiał być szok.

Po co babcia Markusa tutaj przyjechała?

Lidia zatrzymała się nagle w połowie schodów. Okropna myśl, zmieniająca wszystko nagle przeszła jej głowę i sprawiła, że mocno ścisnęło się serce. Aż trudno jej było oddychać.

– Czy ty wiedziałeś?! – Teraz zrozumiała dokładnie, co poczuł przed momentem jej tata. Jak to jest, gdy nagle takie okrutne podejrzenie zakiełkuje w twojej głowie. Co się wtedy dzieje z człowiekiem. – Przywiozłeś ją specjalnie?! – zawołała. – Przecież to nie jest normalne, że ktoś jedzie z końca świata na święta do obcych ludzi. O co jej chodziło? O majątek! – zawołała nagle. Wszystko zaczęło jej się układać w głowie. – Tyle się wypytywała o ceny działek. – Łzy spłynęły jej po policzkach. – Pamiętasz, co mi obiecałeś? – zapytała, patrząc mu w oczy. – Że nigdy nie sprowadzisz do mojego domu cierpienia, że ty też nie staniesz się źródłem krzywdy. A teraz widzisz, co się wydarzyło?! Wszyscy moi bliscy są nieszczęśliwi i sypie się każdy element naszej rodziny! Wszędzie jednocześnie.

Markus był zszokowany. Otworzył usta, ale nie był w stanie powiedzieć ani słowa.

Nie czekała na jego odpowiedź. Zostawiła go i zbiegła po schodach.

To wszystko nie mieściło jej się w głowie. Musiał wiedzieć. Żadna inna opcja nie wchodziła w grę. Ciągłe opowiadał, że babcia jest jego najbliższą osobą. Na pewno działali w porozumieniu. Zaplanowali to. Dostali się do ich domu od środka, aby błyskawicznie rozsadzić coś, co budowano przez lata.

Minęła gości, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Przestraszona, zapłakana, z rozmazanym tuszem na policzkach.

– Co się stało? – Ada podbiegła do niej.

– Teraz nie pytaj. Błagam cię.

Lidia wpadła do pokoju dziadka. Nikt więcej nie odważył się tam wejść. Goście doszli do wniosku, że pewnie młodzi się pokłócili w samiutką Wigilię, co się czasem zdarza. Święta generują nie tylko dobre emocje, lecz także czasem sprawiają, że wychodzą na wierzch uczucia, o których się normalnie nie rozmawia.

Lidia spojrzała na dziadka. Był sam.

– Gdzie ona jest?! – zawołała.

– Poszła was szukać, bo widzisz, dziecko, nie wiem, czy zdołała ci przekazać, żebyś nie wpadła w przerażenie. To jest moja adoptowana siostra – zaczął pospiesznie tłumaczyć.

– Tak, zdążyłam już usłyszeć. To pewnie trochę zmienia, ale nie tak wiele, jak myślisz. Markus... – wyszeptwała, a usta i broda zaczęły jej drżeć.

– Między nami to i tak już skończone. Nie da się czegoś takiego utrzymać. Nie po tym, co zrobił.

Objęła się ramionami. Wyglądała fatalnie.

– Co się stało? – Ignacy bardzo chciał się zerwać z fotela, podejść do niej i ją przytulić, ale nie był w stanie. Nogi naprawdę odmówiły mu posłuszeństwa. Na dodatek kręciło mu się w głowie. Okropna słabość przyszła w najgorszym momencie.

– Wierzysz w to, że pojawili się u nas przypadkiem? – zawołała Lidia. – Że los ją przysłał, jak opowiadała? Co za bzdury! Po prostu dowiedzieli się, że te działki tak bardzo podrożały. Wszystko to zaplanowali, jestem przekonana. Mam powody, by się bać. – Spojrzała nagle w jego stronę, bo jej klocki zaczęły składać się w całość. Te wieczne niejasne odpowiedzi, kiedy pytała, czy może tu zostać, to naleganie, żeby zaczęła studia, zobaczyła świat. – Czy ja się słusznie domyślam, że wcale nie jesteś właścicielem tego gospodarstwa i po prostu nie możesz mi go przekazać?

Ignacy przełknął ślinę. Wyraźnie widziała, jak zaciskają się jego dłonie na oparciu fotela, a chwilę potem także powieki. Bardzo cierpiał, znała go

doskonale, potrafiła rozpoznać wszystkie jego emocje. Ale po raz pierwszy nie umiała mu współczuć.

– Tyle lat mnie zwodziłeś? – Było jej tak przykro, że aż zachrypła. – Jak mogłeś? Czemu nie powiedziałeś mi uczciwie, że nie ma o czym mówić, powinnam sobie szukać innej ścieżki w życiu?!

– Bo nie byłem pewien. – Ignacy próbował się tłumaczyć, ale z trudem znajdował słowa. – Liczyłem, że to się jakoś rozwiąże. Nie wiem, co myślałem, że może wszystko pozostanie tak, jak jest? Twoi rodzice gospodarowali tutaj tyle lat, nigdy im to w niczym nie przeszkadzało.

– Chyba oszalałeś! – Lidia złapała się za głowę. – Naprawdę nie rozumiem, jak można nie przekazać dzieciom tak prostej informacji. Co się za tym kryje?!

– No właśnie. – Ignacy odwrócił wzrok. Nie wiedział, jak to wyjaśnić. Wnuczka miała rację. Jasne, że istniało drugie dno. Gdyby sprawa była prosta, z całą pewnością dawno by ją rozwiązał.

Nie umiał. Decyzja zapadła w dniu, kiedy Adam przyprowadził Sonię do domu. Nie wierzył, że to jeszcze możliwe. Pogodził się, że już zawsze syn będzie sam. A tu niespodzianka. Na dodatek Sonia była pełna uroku i bardzo miła, a Adam zakochany po uszy. Nie chciał, by ta młoda piękna dziewczyna wystraszyła się już na wstępie. Żeby pomyślała, że Adam nic nie ma, nawet domu. Tym bardziej że okolica tak jej się spodobała. Tak długo powtarzała, że to gospodarstwo ma wyjątkowy urok, że aż sam w to uwierzył. A potem brnął dalej w idylliczną opowieść o rodzinnym domu przekazywanym z pokolenia na pokolenie i ani słowem się nie zająknął, że należy on jeszcze do kogoś innego.

– Jak wy to w ogóle zrobiliście?! – zawołała Lidia, wyrywając go z zamyślenia. – Przez tyle lat nie były potrzebne żadne dokumenty?

– Były – przyznał – ale rzadko. Nie robiliśmy tutaj żadnej budowy, niczego nie sprzedaliśmy, płacimy podatki, a czasem jak tam trzeba było coś zorganizować, przyłączyć gazu czy kanalizacji, to w urzędzie przymykali oko. Wszyscy mnie tu przecież znają, to mała miejscowość. W magistracie

pełno dzieci sąsiadów, w geodezji syn mojego kolegi. Jakoś to szło. Dotacji unijnych nie brałem.

– Nigdy nie zamierzałeś jej szukać? – zapytała.

– Zamierzałem, na początku próbowałem, ale to inne czasy. Nie było telefonów, kontaktów. Po śmierci rodziców naprawdę się starałem. Ale usłyszałem tylko, że wyjechała do Stanów. Ułożyła sobie życie. To wielki kraj, nie miałem pojęcia, jak ją tam odszukać. I tak trochę lat zeszło. Nawet nie wiem kiedy.

No cóż, Lidia chyba miała dzisiaj dzień prawdy. Ponoć w Wigilię zwierzęta mówią ludzkim głosem, ale w jej przypadku to rodzina przemówiła w języku, jakiego ona dotąd nie znała. Bo już nie miała przed sobą tego seniora rodu, pełnego godności i autorytetu dziadka, lecz słabego mężczyznę, przegranego, przestraszonego, który nie zdał jednego z najważniejszych egzaminów swojego życia. Ciągle coś ukrywał, kluczył, kłamał, choć widział, jak poważne są tego konsekwencje.

Rozdział 23

Takich świąt jeszcze tutaj nigdy nie było i nikt się nie spodziewał. W salonie wszystko wyglądało jak z obrazka: liczna rodzina, przepiękna choinka, kolędy, pyszne jedzenie, rodzinna atmosfera. Goście zdecydowanie dobrze się bawili, wciąż ich przybywało, ale nikt nie niepokoił gospodarza, szanując jego prawo do odpoczynku. Chwalono rodzinę, która przygotowała to wyjątkowe przyjęcie.

Tymczasem za kulisami rozgrywały się dość dramatyczne sceny. Sonia i Adam siedzieli na górze pod drzwiami swojej sypialni oparci o drzwi. Nawet nie chcieli wchodzić do środka. To pomieszczenie było symbolem szczęścia i związku, który właśnie zawisnął na włosku. Adam był zły, zraniony tak bardzo, że nawet nie wiedział, jakie mógłby zadać teraz pytanie. Bał się, nie chciał też pogorszyć sytuacji.

Sonia miała poczucie, że jej mąż jest niewdzięczny. Jakkolwiek by ten związek się nie zaczął, Adam tyle przecież od niej dostał. Był szczęśliwy przez ponad dwadzieścia lat, a to naprawdę spore osiągnięcie.

Lidia stała z gniewnymi oczami naprzeciwko dziadka, a jemu z tego powodu pękało serce. Markus wciąż tkwił na tarasie, choć było tam bardzo zimno, a on musiał chronić swój głos. Czekały go koncerty, od których wiele zależało.

Marta wróciła do pokoju Ignacego i dokładnie jak wcześniej zajęła miejsce na brzegu łóżka. Czekała na wyjaśnienia. Pragnienie, by się wycofać, dopadało ją co kilka sekund. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że naraziła na cierpienie tyle osób, lecz było już za późno. Worek ze starymi tajemnicami został otworzony i jak to zwykle bywa w takich przypadkach, wraz z nimi

wyfrunęły problemy. Im dłużej dusi się jakieś sekrety, tym większe problemy się na nich hodują. Tutaj upływ czasu miał znaczenie.

– Porozmawiamy i zaraz wyjadę – zwróciła się do Ignacego. – Chcę jednak poznać fakty.

– Ja też wyjadę – dodała impulsywnie Lidia. – Mój pokój w Krakowie stoi pusty. Potrzebuję chwili, żeby parę rzeczy przemyśleć. Sądzę, że Mar-
kus zrobi to samo. Nie mam nawet pewności, czy rodzice tu zostaną, bo są wyraźnie na siebie wściekli i może okazać się, że ten dom wkrótce stanie się dla nich dwojga za mały.

– Nie! – powiedział Ignacy stanowczo. – Nikt stąd nie pojedzie, dopóki sprawy się nie rozwiążą.

– Bo co?! – zawołała buntowniczo Lidia. Było jej już wszystko jedno. – Zatrzymasz nas tutaj siłą?

– Ignacy lubi rozwiązania siłowe – wyrwało się Marcie.

– Już nie – odpowiedział mężczyzna zmęczonym głosem. Okropne uczucie bezradności pozbawiało go resztek energii. – Nie proszę cię o wybaczenie. – Spojrzał na siostrę. – Ale chociaż spróbuj zrozumieć. Też byłem młody, nie miałem pojęcia, co robić. Chciałem cię ratować. Ale zanim zacznę cokolwiek tłumaczyć, zawołajcie tu mojego syna i synową, a także Markusa. Zaczynam rozumieć, że to jest też jego historia. – Spojrzał znowu na Martę, siedziała z zaciętą miną. – On nie bez powodu tak pięknie śpiewa. Prawda?! – Oddychał z trudem. Widać było wyraźnie, że to odkrycie nim wstrząsnęło. Połączył nagle punkty. – Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytał tym razem bardzo cicho. Ledwo usłyszeli.

– To by tylko pogorszyło sytuację. Zrozumielibyście? Ty, rodzice? – zapytała, a on tylko opuścił głowę.

– Dobrze – zgodziła się Lidia, która patrzyła na dwoje starszych ludzi, nic nie rozumiejąc z tego, co mówią. – Wyjaśnij, co trzeba. Ale potem już na mnie nie licz. Jadę do Krakowa. Spróbuję jeszcze przyprowadzić tu rodziców, ale cudu nie dokonam. Nie wiem, czy się zgodzą.

Wyszła z tego pokoju i aby dostać się na górę, musiała znowu przejść przez salon pełen świętujących osób. Miała wrażenie, że należała do tego grona bardzo dawno temu, a teraz na trwałe została wykluczona. Że wszystko to jakaś kompletna fikcja. Święta w rodzinie Skalskich, wzorzec dla wielu osób, marzenie. Widać było, że goście czerpią mnóstwo przyjemności z faktu, że tutaj są, mogą się wspólnie bawić, rozmawiać.

Zobaczyła przytulające się pary i serce ścisnęło jej się bólem, beztrosko biegające dzieci, także swoich braci. Siedzieli na podłodze pod ścianą, bo miejsc wciąż było za mało. Coś sobie pokazywali w telefonie i zaśmiewali się do rozpuku.

Co z nimi będzie? – zastanowiła się. – Jeśli ta jakaś okropna historia okaże się prawdziwa, co to będzie oznaczało? Że dom nie jest nasz? Trzeba się będzie stąd wyprowadzić?!

Nawet nie chciała myśleć o takiej opcji. Pragnęła jak najszybciej poznać prawdę, a do tego potrzebna jej była cała rodzina, żeby dziadek wreszcie zaczął mówić. Niech się to wszystko skończy.

Jej obawy, że za chwilę ktoś dla niej ważny stąd wyjedzie, okazały się słuszne. Markus już się pakował. Miał czerwone policzki i uszy, a także koniec nosa. Wyraźnie zmarzł. Nie zdążył wielu rzeczy wyciągnąć z torby, poszło mu więc szybko. Gdy Lidia do niego podeszła, ze świstem zasunął zamek torby.

– Zaraz mnie tu nie będzie – powiedział szybko. – Zabieram babcię i znikam. Od początku nie jestem mile widziany. Za to oskarżenia padają tu bardzo gęsto.

– Zrobisz, jak uważasz. – Z bólu nie była w stanie nic lepszego wymyślić. Przeszła błyskawicznie do ataku, odpierając jego zarzuty. Na myśl, że ją oszukał, traciła siły do czegokolwiek. – Twoja babcia jest u mojego dziadka. Bez niej przecież nie pojedziesz. Idź tam i ją wyciągnij z tego pokoju. Ja muszę jeszcze przyprowadzić rodziców. Dziadek ma nam coś do powiedzenia i ciebie to też ponoć dotyczy, więc idź, proszę.

Odwróciła się. Nawet nie sprawdziła, czy się zgodził, a potem podeszła parę metrów dalej. Myślała, że serce ma tak ściśnięte bólem, że już nic więcej nie będzie w stanie zrobić na niej wrażenia, lecz widok rodziców opartych o drzwi sypialni, takich bezgranicznie smutnych, sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej.

Jak to się mogło stać? Wydawali się bastionem nie do pokonania, a wystarczyła jedna krótka chwila.

– Mamo... – powiedziała, po czym rzuciła się na kolana i przytuliła ją z całej siły. Sonia zaczęła płakać. – Proszę was, nie róbcie tego.

– Gdyby to było takie proste...

– Chodźcie ze mną. Muszę wam coś pokazać.

Wstała, podała im rękę, a oni z trudem podnieśli się z podłogi, a potem poszli za nią jak dzieci. Jakby nagle odwróciły się role. Sprowadziła ich do pokoju dziadka.

Kiedy Lidia zamknęła drzwi, usłyszeli wszyscy przytłumiony dźwięk kołedy *Bóg się rodzi*. Ignacy bardzo ją lubił, rodzina znów zaczęła śpiewać. A ponieważ na stół wjechały domowe nalewki, do których goście odnaleźli drogę nawet bez pomocy gospodarza, głosy były teraz śmielsze, mocniejsze i dźwięki bez trudu docierały także tutaj.

Ignacy marzył o tym, żeby zeszła wielka lawina, spadło mnóstwo śniegu i zatrzymało jego bliskich tutaj chociaż na trochę, bo całym sobą czuł, że jedną nogą są już na zewnątrz. Wszyscy, także Sonia tak mocno dotąd związana z tym miejscem. Jeśli z powodu kłopotów postanowi wyjechać na chwilę do rodziny, to będzie bardzo daleko, aż nad samo morze. Kto wie, kiedy wróci? Ludzie dziś łatwo chcą zaczynać od nowa.

Nie miał odwagi nawet na nią spojrzeć. Siedział w fotelu pozbawiony sił i patrzył, jak decyzyje, które kiedyś podjął, a także milczenie, którego nie miał odwagi przerwać, niszczy teraz wszystko, co udało mu się zbudować i to w samiutkie święta.

Trzeba się ratować – pomyślał. – Działać.

Ale czuł strach, bo przecież właśnie to pragnienie, żeby coś zrobić, pomóc, kiedyś na dobre zniszczyło jego relacje z siostrą.

– Usiądźcie, proszę – odezwał się, starając panować nad głosem. – To ostatnia prośba, jaką mam do was, tak sądzę. Nie tylko ze względu na mój wiek, lecz także szereg innych przyczyn. Wszystko tu się za chwilę zmieni, ale jak by na to nie patrzeć, jesteśmy rodziną. Może nam się uda znaleźć jakieś rozwiązanie.

To był piękny wstęp i w jakimś alternatywnym świecie wszyscy zebrani mogliby się z nim zgodzić, nie odzywać, przyjąć, schować głęboko własne uwagi, ustąpić. Tutaj było to jednak niemożliwe. Za dużo mocnych emocji buzowało w każdej osobie.

Pierwsza nie wytrzymała Marta, która najbardziej miała dość niemówienia o swoich potrzebach, ustępowania.

– Kiedyś wspomniałeś, że nie jesteśmy prawdziwą rodziną, pamiętasz? – zaatakowała.

Niestety. Mimo że Ignacy usilnie próbował to ze swoich wspomnień wykasować, tkwiło tam ciągle jak żywe.

– Przepraszam cię – odezwał się. – Już wtedy cię przeprosiłem. Po prostu człowiek w gniewie mówi różne rzeczy. Byłem szczeniakiem zazdrosnym o rodziców.

– Człowiek w gniewie czasem mówi to, czego nie ma odwagi powiedzieć na spokojnie – odparła wcale nieudobruchana jego przeprosinami. – Prawda jest taka, że nigdy nie traktowałeś mnie jak siostrę, a ja nigdy się tak nie czułam. Pytanie, co na ten temat sądzili rodzice? Jak wygląda prawda? Potraktowali mnie, jakbym była ich dzieckiem czy jak obcą? – Spojrzała na niego w napięciu, a wraz z nią wszyscy zebrani w pokoju.

– Nic nie rozumiem. – Adam też miał wyraźnie dość. – Jeśli chcecie rozmawiać wyłącznie między sobą, to może my opuścimy to pomieszczenie. Ja w ogóle chętnie gdzieś bym na chwilę pojechał.

– Spokojnie. – Ignacy wyciągnął w jego kierunku dłoń. Bał się, że jeśli Adam wyjdzie z pokoju, zaraz pozostali zrobią to samo. – Wytrzymaj, proszę, chociaż kwadrans. Tak było – przyznał się szybko.

Kiedyś zaprzeczał, nie chciał wziąć odpowiedzialności za to, co się stało, nie czuł się winny, w końcu miał najlepsze chęci. Ale był już stary, teraz za wszelką cenę chciał naprawić, co tylko jeszcze było do naprawienia. Nie ważne jaką. Nie tylko walczyć o swoje racje.

– Tak było – powtórzył. – Moi rodzice adoptowali siostrę, a ja wcale nie byłem na to przygotowany. Nie rozumiałem, dlaczego chcą nowego dziecka. Myślałem, że to oznacza, że ja im nie wystarczam, nie jestem dość dobry.

Marta odwróciła głowę. Wspomnienia nie były dla niej łatwe. Reszta rodziny słuchała w napięciu.

– Tak się cieszyli, kiedy przyjechała – powiedział Ignacy. – Była taka mała, śliczna, a ja już większy, mniej słodki. Próbowałem udawać, że jestem bardziej dziecinny, ale nikt tego nie docenił. Wręcz przeciwnie, śmiano się ze mnie. To były inne czasy. Nikt wtedy się nie zastanawiał, co czuje dziecko. Nawet na nadejście biologicznego rodzeństwa specjalnie nikogo nie przygotowywano.

– Mieliśmy niełatwy początek – przyznała Marta.

– Potem było jeszcze gorzej – dodał Ignacy. – Mała siostrzyczka szybko stała się duża i zaczęła sprawiać kłopoty, prawda?

– Niekochane dzieci często mają pod górkę – powiedziała Marta. Nie zamierzała słuchać jego wersji w milczeniu. – A ja czułam się od początku niechciana, gorsza od tego pięknego chłopczyka, który był ich prawdziwym dzieckiem. Słyszałam to kilkakrotnie. Ludzie nie gryzą się w język, a ja wtedy w promieniu wielu, wielu kilometrów byłam jedynym adoptowanym dzieckiem, sporą sensacją. Oglądali mnie sobie w szkole, pokazywali w sklepie. Myśleli, że nie widzę, nie słyszę. Wszystko widziałam. Ale skrócimy tę historię. Dorosłam, zakochałam się w chłopaku, który był muzykiem...

– Który był pijakiem! – uściślił Ignacy, gwałtownie jej przerywając. – Grywał na weselach, może i ładnie śpiewał, ale nie miał nic! Za to chętnie spotykał się z różnymi kobietami i nigdy mu nie było mało ich towarzystwa. Co chwilę go widywano z jakąś nową, aż w końcu padło na moją siostrę.

To wspomnienie ciągle pozostawało żywe. Zacisnął usta. To okropne uczucie, kiedy trzeba patrzeć, jak ktoś bliski jest w niebezpieczeństwie, ale nie słucha ostrzeżeń.

– Może tak było – wtrąciła się Marta. – Ale nie wiesz, że połączyło nas coś prawdziwego, wyjątkowego...

Lidia i Markus spojrzeli na siebie.

– Nie dałeś nam szansy... – zakończyła Marta.

– Dziewczyno! – zawołał Ignacy. To była ta jedyna rzecz, której był całkowicie pewny. – On się zapił, rozumiesz? Ta drewniana chałupa, w której mieszkał, się zawaliła. Tam byś mieszkała pewnie z siódmką dzieci, w biedzie i w poniżeniu. Miałem rację!

– Tego nie wiesz – odparła ze spokojem, który go wyprowadzał z równowagi. – Nigdy nie wiadomo, jak potoczyłby się jego los, gdybyśmy zostali razem. Może by się inaczej zachował...

Ignacy tylko przewrócił oczami. Był wściekły.

– Dlaczego ta historia ciągle się powtarza? Czemu kobiety ciągle wierzą, że mogą zmienić mężczyznę?! – zawołał.

– Bo może to prawda – odezwał się nagle Adam. – Nie pamiętasz, co się stało z naszym życiem, kiedy przyjechała tutaj Sonia?

– Kuźwa! To nie o to chodzi – zdenerwował się Ignacy. Ten argument mu się nie podobał. Ta sytuacja była inna.

– Tylko że nie wiadomo, czemu ona to zrobiła. – Adam wcale nie myślał teraz o wydarzeniach z młodości ojca. Lecz o sobie. W jego głosie po raz pierwszy usłyszeli cynizm. – Skąd u niej taka decyzja? Przed kim uciekała? Kogo tak naprawdę kochała, bo chyba nie mnie?

– Spokojnie! – zawołał Ignacy, a potem spojrział na okno. Czuł, jak wszystkie sznurki wymykają mu się z rąk. Nie panował nad sytuacją. Potrzebował wsparcia.

Ale bogowie go nie kochali. Gdyby tak było, siła jego pragnienia sprawdziłaby mnóstwo śniegu. Tak łatwo tutaj o odcięcie dróg. Górską trasą prowadzącą od ich domu do miasteczka wiodła przez głęboki wąwóz. Kiedy sporo padało, bardzo szybko stawała się nieprzejezdna. Zwłaszcza dla takiego wypożyczonego w Krakowie delikatnego samochodziku, jakim Markus tutaj przyjechał. Adam swoim jeepem mógł oczywiście odjechać szybciej, ale on był ostatni na liście uciekinierów. Pierwsze to Lidia i Sonia. Chciał je zatrzymać, jeszcze chociaż przez chwilę. Ten atak Adama mu się nie podobał.

– Proszę was, dajcie mi jeszcze chwilę, opowiem wszystko, a potem zdecydujecie, co będziecie chcieli zrobić i... – dodał z trudem – ...jeśli ktoś zechce opuścić ten dom, to oczywiście nikt go siłą nie zatrzyma.

Wszyscy spojrzeli po sobie, nie mogąc uwierzyć, że takie słowa w ogóle padły i w grę wchodzi podobna możliwość. Coś nieprawdopodobnego.

– Wyrzuciłem gościa za drzwi... – zaczął.

– Powiedziałabym inaczej – odezwała się Marta. – Stłukłeś go kilka razy.

– Czy to coś dziwnego? – oburzył się Ignacy. – Przyszedł pijany.

– Nie! – zawołała Marta. – Po prostu po jednym piwie. Jesteś przewrażliwiony! Byłeś przewrażliwiony! Nie miałeś prawa tak go potraktować.

– Miałem! – odparł stanowczo. – Ciągle się kręcił na podwórku. Powiedziałem mu, że Marta nie chce go widzieć na oczy – dodał szczerze. – No i w końcu przestał.

– Nie przestał – odezwała się cicho jego siostra. – Po prostu spotykaliśmy się gdzie indziej. Cały czas. Także wtedy, kiedy znalazłeś mi takiego wspaniałego narzeczonego.

Historia zrobiła się na tyle zawiła, że nawet Adam oparł się trochę wygodniej. A siedział cały czas wyprostowany, jakby był gotów zerwać się i wyjść.

– Nie rozumiem. – Markus spojrzał na swoją babcię. Był zaskoczony całą tą opowieścią.

– Znaleźli mi chłopaka – wyjaśniła – żeby mnie pocieszyć, zająć albo może mieć z głowy? Nie mam pojęcia. Różne miałam myśli. Przychodził do nas, jadł kolację głównie z rodzicami i oczywiście z Ignacym, z którym wspaniale się rozumieli i powinni byli wspólnie założyć rodzinę. Na pewno byliby szczęśliwi.

Ignacy się skrzywił. Ciągłe go bolało, że siostra nie doceniła takiego świetnego pomysłu. Czas niczego w tej kwestii nie zmienił.

– Ja tylko siedziałam przy stole – opowiadała Marta. – Nie wiem, ile razy byliśmy sam na sam. Dwa, może trzy? Po prostu rozmawialiśmy. Kiedy matka i ojciec, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, poszli gdzieś do gospodarskich zajęć. Nigdy mnie nie pocałował, raz tylko uściśnął mi rękę i tyle. Ale rodzina uznała, że jesteśmy piękną parą i trzeba nam wyprawić ślub. Nie wiem, jak wam to, młodym, dzisiaj wytłumaczyć – spojrzała na Lidię i Markusa – jak bardzo kiedyś byliśmy zależni od rodziców. Jak mocno nienauczeni mówić, co naprawdę myślimy. Zresztą kiedy ktoś próbował podjąć samodzielną decyzję, kończyło się jak w przypadku Michała. – To imię wypowiedziała z czułością. – Ktoś interweniował, bywało, że brutalnie, ojciec, bracia, i zaraz pokazywali dziewczynie, gdzie jest jej właściwe miejsce. Co może, a czego jej nie wolno. Może więc bym nawet za tego narzeczonego, którego Ignacy mi znalazł, wyszła. Byłam tak zahukana, nieśmiała, niepewna siebie, że być może nie zdołałabym zatrzymać całej tej rozpędzonej maszyny przygotowań weselnych rodziców, którzy już się co do wszystkiego umówili. Tylko że nagle okazało się, że jestem w ciąży...

Sonia i Adam spojrzeli po sobie. Tak, oni też pobrali się, bo nagle okazało się, że będą mieli dziecko.

– Mój narzeczoney by się nie zorientował – dodała Marta. – Był tak nieprawdopodobnie naiwnym, niedojrzałym, nieśmiałym chłopakiem, że gdyby ślub wyprawiono dostatecznie szybko, na pewno nie skojarzyłyby faktów.

– Był dobrym człowiekiem – odezwał się Ignacy z naciskiem. – To najważniejsze. Bez nałogów, pracowitym.

– Był dzieckiem – odparła Marta. – I nie mam co do tego wątpliwości. Żadnej decyzji nie podjął sam, poddawał się woli rodziców, jeszcze bardziej bezwolnie niż ja.

– Zakochał się w tobie.

– Może – przyznała z westchnieniem. – Może to go trochę usprawiedliwia. W każdym razie ojcem mojej córki jest Michał. Męża poznałam dopiero kilka lat później i niestety nie uniknęłam swojego losu. Wyszłam za mąż raczej z rozsądku, chciałam zapewnić dziecku bezpieczeństwo, dom. Wyjechaliśmy oboje do Niemiec. Antek był dla nas dobry. Twoje marzenie, Ignacy, się spełniło, dostałam męża z rozsądku, ale zniszczyło mi to życie.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza, jeśli nie liczyć pięknej kolędy *Lulajże Jezuniu*, która dochodziła zza drzwi śpiewana nawet całkiem czysto przez liczne rodzinne grono.

Markus mrugał powiekami. Nie miał o tym wszystkim pojęcia. Nie raz w rodzinie żartowano, że obojgu rodzicom słoń nadepnął na ucho, a tu, proszę, dziecko od małości takie uzdolnione. Śpiewał przecież już w przedszkolu, uwielbiał to robić. Szkołę muzyczną skończył z lekkością, bez żadnego przymusu, występowanie na scenie szybko stało się jego pasją.

Kim był ten nieznany dziadek, który też miał talent i pewnie kochał muzykę, ale ponieważ urodził się w złym miejscu i w nieprawidłowym czasie, nigdy nie miał okazji, by w pełni wykorzystać swój potencjał? Ignacy powiedział, że się zapił. To wśród artystów tamtych czasów dość powszechne. Markus zacisnął usta. Zrobiło mu się ogromnie przykro.

– Czy on tu gdzieś jest? – zapytał, patrząc na Ignacego. – W sensie, pochowany?

– Tak – odpowiedział nieuważnie dziadek Lidii skupiony na innych myślach.

– Ktoś dba o jego grobowiec?

– Nie wiem tego. Facet nie miał rodziny, więc gdzieś pewnie niszczeje.

– Miał i ma! – zawołał Markus z mocą, a Lidia aż drgnęła. Współczuła mu. Rozumiała, co on czuje. Ale nie mogła wybaczyć, że tak ją wykorzystał.

– Dobrze, może i ma. – Ignacy polubownie kiwnął głową w jego stronę.

Nie chciał się kłócić, choć był zły, że ten Michał, którego tak bardzo nie znosił, na którego nie mógł patrzeć aż do ostatnich dni tego mężczyzny, bo obwinił go o problemy swojej siostry, że ten Michał wyrasta teraz na bohatera. Bo nikt nie zdołał się przekonać, jakie byłoby z nim życie i jak by to naprawdę wyglądało. Gdzie byłby Markus teraz, gdyby tutaj został? Nagle przeszło go takie niedobre poczucie, że z całą pewnością nie da się powiedzieć, że byłoby to gorsze miejsce. Tego się nie wie.

– Do brzegu – powiedziała Marta. – Wszystko, co najważniejsze, myślę, że już wiemy. Pozostało ostatnie pytanie, co zrobili rodzice? – Mimo że była nastawiona, że odważnie będzie mówiła o tym, co myśli, nie zdołała powiedzieć „nasi”. Bała się, że za chwilę okaże się, iż wcale tak nie jest. Mama i tata należeli wyłącznie do Ignacego, co gdzieś podświadomie czuła całą sobą przez całe życie. – Wiem, że był testament – powiedziała do Ignacego. – Odkąd odeszłam, nigdy nie oglądałam się za siebie, nie wróciłam tu, niczego nie sprawdziłam. O ich śmierci dowiedziałam się przypadkiem, a ty mnie nie szukałeś.

– Owszem, robiłem to – odparł Ignacy zimno. – Zadbaliśmy o to, żeby dobrze zatrzeć ślady. Chciałem ci powiedzieć, że tata choruje, ale nie mogłem cię znaleźć. Znowu. Nawet nie wiesz, jaki to był dla nich szok, kiedy w dniu wesela rano nigdzie cię nie było. Jaki to jest strach! Szukała cię nawet policja. Jaki potem wstyd, kiedy okazało się, że znaleziono cię żywą, zdrową, zadowoloną i powiedziałaś im, że po prostu odeszłaś, masz prawo.

Czuł, że jeśli powie jeszcze jedno słowo, pokłóca się jak kiedyś. Okropnie skakali sobie do oczu jako młodzi ludzie, na każdy temat mieli odmienne zdanie. Ale tak jak Marta była zdecydowana zaważać o swoje prawa, tak on ponad wszystko nie chciał już nikomu robić więcej krzywdy. Zrobił jej wiele, stanowczo zbyt wiele.

– Dokumenty są w szafie na górze. – Wskazał brodą regał. Jedna z szafek była zawsze zamknięta na klucz. – Jest tam testament, wpis do księgi wieczystej i akt własności.

– I co jest na nim napisane? – nie wytrzymał Adam. – Dlaczego ja jeszcze o tym nie wiem?

– Dom i gospodarstwo należą w równych częściach do mnie i do Marty – wyjaśnił powoli Ignacy. – Nie mogę niczego sprzedać, nikomu zapisać bez jej wiedzy i zgody. Jesteśmy współwłaścicielami. Nie jest to podzielone na pół, lecz wszystko należy do nas wspólnie.

Marta zamrugła powiekami. Wzruszenie złapało ją za gardło. Tak przypuszczała, ale nie miała pewności. Rodzice jednak ją kochali, potraktowali jak córkę.

– Oczywiście możemy się porozumieć – mówił dalej Ignacy, nawet nie patrząc w jej stronę. – Ale ja sam nie jestem w stanie podarować tego miejsca mojej wnuczce, choć bardzo bym chciał. Nie mogłem także kiedyś zrobić tego w stosunku do Soni, chociaż dałem jej nadzieję. Tak to wszystko ująłem, żeby uwierzyła, że kiedyś będzie ich. Może tu gospodarować jak u siebie, inwestować, remontować. Tymczasem jest inaczej i niestety wszystko, cała wasza praca, to, co włożyliście, także w połowie należy teraz do Marty.

Lidia usiadła pod ścianą. To był znak rozpoznawczy tych świąt. Różne osoby robiły to z odmiennych powodów. Niektórzy tak dobrze się bawili, a innym nogi uginały się z nadmiaru emocji.

– A więc to tak?! – zawołała. – To stąd te dobre rady, żebym miała zawód i skończyła studia! Wiedzieliście? – zapytała rodziców.

– Trochę – odparła Sonia. – Nie wszystko. Nie całą prawdę. Tylko że coś jest z dokumentami nie w porządku, że sprawy nie są przeprowadzone jak należy.

– Gdybyś wiedziała, jak jest, pewnie byś za mnie nie wyszła. – Adam spojrzał na nią, a ona tylko się skrzywiła i nawet mu nie odpowiedziała. Żle się między nimi działo.

– Ja już nie mam więcej sekretów – odezwał się Ignacy. – I niczego też już przed wami nie ukrywam. Tak było. Postąpiłem, jak uważałem wtedy za najbardziej słuszne, przegrałem.

Po tych słowach zapadła cisza. Ignacy miał urodziny, były święta, Wigilia. Bardzo liczył na to, że najbliżsi podniosą głowy, uśmiechną się do niego, powiedzą: „rozumujemy, wybaczymy”.

Nie doczekał się jednak tego.

Najpierw Lidia spojrzała na Martę.

– Pani wiedziała, prawda?

– Nie miałam pewności – odparła kobieta – ale się spodziewałam.

– Specjalnie tu pani przyjechała? Markus panią przywiózł!

Rozpłakała się, a potem szybko wybiegła z pokoju. Marta nie zdążyła nawet odpowiedzieć. Spojrzała na wnuka, licząc na to, że za nią pobiegnie, wyjaśni to nieporozumienie, ale on wciąż siedział w tym samym miejscu i patrzył na swoje kolana. Zacięty, smutny i wyraźnie zły. Kolejny raz wszyscy goście zobaczyli zapłakaną wnuczkę jubilata i znów nikt nie odważył się zapytać, co właściwie się stało.

– Kłótnie młodych – powiedziała matka Soni, a pozostali pokiwali głowami ze zrozumieniem. Tak bywa.

Lidia wbiegła do swojego pokoju i zaczęła się pakować. Zamknęła nawet drzwi od środka, żeby nikt jej przypadkiem nie przeszkodził, nie przyszedł i nie zaczął niczego tłumaczyć. Jak na jeden wieczór miała dość wyjaśnień. Potem porwała torbę, zbiegła po cichu po schodach, weszła do przedpokoju, włożyła buty, kurtkę, po czym wyprowadziła z szopy rower. Dobrze, że ta Gwiazdka była zielona, można było bez problemu z niego skorzystać. Potem ruszyła drogą w dół.

Nie miała pojęcia, jak dziś dostanie się do Krakowa, co w ogóle jeździ, czy jest jakikolwiek autobus. Nawet w normalne dni był problem z połączeniem, ale teraz o tym nie myślała. Wolałaby iść piechotą, niż wrócić do domu.

Dlaczego Markus nie zaprzeczył?! Nie odezwał się, kiedy wypowiadała te słowa? Miała nadzieję, że się myli, dopuszczała do siebie taką nieprawdopodobną, ale przecież możliwą okoliczność, że to po prostu przypadek. Markus naprawdę nie wiedział, gdzie dokładnie urodziła się jego babcia. Teraz jednak nie miała już wątpliwości. Nawet się nie bronił, nie zależało mu na niej choćby w tak niewielkim stopniu, by próbować coś wyjaśnić.

Rozdział 24

Brat Soni zajrzał do pokoju Ignacego z zapytaniem o cukier. Ledwo tylko o to poprosił, Sonia zerwała się i poszła do gości. Uśmiechnięta, pełna zapału jak zawsze. Nie dała po sobie poznać, co się wydarzyło. Nie chciała, by inni dowiedzieli się o rodzinnych kłopotach.

Adam patrzył za nią i oczom nie mógł wierzyć, że tak w ogóle można. Podnieść się w sekundzie i zająć innymi sprawami w taki sposób, że nikt postronny nie jest w stanie się zorientować, że coś ważnego się wydarzyło.

Ta obserwacja nie była przyjemna. Zaczął się nagle zastanawiać, ile prawdy jest w wizji szczęśliwej rodziny, którą przez tak wiele lat żył. W jakim stopniu w ogóle zna swoją żonę? Czy zawsze tak udawała? To go zmroziło. Wstał i ruszył za nią. Musiał się dowiedzieć prawdy.

Markus wciąż siedział pod ścianą w tym samym miejscu, co na początku. Patrzył na dwoje starszych ludzi na końcu życiowej drogi i bardzo intensywnie myślał. Co sprawiło, że dzisiaj dopadło ich okropne poczucie, że źle pokierowali swoim życiem? Nie oceniał, nie miał żalu, próbował pojąć, co się tutaj tak naprawdę wydarzyło.

Ale Ignacy widać był w zupełnie innym punkcie, bo ledwo tylko za synową i synem zamknęły się drzwi, natychmiast naskoczył na Markusa.

– Widzisz, co zrobiłeś?! – zawołał. – Wszystko zniszczyłeś! Żyliśmy w spokoju tak długo, to było wyjątkowe miejsce! Dopóki do nas nie przyjechałeś!

Marta drgnęła gotowa do tego, by natychmiast bronić wnuka, lecz Markus nie dał się sprowokować. Drugi raz rzucono mu to okropne oskarżenie w twarz. Ale był już spokojniejszy, co nie znaczy, że to nie zabolęło. Odpowiedział zgodnie z tym, co na ten temat myślał i czuł. Bez urazy, która pchała się do niego z wielką siłą.

– Zniszczyłeś, naprawiłeś... – Spojrzał na dziadka Lidii. – Cienka granica między tymi słowami.

Gniew Ignacego opadł tak szybko, jak tylko się pojawił. Nie spodziewał się tego. Ten silny starszy nagle mężczyzna zaczął płakać. On też miał swoje granice.

– Co ja mam teraz zrobić?! – zawołał bezradnie. – Jak to naprawić? Jest na wszystko za późno. Majątkiem zawsze można się podzielić, nawet domem, to nie taka trudna sprawa, ale jeśli związek się rozpadnie, rodzina zniszczy, to koniec.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz czuł się tak bardzo opuszczony jak teraz. Kompletnie sam.

Wtedy niespodzianie Markus wstał. Podszedł do niego, a potem pochylił się i go objął.

– Są święta, masz urodziny – powiedział cicho. – Prawda na początku boli, ale ostatecznie zawsze pomaga. Cieszę się, że mój dziadek był artystą. Dostałem od niego taki talent.

Ignacy aż się w sobie skulił gotowy na cios. Czekał na pretensje. To przecież przez niego rodzina nie mogła być razem, to przez niego nigdy nie mogli się przekonać, jakim ojcem i mężem byłby Michał.

– Ale jedno ci powiem. – Markus znowu go zaskoczył. – Dobrze zrobiłeś. Moja babcia może mówić różne rzeczy, kierują nią emocje. – Marta się wyprostowała, kiedy to usłyszała. – Jednak miała dobre życie. Wyszła za mąż za przyzwoitego człowieka, mieszka spokojnie, ma koleżanki, dziecko, wnuka. Jest potrzebna. Widzisz, w jakiej jest dobrej formie. Z tym artystą alkoholikiem raczej nic dobrego by jej nie spotkało. Jasne, nie można powiedzieć w stu procentach, to niemożliwe, ale prawdopodobieństwo

ogromne. Tu nie było dobrego wyjścia. Może mogłeś to załatwić inaczej, może lepiej. Ale zrobiłeś najlepiej, jak umiałeś.

Ignacy próbował otrzeć łzy. Był mężczyzną. Poza czasami wczesnego dzieciństwa nigdy nie płakał. Przeżył niejedną ciężką chwilę, ale to, co się z niego teraz wydobywało, to były łzy dziesięcioleci. Niewypowiedzianych emocji, nieprzeżytego bólu, wyrzutów sumienia, żalu. Właściwie nie wiadomo do kogo.

Płakał i płakał, a Markus cierpliwie czekał. Nie robił min, nie przewracał oczami tak jak Marta, która dla tego wybuchu emocji zupełnie nie miała zrozumienia. Pozwolił, aby dziadek Lidii płakał tak długo, jak potrzebował. A trwało to sporo czasu.

Wreszcie Ignacy się uspokoił. Markus jeszcze dłuższą chwilę go przytulał. Starsi ludzie tak bardzo potrzebują takiej czułości. Wszyscy kołyszemy w objęciach dzieci, potem dają sobie bliskość nawzajem ludzie w sobie zakochani, później jeszcze dzieci przytulają się do rodziców, ale z czasem tego bliskiego kontaktu w życiu człowieka zaczyna być mniej. Wnuki rosną, nikt już nie przytula dziadka czy babci, a przynajmniej nie tak długo, jak wymaga tego potrzeba bliskości, którą nosi w sobie każdy człowiek.

Ignacy czuł się dziwnie. Dostał wsparcie od człowieka, od którego najmniej się tego spodziewał i nawet nie miał na myśli Markusa. Odnosił takie przejmujące wrażenie, jakby to Michał, ten wyrzucony kiedyś nie tylko z tego domu, lecz także odrzucony przez całą społeczność nieszczęśliwy człowiek przyszedł dzisiaj i powiedział mu: „Rozumiem cię”. To było niezwykle wzruszające doświadczenie.

Marta chyba zupełnie inaczej to odbierała, ale też z zaskoczeniem wpatrywała się we wnuka.

– Nie bój się o Sonię i Adama – odezwał się Markus po chwili. – Pogadają, wyjdą z tego silniejsi. Ty też. Jakoś podzielicie te hektary.

Ignacy już się wyprostował. Wytarł szybko policzki, zebrał wszystkie siły. Chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył.

– Najgorzej mam ja – odezwał się Markus, a oboje starsi ludzie siedzący tuż obok zamarli. – Jak to się u was w Polsce mówi, konia z rzędem temu,

kto przekona Lidie, że nie miałem pojęcia, kim ona jest, kogo odwiedzam po koncercie. Że nie wybrałem tej dziury specjalnie! Nie zaplanowałem przyjazdu mojej babci, która rozwalila system!

W pokoju zapadła cisza. Nawet głosy gości bawiących się obok stały się bardziej przytłumione. Ignacy i Marta spojrzeli tylko na siebie. Marta otworzyła usta, ale ona też nie zdążyła zareagować.

– Babcia nigdy mi nie opowiedziała prawdy o sobie! – zawołał Markus. – Przecież gdybym ją znał, byłbym ostrożniejszy. Nawet nie wymieniła nazwy miejscowości, gdzie się urodziła. Nie przyznała się, że jej mąż nie był moim dziadkiem.

– Umarł, zanim się urodziłeś, więc jakie to ma znaczenie?! – Marta próbowała się bronić.

– No widzisz, ma. Okazało się nagle, że ma. Nie planowałem się zakochać! – powiedział do niej. – Doskonale znałaś moje poglądy. To ty mnie ciągle przekonywałaś, jakie to super, gdybym był w prawdziwym związku. To jestem. Albo już nie jestem – uściślił z żalem. – Lidia martwi się o każdego. O dziadka, rodziców, swoich braci, jak to na nich wpłynie. A o sobie pomyśli na końcu. O mnie być może już nigdy.

– Nie rozumiesz! – zawołał Ignacy. – To były inne czasy.

Markus, który wstał i zamierzał wyjść, odwrócił się w jego stronę.

– Ja nie mam żalu o to, jakie podejmowaliście decyzje – powiedział. – Rozumiem cię dużo lepiej, niż przypuszczasz. Rozumiem babcię, rozumiem nawet moją mamę i ojca. Mam pretensje tylko o to, że mi nie powiedzieliście prawdy. Ale to już teraz mój problem. Dogadajcie się – dodał na koniec. – A potem idźcie do gości. To święta. Nie zasługują, żeby całkiem je zniszczyć. Ta rodzina też na to nie zasługuje.

Wyszedł z pokoju Ignacego, czując w sobie chłód i opanowanie. Wynikało z tego, że nie miał już za bardzo o co walczyć. Mógł oczywiście w emocjach wsiąść w samochód i szukać Lidii. Był jednak przekonany, że ona z nim nie porozmawia. A nawet jeśli, to mu nie uwierzy. Same wyjaśnienia nie mogły tego sprawić.

Rzeczywiście należeli do dwóch światów i to, co kiedyś wydawało mu się przeszkodą, na którą nie ma co zwracać uwagi, teraz okazało się istotne. Mało się znali. Na pewno nie na tyle, by uwierzyć sobie na słowo w ważnej sprawie.

Nigdy jej nie okłamał, mówił nawet więcej prawdy, niż powinien, przyznał się do swoich poglądów i teraz miał ogromne poczucie niesprawiedliwości, że to właśnie on został oskarżony o kłamstwo. Zawsze mu się wydawało, że to takie proste. Masz problem, to po prostu z kimś pogadaj i wyjaśnijcie sobie. A teraz siedział za kierownicą samochodu i nie mógł ruszyć z miejsca.

Ogarnęło go wielkie poczucie niemocy.

Rozdział 25

Adam nie zdołał przejść przez wypełniony gośćmi salon. Złapał go jeden z wujków, coś zaczął opowiadać. Wszyscy tu już tęsknili za gospodarzami, którzy gwałtownie zniknęli im z oczu. Ignacy, jego syn i synowa, Lidia, Markus i jego babcia. Spora grupa.

Adam był człowiekiem uprzejmym, gościnnym, nienawykłym do tego, żeby stawiać na swoim ponad wszystko, a także do zwierzania się ze swoich osobistych przeżyć. Usiadł więc za stołem, wziął do ręki kubek z herbatą, który ktoś mu podał, i zaczął uczestniczyć w rozmowie. Kiwał głową, kiedy trzeba i uśmiechnął się. Coś go jednak z żoną łączyło. Też umiał udawać.

Sonia sprzątała ze stołu, stawiała kolejne czajniki wody, parzyła kawę i też słuchała wszystkiego, co do niej mówiono. Nawet odpowiadała z sensem.

Ale myślała ciągle tylko o jednym. Najpierw chciała się obrazić na Adama. Pierwszy odruch był bardzo silny. Czuła się zraniona. Potem jednak przyszła refleksja.

Przez wiele lat z każdej strony słyszała, jaką jest wspaniałą żoną, jak idealne stworzyli małżeństwo. Przywiązała się do tej myśli. Polubiła ją. Oboje z Adamem utrzymywali ludzi w takim przekonaniu. A przecież ono nie było prawdziwe. Mieli swoje problemy jak wszyscy i chyba przyszedł moment, żeby się do tego przyznać. Nie chciała psuć tej pięknej legendy. Wydawało jej się, że to najcenniejsze, co dała swoim dzieciom. Ale ból na twarzy Lidii uświadomił jej, że za utrzymywanie pozorów płaci się wysoką cenę.

Nakładła sprawnymi ruchami kolejne porcje ciasta na talerz i jednocześnie zastanawiała się, co teraz będzie. Czego chce najbardziej. To ważne zadać sobie czasem takie pytania i znaleźć na nie odpowiedzi.

Chciała pozostać w tym domu, bez względu na to, jak się to formalnie ułoży. Nawet jeśli trzeba będzie kogoś spłacić. Była szczera. Lubiła gospodarstwo, rośliny i pieczenie chleba. Co najważniejsze, kochała swojego męża, nawet jeśli nie było to uczucie od pierwszego wejrzenia. Stłumiła więc w sobie to gwałtowne pragnienie, żeby mu różne rzeczy wykrzyczeć w twarz. Wzięła w ręce dwa talerze z piernikiem, położyła je przed nim na stole, po czym usiadła mu na kolanach.

Zaskoczyła go.

– Nie jestem taka fajna, jak sądziłeś – wyszeptała mu do ucha, a jej mama aż się wzruszyła na ten widok. Nie miała pojęcia, o czym oni sobie szepczą. Jakie mają problemy. Oceniała po pozorach. Podziwiała ten związek. Tak wiele małżeństw się rozpada, a oni wciąż zakochani. Po tylu latach.

– To ja nie byłem taki fajny, jak mi się wydawało – odparł Adam równie cicho. – Nasza córka też potrafi nieźle dać w kość.

– Ma to po nas. – Sonia uśmiechnęła się słabo. Martwiła się o Lidie. – Nawet nie chcę myśleć, co nas czeka za rok, dwa, jak chłopcy się usamodzielnia i zaczną podejmować swoje decyzje.

– Będzie nieidealnie – odparł Adam z westchnieniem. – To charakterna rodzina – dodał. Chciał powiedzieć coś zupełnie innego. Jeszcze chwilę temu miał w sobie mnóstwo żalu. Dotarło do niego w pełni, że nie wszystko w jego małżeńskiej historii jest prawdziwe i nie wszystko szczere. Ale teraz mu przeszło. Wolał mieć tyle, ile jest, niż nic. Bo ten nieidealny związek i tak był najlepszym, co go w życiu spotkało.

Wepchał więc sobie do gardła wszystko to, co mu się cisnęło na język już od dłuższej chwili i co sobie w gniewie zaplanował wykrzyczeć żonie w twarz. Zamiast tego wpakował do ust solidny kawałek piernika. Szybko okazało się, że to była całkiem dobra decyzja i lepszy wybór. Do talerza

z ciastem podbiegli obaj ich synowie, którzy jakimś magicznym sposobem zdążyli zgłodnieć mimo bardzo obfitej kolacji, jaką dopiero co pochłonęli.

– Pyszne, mamó! – zawołał Bartek z pełnymi ustami. Adam się uśmiechnął. Nie miał nawet ochoty go strofować, żeby najpierw przełknął, a potem mówił. Ciągłe mu na to zwracali uwagę. Jak na razie nie osiągnęli w tej kwestii żadnych pedagogicznych sukcesów.

Było dobrze.

Pozostawało tylko pytanie, czy Lidia kiedykolwiek im wybaczy. Bez odpowiedzi.

A także czy on wytrzyma. Sonia nie opowiedziała mu wszystkiego. Bał się, że choć bardzo pragnie zgody, ciekawość może nie dać mu spokoju. I kiedyś znowu dojdzie do wybuchu.

Nagle w drzwiach salonu stanął Ignacy. Podpierał się mocno na lasce, a z drugiej strony pod ramię prowadziła go Marta.

– O, jesteś! – ucieszyli się goście, a ci, którzy dotarli później, szybko ustawili się w kolejce, by składać życzenia.

– Muszę usiąść – powiedział Ignacy, małymi krokami podchodząc do kanapy. Natychmiast zrobiono mu miejsce. – Cieszę się, że dałem radę wstać – powiedział do Soni. – Mój pesel jest bezwzględny. Skończyłem osiemdziesiąt lat dziś wieczorem. Nie wiem dokładnie, o której godzinie, ale mama opowiadała, że właśnie siadali do skromnej wieczerzy wigilijnej, gdy wszystko się zaczęło. Więc to pewnie jakoś o tej porze. Przekroczyłem tę linię i od razu poczułem się stary. Mam też dla was trochę wieści – dodał, z westchnieniem ulgi siadając na kanapie. Naprawdę było z nim coraz gorzej. Przeszedł parę metrów i już się zmęczył, a jeszcze wczoraj całkiem sprawnie chodził po podwórku. To musi być prawda, że zmartwienie pozbawia człowieka sił o wiele szybciej niż praca. – Ale po kolei – zastrzegł.

Jeszcze się z Martą całkiem nie dogadali, czuł, że kilka kłótni i to siarczystych czeka go w najbliższej przyszłości. Pogodzić to wszystko nie będzie łatwo. Teraz jednak wcale się tym nie martwił. Z tym jakoś dadzą radę.

Powoli przedstawi tę kobietę jako swoją siostrę. Ludzie się przyzwyczajają do nowej sytuacji. Teraz najważniejsze było co innego. Markus miał rację. Te święta nie zasługiwały na to, by je zmarnować, ta rodzina również.

Próbował się dodzwonić do Lidii, lecz się nie udało. Czekał, liczył na to, że wnuczka poradzi sobie, podejmie dobre decyzje. Nie zatrzymał kiedyś swojej siostry, choć jako jedyny widział, jak rano ucieka z domu. Nie miał pojęcia, co sprawiło, że stał wtedy przy oknie jak skamieniały i nie ruszył się z miejsca. Może nie wierzył, że ona naprawdę to zrobi? Liczył, że zaraz wróci?

Trudno dziś powiedzieć. Teraz nie widział, jak Lidia zmierza tą samą dróżką w stronę swojej przyszłości, ale pewnie też by jej nie zatrzymał. Czasem młody człowiek potrzebuje podjąć własne decyzje samodzielnie.

Rozdział 26

Markus klepał się intensywnie po kieszeniach, poszukując kluczy do samochodu. Nie zamierzał czekać na babcię. Była teraz u siebie, mogła tutaj spędzić więcej czasu. Potrzebowali go wszyscy, bo spraw do omówienia pozostało sporo. On natomiast się spieszył. A teraz nagle gdzieś je zapodział, choć jeszcze przed momentem otwierał nimi drzwi.

Wysiadł, bo zaczął się obawiać, że gdzieś mu wypadły.

– Hej! – usłyszał za sobą głos i odwrócił się gwałtownie. – Jedziesz jej szukać?

To była Ada. Nie miał pojęcia, jak wiele wie i rozumie z sytuacji, która właśnie się tutaj rozegrała, ale coś musiała podsłuchać, pewne rzeczy sobie poskładać, bo patrzyła na niego, jakby ta decyzja nie była dla niej zaskoczeniem.

– To chyba nie ma sensu – odparł. – Lidia nie chce już ze mną gadać. Nie mam też pojęcia, dokąd pojechała. Na myśl przychodzi mi tylko ten wasz hotel.

– A daj spokój. – Ada machnęła dłonią. – W święta jest zamknięty.

– Jak to? – zdziwił się. – Przecież to w interesie najlepszy czas!

– Nie u nas. Tutaj w Boże Narodzenie każdy siedzi w domu, a jak ma gości, to śpią u niego. Poza tym Filip z hotelu też przecież ma rodzinę, nie będzie tkwił za barem.

– To nieprawdopodobne, że są jeszcze takie miejsca na świecie. – Markus coraz lepiej znał realia tej małej miejscowości, a jednak wciąż coś go zaskakiwało.

– To twoje miejsce. – Ada się uśmiechnęła i Markus miał wrażenie, że jest z tym sporo satysfakcji.

– Skąd wiesz?

– Dopadłam Adama na schodach – odparła. – Zawsze wiedziałam, jak z niego wyciągnąć informacje. To nie taka wielka sztuka. Jest bardzo prostolinijny. Takiego to nietrudno poderwać. Sonia miała proste zadanie. Ja mam gorzej – westchnęła ciężko.

Markus się uśmiechnął. Sam już zaczął się zastanawiać, na czym ten fenomen polega, że ta świetna dziewczyna skoncentrowana tylko na jednym celu, rzeczywiście jest wciąż sama.

– Nie przejmuj się, spróbujemy ci pomóc – powiedział. – Jeśli ktoś zasługuje na to, żeby się męczyć w związku, to na pewno ty. – Uśmiechnął się. – Czemu masz mieć lepiej niż ja? Zobaczysz, jeszcze dzisiaj przedstawię cię jednemu mojemu koledze! Co masz tak sobie chodzić luzem? Zadowolona jak ja kiedyś? Spróbuj, jak to naprawdę wygląda!

Zaczął w żartobliwym tonie, ale skończył z prawdziwym smutkiem. Bolało.

– Oj, proszę cię, przestań. – Ada podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. – Dogadacie się, wierzę w to. Znam Lidię od dziecka. Czasem fika jak koza, ale to świetna dziewczyna. Nie jest głupia.

– Masz jakiś pomysł, gdzie mógłbym ją znaleźć? – Markus nie potrzebował dużo, żeby zmienić zdanie. Chciał do niej pojechać. Już bardzo tęsknił, choć kłócili się dopiero jeden wieczór, a i to niecały.

– Mogła się schronić tylko w jednym miejscu. W Krakowie. Wiesz przecież, gdzie mieszka.

– No tak. – Kiwnął głową w zamyśleniu. – Myślisz, że dała radę tam dotrzeć?

– Nie sądzę. – Ada nie miała złudzeń co do miejscowej komunikacji. – Pewnie dojechała na rowerze do dworca i teraz siedzi tam zmarznięta, bo wszystko pozamykane, a autobusów w Wigilię oczywiście nie ma. – Otworzyła szybko aplikację w telefonie i sprawdziła. – No nie ma nic bezpośred-

niego – potwierdziła. – Jedźmy tam, uratujemy ją albo zawieziemy do Krakowa.

– My?

– No dobrze. – Ada zatrzymała się z westchnieniem. – Faktycznie mieszkanie jest małe. Nie pokłóćcie się swobodnie w mojej obecności. – Markus bardzo szanował w Adzie to, że zawsze umiała być taktowna. – Ale w drugi dzień świąt do was przyjadę – zapowiedziała się. – Spędzimy ten dzień razem. Inaczej. Bez tych tuczących pierogów i wujków opowiadających w kółko te same historie.

– Myślałem, że lubisz takie święta.

– Owszem – odparła – ale zmiana nie zaszkodzi. Możemy też zrobić rzeczy po swojemu.

Ten pomysł zdecydowanie się Markusowi spodobał.

– Proponuję ci taki układ – powiedziała Ada. – Ja zadzwonię do Lidii, szepnę za tobą słowo, a ty znajdziesz mi kogoś miłego.

W pierwszym momencie Markus poczuł pokusę, żeby się zgodzić. Tak, wsparcie bardzo by mu się przydało. Ale po chwili odwrócił się w jej stronę.

– Naprawdę tego chcesz? Ciągłe szukasz jakiegoś układu – zapytał. – Nie wolisz poczekać, aż spotka cię coś prawdziwego? Jesteś taka fajna.

Te słowa wypowiedział z takim przekonaniem, że Ada aż zadrżała.

– Serio tak sądzisz? – zapytała bezradnie.

Nie miała o sobie zbyt wysokiego mniemania. Ciągłe czuła się odrzucana i na szarym końcu.

– No, jako człowiek, któremu miłość dała w kość, mówię ci: poczekaj! – zawołał Markus pewnym głosem. – Daj się sprawom potoczyć własnym rytmem i zadbaj o siebie. Jeśli uda mi się porozmawiać z Lidią, to w drugi dzień świąt, jasne, przyjedź do nas, ale nie dzwoń do niej na razie. Chcę to załatwić tak, jak powinno być. Bez żadnych podstępów.

– Dobrze, powodzenia. – Poklepała go po ramieniu. A potem ciaśniej związała szalik. Zrobiło się bardzo zimno.

Markus wsiadł w samochód i odjechał. Ada odwróciła się na pięcie i powoli weszła do domu Skalskich. Rada chłopaka Lidii pewnie była słuszna, ale wcale nie taka łatwa do zastosowania. Ada wzięła do ręki pierniczki, oblizała palce z lukru, a potem jak wiele osób dzisiaj usiadła pod ścianą. Słuchała kłóącego się rodzeństwa: Ignacego oraz jego odnalezioną siostry. Słyszała śmiech najmłodszych gości rozrabiających w pokoju. Odetchnęła spokojnie i poczuła, jak trochę opuszcza ją napięcie.

Może faktycznie trzeba dać życiu szansę? Nie spinać się tak bardzo?

Sonia rozdawała właśnie kolejną porcję herbaty i podeszło do niej rodzeństwo, dalecy kuzyni Lidki, dziewczyna i chłopak. Ada mało ich знаła, rzadko tu bywali. Sonia nie lubiła jeździć nad morze do rodziny i nie korzystała z okazji, by spędzać tam wakacje. Wymawiała się sezonem, ale Ada czuła, że pewnie jest w tym jeszcze jakiś inny powód.

– Chcesz? – Jacek, starszy z rodzeństwa podał jej kubek.

– Tak. Siadajcie – zaprosiła ich obok, a potem zaczęli rozmawiać.

Nowa przyjaźń to też coś fajnego na początek – pomyślała, bo sprawiali świetne wrażenie.

Rozdział 27

Tymczasem Markus pokonał szybko stromą drogę prowadzącą obok gospodarstwa Skalskich do miasteczka. Kiedy już z impetem wjeżdżał na główną drogę przekonany, że zaraz dotrze na dworzec, by tam uratować zmarzniętą Lidię, nagle okazało się, że skończyła mu się benzyna.

– Szlag by to trafił! – Po polsku znał nie tylko kolędy, lecz także wszelkie inne, niezbędne w codziennym życiu słownictwo, łącznie z najsłynniejszymi przekleństwami. – Czy to musiało się teraz stać?!

Kontrolka pewnie świeciła się już wcześniej, ale pochłonięty był czymś innym i zupełnie o tym zapomniał. Nie planował dzisiaj nigdzie jechać. Cholerne wypożyczone auto! Miało zupełnie inny czujnik paliwa niż to, którym jeździł zwykle. Nie piszczało, lecz zaledwie dyskretnie mrugało jakimś światełkiem, że bak jest pusty.

No nic, wyciągnął szybko telefon, jakaś stacja benzynowa przecież się znajdzie, nawet w takiej dziurze. Wtedy okazało się, że miasteczko wciąż jeszcze nie wyczerpało swoich opcji zaskakiwania go. Nie miał zasięgu! Auto przejechało jeszcze kilka metrów, dał radę zaparkować na poboczu i to by było na tyle. Stanęło na dobre.

Świetnie! – pomyślał, zaciskając dłonie na kierownicy. – Tego mi właśnie teraz trzeba!

Nawet nie zapytał Ady, gdzie ten dworzec autobusowy. Założył oczywiście, że pokona trasę, którą zna, potem sprawdzi w nawigacji. Technologia, do której tak się przyzwyczaił, odmówiła jednak współpracy. Internet nie działał.

Wysiadł z auta i rozejrzał się. Centrum było niewielkie. Wiedział, że w prawo prowadzi droga do hotelu, tuż obok znajdował się spory sklep,

parking, po drugiej stronie szkoła.

Gdzie może być stacja benzynowa? – zastanawiał się. – Na pewno nie ukryli jej w jakichś trudno dostępnych zaułkach.

Przeszedł w kilka metrów, to w jedną, to w drugą stronę. Nic ciekawego jednak nie znalazł. Rozglądał się, czy ktoś nie idzie chodnikiem, żeby zapytać o drogę, ale cóż, była Wigilia. Każdy o tej porze siedzi w domu, grzeje się przy ciepłym kaloryferze i je pyszne rzeczy w towarzystwie bliskich. Albo przynajmniej próbuje zrobić z tego dnia najlepsze, co tylko jest możliwe. Nikt nie marzy o tym, by marznąć teraz na pustej ulicy.

O rany, o rany, co robić? – zastanawiał się pośpiesznie.

Mógł oczywiście zadzwonić do babci. Ojciec Lidii na pewno by mu pomógł, podjechał z kanistrem, podzielił się benzyną. Ale nie chciał. Wszyscy tam mieli przez niego tyle kłopotów. Kto wie? Może rodzice Lidii też wierzyli, że przywiózł babcię specjalnie, bo się dowiedział, ile warte są działki w tej okolicy?

Na samo wspomnienie tego okrutnego oskarżenia aż zrobiło mu się gorąco, mimo panującej dookoła niskiej temperatury.

Jak ona mogła tak powiedzieć? Jak mogła w ogóle w ten sposób pomyśleć? Znali się krótko, ale sądził, że łączy ich coś wyjątkowego. Wzajemne zrozumienie. Okazało się, że wcale tak nie jest. Przy pierwszej okazji stanęła przeciw niemu i nawet uwierzyła w coś tak okropnego.

Musiał natychmiast przestać o tym myśleć. Istniało bowiem ryzyko, że za chwilę zrezygnuje, wcale do niej nie pojedzie, po prostu spakuje się i polecą do Monachium, zgodnie z tym, co sobie pierwotnie zaplanował.

Wrócił znowu do auta, pochodził chwilę dookoła. W niczym to jednak nie pomogło. Na dodatek zaczął padać śnieg.

Rychło w czas! – pomyślał Markus. – Tam w górach pewnie się ucieszą, ale tutaj oznaczało to kolejne kłopoty. Płatki z nieba leciały duże i gęste. Sprawiały, że widoczność stawała się jeszcze mniejsza. Spadała temperatura i na serio zaczął się martwić o Lidie. Nawet nie miał pojęcia, czy zabrała ze sobą czapkę. Postanowił do niej zadzwonić. Odbierze albo nie. Nie

miał czasu się zastanawiać. Jej bezpieczeństwo było ważniejsze niż wszelkie urazy. Odebrała.

– Cześć – powiedział szybko i konkretnie. Nie chciał się teraz rozkleić. – Mam takie pytanie: gdzie tu u was w miasteczku jest stacja benzynowa?

Zaskoczył ją. Czuł to nawet na odległość. Być może udało mu się nawet dokonać tak niezwyklej sztuki w ich trudnej sytuacji, że wywołał uśmiech na jej twarzy, bo odpowiedziała mu lekkim tonem w sposób, który doskonale rozpoznawał.

– Nie spodziewałam się tego pytania, ale oczywiście chętnie ci pomogę. Gdzie jesteś? – zapytała.

– Stoję na skrzyżowaniu pod szkołą. – Rozejrzał się. Śnieg padał coraz mocniej.

– No to będziesz miał kawałek do przejścia, ale dasz radę.

– Nie ma GPS-u, internet mi wysiadł.

– O, to się często zdarza w tym miejscu – odpowiedziała. – To jest dolinka, ale nie przejmuj się. Przejdiesz kilkanaście metrów w lewo i powinieneś złapać sieć. Stacja benzynowa jest kilometr dalej. Dystrybutory pewnie działają, choć budynek zamknięty. Zapłacisz w okienku, tam zawsze ktoś dyżuruje.

– Dziękuję. Gdzie jesteś? – zapytał. Pewnie gdyby od tego zaczął, może nie odpowiedziałyby mu tak chętnie, ale zwyczajna rozmowa o benzynie wprowadziła w ich relacje trochę dawnego spokoju.

– Liczyłam na autobus. Uber nie działa u nas. Czekam na cud. Może za chwilę wezmę taksówkę, choć nawet nie chcę myśleć, ile to będzie kosztowało.

– Ponoć u was nie ma zbyt wielu opcji.

– Dla wtajemniczonych coś się znajdzie. – Uśmiechnęła się. – Filip mnie podwiezie, czasem sobie w ten sposób dorabia. Nie chcę prosić nikogo z rodziny, całą drogę musiałbym się tłumaczyć, a nie mam siły.

Na myśl o chłopaku z baru Markus miał ochotę zgrzytnąć zębami.

– Będziesz go wyciągać z domu w taki dzień?! – zawołał.

– Nie mam innego pomysłu. Zawsze ktoś z domu mi pomagał, w każdej sytuacji.

– Rozumiem cię. Ja też nie chciałem prosić twojego taty o benzynę...

Znowu żal ścisnął mu gardło i zablokował na chwilę zdolność mówienia. Wszystko mu się przypomniało. „Jak mogłaś w to uwierzyć?!” – miał ochotę zapytać, ale tego nie zrobił.

– Może ja bym się nadał? – zaproponował. – Podrzucę cię do Krakowa i pojedę na lotnisko. Mam po drodze.

Musiało jej być bardzo zimno, bo szybko się zgodziła. Nie dziwił się. Stał na mrozie krócej, a już czuł, że wszystko w nim zamarza.

– Załatwię benzynę i do ciebie dotrę – obiecał szybko.

Rozłączył się, włożył telefon do kieszeni i wraz z nim zziębniętą dłoń, po czym dziarsko ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że w prawidłowym kierunku. Miasteczko było ładnie oświetlone. Takie miejsca mają swój urok, zwłaszcza kiedy zaczyna padać śnieg. W oknach świeciły się światła, w wielu miejscach widać było kolorowe choinki. Świąteczka zawieszono też na ulicznych latarniach oraz w ogrodach.

Ulice wciąż były całkiem puste. Markus czuł się zupełnie sam. Jakby tylko on jeden znalazł się w takiej sytuacji, że musi maszerować chodnikiem w najbardziej wyjątkowy wieczór w roku. Wszyscy inni mają lepiej. Spędzają czas wśród bliskich. Jest im ciepło i miło. A on jeden marznie i nie wie, czy jest jeszcze na świecie jakakolwiek bliska mu osoba. Czy może już wszystkich stracił.

Ale jak się wkrótce okazało, mylił się. Jeszcze inna istota znajdowała się w podobnym położeniu.

Kiedy zrobił kilka kolejnych kroków, na chodniku, przysypanym już białym puchem, zobaczył małego psa. Zwierzak merdał przyjaźnie ogonem, ale sprawiał bardzo marne wrażenie. Zupełnie nie przypominał tego wymarzonego psiaka, którego Markus kiedyś planował sobie kupić. Był to biało-czarny kundelek średniej wielkości, chudy, o wielkich brązowych oczach. Wystraszony, trzymał się na odległość, ale cały czas merdał ogonem.

Markus się uśmiechnął, bo wyglądało to, jakby przód psa dawał zupełnie inny niewerbalny sygnał niż jego tył.

– Chcesz się zaprzyjaźnić, ale się boisz, tak? – Podszedł do niego i próbował pogłaskać. Myślał, że będzie musiał przełamywać pierwsze lody. Ale okazało się, że ten jeden gest życzliwości stęsknionemu zwierzakowi w zupełności wystarczył. Od razu do niego podszedł. – Dobra, chyba popełniłem błąd – wystraszył się Markus. – Słuchaj, ja nie jestem stąd, więc może jednak wracaj do swojego domu. Jest zimno i ciemno. – Szybkim krokiem ruszył w stronę, gdzie według jego przypuszczeń mogła znajdować się stacja benzynowa. Psiak nie odstępował go ani na krok. – Jeśli chcesz, możesz mi kawałek potowarzyszyć, to nie jest duże miasto, na pewno znasz drogę do domu. Nie zgubisz się. Ale pamiętaj, że ja zaraz odjadę.

Trochę kluczyli, szukali, zawracali, zadzwonił jeszcze dwa razy do Lidii i w końcu dotarł na położoną przy bocznej ulicy niewielką stację benzynową. Kupił kanister, nalał benzyny, zapłacił i wrócił. Pies cały czas mu towarzyszył.

Wrócił do auta i ledwo udało mu się wlać benzynę do baku. Z zimna całkiem zdrętwiały mu palce. Kiedy wyjeżdżał z Monachium, świeciło słońce, mimo grudniowej pory temperatury w dzień utrzymywały się na plusie. Nie zabrał ciepłych rękawic. A może to nadzieja na pełne ciepła rodzinnego święta tak go zwiódła?

Teraz marzył od środka i zewnątrz.

Wreszcie udało się wszystko załatwić i czas było ruszać w drogę. Pochylił się nad pieskiem. Pogłaskał go po mokrym grzbiecie. Pożałował, że nie ma nic do jedzenia i nie jest w stanie też kupić, bo wszystkie sklepy były, rzecz jasna, na głucho pozamykane.

Pomachał zwierzakowi, otworzył drzwi samochodu, myśląc głównie o tym, że zaraz włączy ogrzewanie. Odwrócił się, by spojrzeć na zwierzaka trzęsącego się na zimnie, bo nie radził sobie z myślą, że tak go tutaj samego zostawi. Pies natychmiast wykorzystał ten moment zawahania. Jednym susem wskoczył do środka, odbijając się od fotela kierowcy, na fotel pasażera,

a stamtąd na podłogę. Zwinął się w kłębek i tylko spojrzał tymi swoimi wielkimi oczami.

– Ja cię nie mogę. Co ty robisz? – Markus przejechał dłonią po skórzanej tapicerce, żeby wyczyścić ślady łap. – Nie mogę cię zabrać. Tłumaczę ci, że nie jestem stąd.

Pies tylko na niego patrzył. Już wygrał. Markus wiedział, że nie zdoła wyrzucić go siłą na to okropne zimno, które wzmagало się z każdą minutą. Nie mógł się już łudzić, że za chwilę zwierzak znajdzie drogę do domu. Wyglądał na zaniedbanego. Albo mieszkał na ulicy, albo w miejscu bardzo nieprzyjaznym.

– Może Lidia coś wymyśli – powiedział. – Wszystkich tu zna. Nie mogę cię przecież tak zostawić. Jest za zimno.

Pies jakby wszystko rozumiał. Pewnie szybko się zorientował, że trafiła mu się życiowa szansa i wyraźnie był z tych, którzy w takich sytuacjach nie odpuszczają. Markus włączył silnik, zaczął ogrzewać auto, odsnieżył je, bo w ciągu tych krótkich chwil całkiem je zasypało. A potem powoli ruszył w stronę dworca, gdzie, miał nadzieję, czekała na niego Lidia.

– Ona coś wymyśli – powtórzył. – Na pewno wie, komu się zgubiłeś i czy warto tam wracać.

Jechali krótko. Ulice były puste. Nie minęli nawet jednego samochodu, tylko ciągle domy albo bloki i kolorowe światła w oknach. Nad ulicą zawieszony były białe świecące gwiazdy, ładnie teraz błyszczące wśród spadających płatków śniegu.

Ignacy ma swoje wymarzone święta. – Markus się uśmiechnął. – Ciekawe, jak sobie radzą? Czy już sobie skoczyli do gardeł, czy też dają radę?

To pytanie jednak szybko wywietrzało mu z głowy, ledwo tylko skręcił i zobaczył solidny plac zwykle pełen stojących na nim autobusów, a teraz całkiem pusty. Zamknięty budynek dworca wyglądał dość nieprzyjaźnie. Tu nie było żadnych dekoracji, paliły się tylko dwie słabe lampy i w świetle widać było samotną postać skuloną na schodkach. W niewiele lepszym stanie niż znaleziony przed momentem zwierzak.

Kiedy Markus podjechał, Lidia wskoczyła do samochodu równie szybko, co chwilę wcześniej pies. Omal nie doszło do katastrofy, byłaby go zdeptała. Markus nie zdążył jej nawet powiedzieć, że mają dodatkowego pasażera. Tak przemarzała, że myślała tylko o tym, żeby znaleźć się jak najszybciej wewnątrz auta.

– O rany! – zawołała. – A cóż to jest?

– Zwierzę – odparł. – Myślałem, że z nas dwojga to ty lepiej się na tym znasz.

Lidia spojrzała na skuloną pod jej stopami kupkę nieszczęścia.

– Biedaku. – Pogłaskała go po głowie. – Jesteś mokry i brudny – powiedziała z czułością.

– No cóż... – Markus wyciągnął rękę w jej stronę takim samym gestem, po czym odgarnął jej włosy z czoła. – Biedaku – odezwał się takim samym tonem. – Strasznie zmarzałaś. Jesteś mokra. Oboje potrzebujecie pomocy.

Nie odwróciła głowy. Wciąż lubili swój dotyk, dobrze się rozumieli. Jednak leżał pomiędzy nimi kamień. Nie do przejścia.

– Ruszamy w drogę. – Odwrócił się w stronę kierownicy. – Nawigacja na szczęście już się włączyła. – Po drodze do Krakowa mamy kilka stacji benzynowych. Zatankuję do pełna, nakarmimy psa i jedziemy do ciebie. A potem zobaczymy – dodał o wiele smutniejszym głosem.

Trzeba pewnie będzie pogadać. Ale to nic nie da. Cokolwiek by nie wymyślił, zawsze to będzie oznaczało koniec. Czegokolwiek by sobie bowiem nie wyjaśnili, jak by się nie dogadali, Lidia uwierzyła w to okropne przypuszczenie i nic już nie mogło tego zmienić.

Markus jechał powoli. Śnieg mocno sypał, a jak słusznie zauważył Ignacy, jego małe krakowskie auteczko nie do końca było przystosowane do górskich warunków. Milczeli. Lidia głaskała odruchowo psa, a on tulił się do niej coraz mocniej i po chwili zebrał się na odwagę, wskoczył jej na kolana.

Uśmiechnęła się do Markusa.

– Patrz, jaki desperat – powiedziała. – Życie go na pewno mnóstwo razy zawiodło, a on ciągle podejmuje próby. Szuka nowej szansy.

– I chyba tym razem wygra – dodał Markus.

Naprawdę nie zamierzał z nią rozmawiać. Ciągle jednak pojawiało się coś, jakiś pretekst, i odpowiadał. Najpierw benzyna, a teraz ten zwierzak.

– Z nami nie zostanie, ale wiem, że na pewno znajdziesz mu dobre miejsce. Widać warto próbować – dodał, a potem, jakby zaprzeczając sam sobie, odwrócił gwałtownie głowę, zacisnął dłonie na kierownicy i skupił się wyłącznie na prowadzeniu auta.

Nie, nie chciał niczego wyjaśniać. Uważał, że są takie momenty w związku, które przekreślają wszystko. Na czele tej listy znajduje się brak zaufania. Koniec. Nie ma wtedy o czym dyskutować. Napatrzył się dość na nieszczęśliwe związki w swoim życiu, by mieć ochotę na taką przygodę.

Jeszcze mocniej zacisnął dłonie i pochylił się. Nawigacja teraz świetnie już działała, po chwili więc pokazała mu dużą oświetloną stację benzynową.

– Skręcamy – powiedział. – Zatankujemy i spróbuję kupić jedzenie dla tego szczęściarza, któremu się udało wskoczyć na kolana właściwej osoby.

To miał być tylko żart, rzucił go lekko, a potem sam poczuł, jak zrobiło mu się przykro. W pewnym sensie on też to zrobił. Zaufał, spróbował, zaryzykował i przegrał. Jak Ignacy. To ostatnie słowo przypomniało mu dziadka Lidii. Okropne uczucie: podejmujesz jakieś działanie, ufasz, a potem się roztrzaskujesz.

– Może mają nawet jakąś karmę? – powiedziała do niego Lidia. – Czasem na stacji paliw można kupić dość nieprawdopodobne rzeczy. Ja tu z nim zostanę.

– Okej – zgodził się.

Zaparkował przy dystrybutorze, wyskoczył szybko i zaczął wlewać benzynę. Potem poszedł do budynku i dość długo go nie było. Wreszcie wrócił z trzema dużymi hot dogami w dłoni.

– Karmy nie mieli – powiedział. – Wziąłem mu więc parówkę. Szczerze powiedziawszy, na ten zapach mnie też trochę zaburczało w żołądku, choć to dziwne, bośmy się najedli dzisiaj po same uszy. Wziąłem więc też dla ciebie, bo nie wiedziałem, czy nie nabierzesz ochoty.

Hot dogi ze stacji benzynowej mają niesamowity zapach, zwłaszcza jeśli aż trzy sztuki znajdują się w niewielkim samochodzie. Lidia z chęcią wyciągnęła rękę. Pies został poczęstowany i wszyscy wyglądali na bardzo zadowolonych.

– Ten sprzedawca patrzył na mnie z takim współczuciem, jakbym był najbardziej nieszczęśliwą osobą na świecie – odezwał się Markus, przełykając spory kęs bułki. – W Wigilię zamawia facet trzy parówki na stacji. Pewnie nie ma rodziny, nikogo bliskiego, pożałowano mu barszczu. Nawet się nie domyśla, jakiej obfitości myśmy dzisiaj doświadczyli. – Westchnął. – Ale hot dog się zmieści – roześmiał się, a potem znowu błyskawicznie spoważniał.

Ciągle się przy Lidii zapominał. Była mu tak bliska. Chciał się z nią podzielić najdrobniejszą nawet myślą, spostrzeżeniem, przeżyciem. A tu proszę, blokada.

Jedli dalej w milczeniu, potem pozbierali papierki, Markus wyrzucił je do kosza. Wyruszyli w dalszą drogę. Wyglądało na to, że nie odezwą się do siebie aż do samego Krakowa.

– Wiem, że czujesz do mnie żal. – Lidia pierwsza przerwała milczenie. – Ale ja miałam prawo nie wiedzieć. Miałam też prawo zapytać. Ostatnie, co kiedykolwiek w życiu zrobię, to budowanie relacji na tajemnicach i niedomówieniach. Sam wiesz, jak to się kończy.

– Zapytać, owszem. – Markus zaciskał już teraz tak mocno dłonie na kierownicy, że gdyby nie była solidnie zrobiona, istniałaby obawa, że ją zgniecie. – Ale nie rzucać oskarżenia, natychmiast wydawać wyrok, bez żadnych wyjaśnień.

Trochę ją zaskoczył. Faktycznie ludzie w gniewie są tak bardzo osadzeni w sobie, we własnych emocjach, że świata poza tym nie widzą. Ani drugiej

osoby, ani pozostałych okoliczności. Minęło wiele kilometrów, zanim zdołała sobie to na tyle poukładać, by móc mu odpowiedzieć.

– Masz rację – przyznała powoli. – Ale to było niewiarygodne szaleństwo. Rozpętało się gwałtownie i wszyscy potracili głowy. Z jednego przeżycia wpadałam w drugie.

– Tak zwykle działają sytuacje kryzysowe – odezwał się Markus. – Inaczej byłyby czymś zwykłym, a sztuka polega na tym, żeby właśnie wtedy zachować się w porządku. W komfortowych warunkach prawie każdy potrafi.

Była na niego zła. Wymądrzał się, a przecież też go wtedy nerwy poniosły. No, ale nie rzucił jej się do gardła, a ona jemu owszem. Nie pozwoliła niczego wyjaśnić. I jeszcze na dodatek uciekła. Rodziny są ze sobą bardzo połączone. Wydaje się, że stare historie nie mają żadnego wpływu na to, co dzieje się teraz. A przecież sposoby, którymi kiedyś radzili sobie dziadek i jego siostra, dziś odżyły na nowo w zupełnie innych realiach.

Lidia uznała, że kiedy nie może sobie z czymś poradzić, powinna jak najszybciej spakować walizkę i odejść. Marta nie była jej biologiczną rodziną, a jednak odcisnęła piętno na losach rodu. Markus, kiedy miał problem, wziął się, milczał i postanowił nigdy więcej do tematu nie wracać. Zamiast wyjaśnić i zrozumieć. Jej rodzice też milczeli przez całe lata. Musieli coś podejrzewać, znali jakąś część prawdy, snuli domysły, ale żadne z nich nie stanęło do odważnej rozmowy, nie zmierzyli się ze swoim strachem. Bali się, co usłyszą. Nie rozumieli, co kieruje ich działaniem.

Lidia była pierwszą osobą, która mogła zobaczyć z perspektywy czasu, jak takie niedopowiedzenia i tajemnice działają na wszystkich w rodzinie. Jeśli nie chciała być taka sama, musiała teraz wziąć się w garść, opanować swój żal, poczucie krzywdy i spróbować inaczej. To nie było łatwe, bo ledwo co spojrzała na Markusa, wszystko jej się przypominało. Obiecał, że jej nie skrzywdzi, a przyniósł do rodziny prawdziwą katastrofę.

– Naprawdę nie wiedziałeś o niczym? – zapytała, odwracając głowę.

– Nie miałem bladego pojęcia – odpowiedział z trudem. Było mu przykro, że znowu pyta. – W życiu by mi to nie przyszło do głowy.

– To okropne. – Lidia pokręciła głową. – A co by się stało, gdyby Marta faktycznie była siostrą mojego dziadka? Biologiczną? Takie rzeczy przecież też się zdarzają. Ktoś w gniewie trzaska drzwiami, odchodzi na całe lata, potem zakłada rodzinę, ma dzieci i nigdy nie można wykluczyć, że ich córka czy syn spotka kogoś z bardzo bliskiej rodziny, nawet o tym nie wiedząc. Kobiety zmieniają nazwiska, wychodzą za mąż, ludzie teraz przemieszczają się praktycznie po całym świecie i losy bliskich mogą się przypadkowo zetknąć, jak nasze. Dorośli są nieodpowiedzialni, nie mówiąc prawdy swoim dzieciom.

– Dorośli są biedni – odparł Markus. – Nieszczęśliwi, pogubieni. Ja ich nie oceniam, męczą się. Jest nawet takie fajne powiedzonko, wasze polskie. Nauczyłem się go na jednym z przedstawień, tylko muszę sobie przypomnieć. Czekaaj, wiem! Każdy orze, jak może.

Lidia się roześmiała.

– Co wy tam macie w programie nauczania tego konsulatu?

– A zdziwiłabyś się. Najróżniejsze rzeczy. Ale tak jest. Nikt nie przychodzi na świat przygotowany. Każdy żyje pierwszy raz. Rodzice też.

Lidia cały czas głaskała psa, a on zasnął ufnie na jej kolanach. Dawał przyjemne ciepło, choć zmoczył jej kurtkę i wybrudził spodnie. Nie wiedziała, co będzie dalej z tym zwierzątkiem.

– Może ty go weźmiesz? – Spojrzała na Markusa. – Mówiłeś przecież, że chciałbyś mieć psa.

– Ale nie takiego. Chciałem jakiegoś ładnego – odparł szczerze.

– Nie mów tak – oburzyła się. – Obudzisz go i on wszystko zrozumie.

– Ach, proszę cię, kocham zwierzęta, ale to akurat bajki. Może co najwyższej odczytać ton głosu.

– Nie zgadzam się do końca – odparła Lidia. – Wychowałam się na wsi i wiem, że to może wydawać się dziwne, ale wielokrotnie byłam świadkiem sytuacji, w której widać było, jak zwierzę rozumie, co do niego mówisz. Naprawdę.

– Może – zgodził się Markus nieuważnie. Miał tyle myśli w głowie, że nie wiedział, na czym się skupić. – To miał być rasowy piesek – dodał – że-
bym dokładnie wiedział, jaki ma charakter, nie coś przypadkowego. Chciał-
bym mieć pewność, że się będziemy rozumieć.

W tym momencie pies obudził się, podniósł głowę i spojrzał na Markusa.

– Nawet mnie nie denerwuj – odparł chłopak. Miał wrażenie, jakby wła-
śnie świetnie do siebie pasowali.

– A widzisz? – Lidia się uśmiechnęła. – Ja chyba też wpadłam w taką pu-
łapkę. Chciałam mieć idealną rodzinę, idealne życie. Stworzyłam sobie taki
obraz mamy i taty bez skazy, dziadka, pięknego miejsca na ziemi. Wyjątko-
wego związku z tobą, w którym nie będzie żadnych problemów, zawsze bę-
dziemy stali po swojej stronie. A tu proszę.

Markus nagle się zatrzymał na poboczu, aż Lidia się przestraszyła.

– Co robisz? – zawołała. – Czemu nie jedziesz?

– Bo chyba coś zrozumiałem – odpowiedział, patrząc jej w oczy. – Wy-
dawało mi się, że wszystko robię po swojemu i tak, jak chcę, ale jednak
idziemy za pędem. Tak dużo wymagamy od świąt. Muszą być najbardziej
niezwykłe i nie wiadomo, co jeszcze wymyślić, żeby było lepiej. Od rodzi-
ców wymagamy, że oni wezmą odpowiedzialność za to, jak ten świat jest
skonstruowany i ze wszystkim sobie świetnie poradzą. A przecież oni też
nie na wszystko mają wpływ. Nawet od psa. On też powinien być wyjąt-
kowy – uświadomił sobie. – A co? – Spojrzał na Lidię. – Źle nam tu jest?
Całkiem fajny zwierzak. – Pogłaskał pieska po głowie. – A my też sobie
nieźle radzimy, nawet jeśli mamy wpadki. Twoi rodzice rzeczywiście się
kochają, chociaż nie powiedzieli sobie całej prawdy na początku, i rzeczy-
wiście stworzyli świetny dom. I twój dziadek, mimo tego wszystkiego
okropnego, co zrobił, jest kimś wspaniałym. Ja bym chciał mieć takiego.
Może nie potrzebujemy idealnej rodziny, tylko po prostu rodziny? To wy-
starczy.

Lidia zaczęła płakać. Napięcie całego dnia mocno dało jej się we znaki.

Markus pochylił się w jej stronę i objął ją. Podobnie jak Ignacego chwilę
wcześniej i tak jak wtedy, też pozwolił jej się wypłakać. Tak długo, jak po-

trzebowała, aż emocje się wyczerpały, łzy przestały płynąć.

A ona się uspokoiła. Czuła ciepło płynące od mężczyzny, którego kochała, bo w tym momencie przestała go nazywać chłopakiem. W trudnej sytuacji wykazał się dojrzałością. Rzeczywiście dużo w życiu widział, choć był młody, i potrafił wyciągać wnioski. Można się było na nim oprzeć. Oprócz tego czuła delikatne ciepło płynące od pieska, którego dopiero co poznali, a już do nich pasował.

– On jest nasz – odezwała się, głaszcząc go po głowie. – I wiem, że go nie zostawimy, więc nie ma co dyskutować. Trzeba się zastanowić, jak to zrobić. Pojawił się w samą Wigilię z wiadomością dla nas.

– To co? – Markus spojrział na nią. – Jedziemy do Krakowa czy zawracamy?

Rozdział 28

Ada trochę się nudziła. Kuzyni Lidii nie spełnili pokładanych w nich nadziei i chociaż chwilę porozmawiali, pooglądali filmiki w telefonie, to jednak temat dość szybko im się wyczerpał. Snuła się więc po różnych częściach domu, przysłuchując się to jednej, to drugiej rozmowie, aż w końcu poszła na poddasze.

Zajrzała do pokoju Lidii, choć wiedziała, że jest pusty. Tęskniła za przyjaciółką. To już nie był ten kontakt, co kiedyś. Potem wyszła na taras i stanęła w samym rogu, z tyłu za wielką donicą, w której rósł zielony także o tej porze cyprys. Oparła się o barierkę i pochyliła. Zamyśliła się.

Nawet nie usłyszała, kiedy przyszli tam Sonia z Adamem. Drgnęła, bo od razu zaczęli mówić do siebie podniesionym głosem.

– Nie chciałem się kłócić! – zawołał Adam.

– Ja też nie – odparła jego żona.

Ada się skuliła. Powinna była zareagować. Natychmiast wyjść i się pokazać, bo wyraźnie jej nie zauważyli. Ale zanim zdążyła, padły kolejne słowa.

– Chcę po prostu znać prawdę.

– Ludzie z tym przesadzają – odparła Sonia. – Ale dobrze – zgodziła się z wyraźnie wyczuwalną niechęcią. – I tak nie da nam to spokoju. Uważałam, że tego nie potrzebujesz. Jesteśmy bez tego szczęśliwsi.

– Przed czym uciekałaś? – zapytał. Wyraźnie nie miał zamiaru odpuścić.

Sonia milczała dość długo. I gdy Ada już uznała, że niczego nie wyjaśni, zaczęła nagle opowiadać.

– Przed kimś – uściśliła. – Finały wyborów miały się odbyć w Krakowie – dodała szybko. – Tam, gdzie się poznaliśmy. Trwały próby i zgrupowanie.

Już wtedy odwiedzali nas mężczyźni z różnymi propozycjami. Czasem dobrymi, innym razem złymi. Mnie szczególnie prześladował jeden. Mieszkał w Gdańsku. Więc kiedy cię poznałam, nie było go przy mnie. Miał dopiero przyjechać na finał. Bardzo wpływowy człowiek w tamtych stronach. Bogaty i okropny. Na pewno chcesz wiedzieć więcej? – upewniła się.

– Kochałaś go? – Adam wiedział, że jeśli nie pozna całej prawdy, będzie do tego wracał. I kłótnie nigdy się nie skończą.

– Owszem – przyznała, a jemu ścisnęło się serce. – Na początku tak. Potem tylko już się bałam. Nachodził mnie, groził, szantażował. To było okropne.

Ada zamarła. Też była przywiązana do tej pięknej historii o miłości rodziców Lidki, że komuś jednak się udało. Tymczasem historia miała drugie dno. Nie było to uczucie od pierwszego wejrzenia.

– I wtedy pojawiłem się ja – powiedział głucho Adam. – Świetne miejsce na kryjówkę.

– To prawda – przyznała zimno jego żona. – Zrobisz z tą wiedzą, co chcesz. Powiedziałam ci wszystko, tak jak prosiłeś. Pozwoliłam się tu zaprosić, bo chciałam się gdzieś schować. Miałam nadzieję, że nie jestem taka cenna, żeby tamten facet szukał mnie aż tak dokładnie. Spakowałam się, nie zostawiłam nikomu kontaktu, zrezygnowałam z finałów i pojechałam. Co ciekawe, dziewczyna, która mnie wtedy zastąpiła, wygrała. Los miewa dla ludzi niespodzianki.

Adam milczał, a Ada stała jak zamurowana. Modliła się tylko, żeby jej teraz nie zauważyli. To by było najgorsze. Czowała się okropnie niezręcznie.

– Powiem to tylko raz – odezwała się jeszcze Sonia – i nigdy więcej tego nie usłyszysz, jeśli będziesz się upierał przy swoim gniewie. Potem cię lepiej poznałam i pokochałam. Wszystko, co działo się od tej pory, było szczerze i tyle – dodała. A potem wyszła.

Adam stał jeszcze chwilę na tarasie, po czym ruszył za nią.

– A to numer! – szepnęła Ada. Miała nadzieję, że się dogadają. Prawda rzeczywiście im pomoże.

Czuła, jak serce jej łomocze. Trzeba naprawdę trafić, żeby być świadkiem tak osobistej rozmowy ludzi, którzy zawsze mocno sobie cenili swoją prywatność. Bywała tu od lat, a nigdy nie słyszała, by rodzice Lidki się kłócili.

Wyszła stamtąd na miękkich nogach. Nie chciała już niczych sekretów. Najchętniej wróciłaby do domu, ale na myśl o tym, że nikogo tam nie ma, jednak się zatrzymała. W kuchni Skalskich pachniało jedzeniem i ciągle ktoś się tutaj kręcił.

– Cześć – usłyszała i obejrzała się.

– O, Filip! – ucieszyła się na jego widok. Zawsze to ktoś w jej wieku. Barman z hotelu też przybył z rodzicami, żeby złożyć Ignacemu życzenia. Trzymał w ręce sok jabłkowy.

– Co słyhać? – zapytał. – Podobno Lidii nie ma. I Markusa też nie. – Lubił być na bieżąco.

– Tak, pojechali. Coś tu się wydarzyło, ale ja nie znam wszystkich szczegółów. A ile wiem, na pewno ci nie opowiem – ostrzegła.

– Dlaczego? – zapytał.

– Jesteś największym plotkarzem w okolicy – odparła szczerze. – Dość się ludzie nawieszali psów na Lidii z powodu twojego długiego języka.

– A daj spokój. – Nie przejął się. – Jestem tylko ciekawy.

– Jak spędzasz te święta? – zapytała.

– Beznadziejnie – odparł, przewracając wymownie oczami. – Tylko rodzina, jedzenie i brak perspektyw, a ty?

– Chyba podobnie. – Uśmiechnęła się.

– W drugi dzień świąt jeszcze praca – dodał. – Otwierają restaurację, bo niektórzy się u nas zrobili tacy nowocześni, że na świąteczny obiad wychodzą z domu. Szef to wyczuł. Szykuje się na duży ruch. Liczy pewnie na jakieś drinki i te sprawy.

– A gdzie byś chciał naprawdę być? – zapytała. Nie przyjaźniła się z Filipem, ale teraz wydał jej się osobą, z którą i tak najsensowniej tutaj można było pogadać.

– Daleko – odpowiedział. – Uczyłem się hotelarstwa z myślą, że może pojedę gdzieś do Grecji czy Hiszpanii. Będę sobie pracował przez pół dnia, a resztę leżał na plaży. Potem tak się ułożyło, że ojciec załatwił mi tutaj robotę i zostałem.

– Nie szukałeś innej opcji?

– Nie.

Pomyślała, że jego zawód faktycznie umożliwia zatrudnienie w różnych miejscach. I od razu poczuła ten dobrze znany błysk rozpoznania.

– Mówisz dobrze po angielsku? – zapytała.

– Jasne.

– No to poczekaj, ja ci przecież pomogę.

Ada myślała błyskawicznie. W poszukiwaniu szans na wyjazd była niczym doświadczony specjalista, który wszędzie potrafi dostrzec szansę i żadnej nie popuści.

Może nie trzeba mieć cudzoziemca, żeby się wyrwać z rodzinnej wioski, podróżować? – Nagle przyszło jej do głowy. – Nasi też potrafią.

Zaczęła otwierać różne strony w telefonie, palce biegały jej po klawiaturze z ogromną prędkością. Była z pokolenia, które tę umiejętność miało opanowaną na równi z mówieniem, oddychaniem i przełykaniem.

– Ale bylibyś gotów się spakować i ruszyć w świat? – zapytała.

– No wiesz... – zawahał się Filip. – Kasy dużo nie mam, tylko trochę oszczędności.

– Nie potrzebujesz dużo – odparła. – Chodzi głównie o gotowość. Zatrudnisz się, a potem już sobie poradzimy.

– My? – Filip był wyraźnie oszołomiony. Nieprzyzwyczajony ani do takiego tempa, ani gwałtownych zmian. Narzekał sobie po prostu jak zawsze. Nie oczekiwał żadnych rozwiązań.

– No co? – Ada podeszła do niego bliżej. – Chcesz tu osiąść na zawsze? Póki jesteś młody, możesz działać.

Chłopak zamrugnął powiekami.

– Popatrz. – Pokazała mu ekran telefonu. – Jest mnóstwo hoteli. Jeśli zaczniemy intensywnie szukać pracy, na pewno się coś znajdzie. Jaka ja byłam głupia, że jeszcze na to nie wpadłam! Tyle razy cię widziałam na ulicy, w sklepie, w hotelu i nic mnie nie tknęło. A ty masz taki świetny zawód. Przecież to jest wspaniały sposób, żeby zwiedzać świat! Możesz mieszkać w różnych miejscach, pracować... Ja też znajdę na siebie pomysł. Wiem, że przedstawicielki biur turystycznych nawet dostają noclegi. Filip, rozumiesz?

Chłopak cofnął się dwa kroki, wciąż mrugał powiekami. No tak, czasem myślał o tym, że chciałby stąd wyjechać, ale przecież nie już, nie tak gwałtownie, nie gdzieś daleko. Za szybko. W gruncie rzeczy chyba tylko sobie tak narzekał, bo lubił, ale do żadnego działania nie był gotowy.

Nie odzywał się. Milczenie się przeciągało. Ada zrozumiała. Tylko westchnęła, po czym zamknęła przeglądarkę w telefonie.

Co w tym jest, że ja zawsze spotykam takich facetów? – pomyślała rozżalona. Trudno jej było z tego nagłego entuzjazmu wrócić do normalności.

Odwróciła się. Całe jej zainteresowanie Filipem w jednej chwili się skończyło, a już miała o nim tak dobre zdanie. Była gotowa polubić go, związać się z nim, nawet pokochać, mieć wspaniałe życie.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Stanęła w drzwiach łazienki, poszukując jakiegoś ustronnego miejsca, by się spokojnie wypłakać i naprzeciwno na ścianie zobaczyła lustro.

No kurczę, co jest?! – miała ochotę zawołać. Naprawdę ładna była ta dziewczyna, która się w nim odbijała. Młoda, pełna życia, z pięknymi rudymi włosami. A nie mogła sobie znaleźć partnera. Ten popłoch w oczach, który przed momentem miał Filip, znała doskonale. Ciągle jej towarzyszył.

Wyciągnęła znowu telefon i przez łzy, które pchały jej się do oczu, oglądała te oferty. Ile jej to zajęło? Trzy minuty i już znalazła. A gdyby poświęciła dzień, tydzień? Jakie wtedy spektakularne efekty by osiągnęła? Spojrzała ponownie w lustro. Aż przykro było popatrzeć na jej smutną buzię. Wtedy coś jej przyszło do głowy.

Na nic mi niepotrzebny Filip! – dopiero teraz zrozumiała, co Markus miał na myśli.

Mogła przecież wyjechać sama, poszukać sobie pracy, hotele to świetne miejsca. Są wszędzie. Dobrze mówiła po angielsku, niemieckiego była gotowa się uczyć, hiszpańskiego także. Miała czas, była młoda. Od tej perspektywy aż zaczęło jej się kręcić w głowie. No bo rzeczywiście, co by było, gdyby przestała szukać kogoś, od kogo zależy jej przyszłość, zamiast tego zaczęła decydować samodzielnie?

I tak jak w przypadku, kiedy próbowała poderwać jakiegoś chłopaka, tak i teraz plan błyskawicznie zaczął krystalizować jej się w głowie. Przeliczyła w myślach wszystkie pieniądze, jakie miała, także obecne prezenty gwiazdkowe, oszacowała zdolność kredytową ojca, na pewno coś jej pożyczycy. Uznała, że na pierwszą podróż wystarczy. A później sobie poradzi. Była naprawdę niesłychanie zaradna. Gdyby całą tę energię, jaką pakowała w poszukiwanie chłopaka, włożyła w coś innego, mogłaby mieć niesamowite efekty.

Usiadła na zamkniętej toalecie i zaczęła przeglądać strony. Dokąd wyjechać na początek? Świat wydawał się tak nieprawdopodobnie wielki i tak bardzo kuszący. To było coś niesamowitego. Poczowała się nagle wolna. I właśnie tutaj, w niewielkiej toalecie drewnianego domu, na końcu świata, w małej miejscowości, którą Markus wciąż nazywał dziurą, rozpoczęła przygodę życia.

Jeszcze nie wiedziała, że wszystko jej się spełni. Zwiedzi świat, będzie pracować w hotelach na różnych kontynentach i kiedyś w jednym z nich, w momencie, kiedy najmniej się tego będzie spodziewać, pozna kogoś, kogo naprawdę pokocha.

Rozdział 29

Markus z Lidią siedzieli w samochodzie pod domem. Wcale nie tak prosto było tutaj wrócić. Śnieg zasypał drogę i momentami było bardzo niebezpiecznie. Patrzyli w okna. Jeszcze nie weszli. Po drodze wyjaśnili sobie całą sytuację i obiecali, że póki są razem, zawsze każdemu będzie wolno zapytać o ważną dla niego sprawę i nikt niczego nie będzie ukrywał ani się domyślał.

Czy to się uda? Lidia nie wiedziała.

Już nie oczekiwała idealnej rodziny. Szła do swoich bliskich, do takich, jakimi byli, dając im prawo do bycia ludźmi. Jedno wiedziała na pewno: że zaraz po świętach przyjdzie jej ruszyć w drogę. To nie był tylko jej dom i już nie spełni się marzenie, że zostanie tutaj i będzie prowadzić takie życie jak jej rodzice.

Ale ze zwykłym psem na kolanach, zwyczajnym mężczyzną obok, czuła się gotowa wymyślić nowy plan i szukać własnego szczęścia.

– Wciąż trwają nasze święta – powiedział Markus. – Dopiero zaczęliśmy. Ja bym chciał wejść do środka, pośpiewać znowu kolędy, posiedzieć w tym tłumie. Ojciec jest w Tunezji, a mama nie wiadomo. Dopiero chwilę temu przysłali mi życzenia. Tata nawet nie wie, że tu jestem. Mama tylko dlatego wie, że akurat słyszała, jak się z babcią pakowaliśmy. Z mojej perspektywy twoja nieidealna rodzina jest naprawdę spoko i nawet ten pies coraz bardziej mi się podoba, odkąd trochę wysechł. – Uśmiechnął się. – A przez to twoje głaskanie aż mu sierść się zaczęła błyszczeć.

Lidia się roześmiała.

– No to idziemy. Masz rację. Wszystko przecież dopiero się zaczyna. Teraz już bez żadnych tajemnic.

